

Krzysztof Kotowski

Marika

2005

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2005

Projekt okładki:

Ewa Łukasik

Zdjęcie na okładce:

Flash Press Media

Wydawca:

Świat Książki

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

ISBN 83-7391-874-4

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Wrzesień 1989 rok

– Mamo, nie zostawiaj mnie tutaj... – powiedziała mała dziewczynka, obejmując ciemnowłosą, szczupłą kobietę w niebieskim płaszczu.

Dziewczynka miała osiem, może dziewięć lat. Ubrana była skromnie, w granatowo-białą sukienkę, białe skarpetki i czarne buciki.

Spojrzała w kierunku bramy – stojąca tam starsza kobieta starała się uśmiechać, ale srogość, która wyłobila w jej twarzy surowe bruzdy, budziła niepokój małej, może nawet strach. Odwróciła się raptownie, wpiła kurczowo palce w plecy matki i uniosła czerwone od łez oczy, usiłując dostrzec w smutnym i jakby nieobecnym spojrzeniu kobiety jakąś odpowiedź.

– Tu będziesz bezpieczna – odparła cicho matka tonem, który wydał się małej delikatny i śpiewny, jakby miała zaraz zanucić kołysankę. – Wrócę po ciebie...

– Dlaczego nie możesz zostać ze mną?

– Tak trzeba. Pewni... źli ludzie chcą nam obu zrobić krzywdę i dlatego muszę na trochę wyjechać, ale wrócę i wtedy już zawsze będziemy razem.

– Kiedy?

Kobieta uklękła przed dzieckiem, biorąc w dłonie małe rączki.

– Nie wiem, ale nie płacz, będzie ci tu dobrze.

– Nie chcę, żeby mi tu było dobrze! – dziewczynka ponownie wybuchła płaczem.

Kobieta chwyciła małą za ramiona... za mocno, ale po chwili opuściła ręce i zajrzała jej jeszcze raz w oczy.

– Posłuchaj. Wiem, że to trudne, ale zapamiętaj, co ci teraz powiem.

Dziewczynka zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie chcę!

– Nie bój się, musisz mnie wysłuchać. To ważne. Popatrz na mnie.

Mała oderwała ze strachem dłoń od twarzyczki.

– Boję się, mamo!

Kobieta wciągnęła głęboko powietrze do płuc.

– Wiem, że sobie poradzisz, ale gdybym długo nie wracała... – na chwilę przerwała – ... jeśli kiedykolwiek, teraz albo za kilka lat, ktoś przyszedłby do ciebie i zapytał... tak po prostu:

„Gdzie jest... Marika?” ...

– Tak!?

– Uciekaj, ile sił w nogach. Zapamiętałaś?

– Gdzie jest Marika?

– Tak. Ktokolwiek o to zapyta, będzie chciał zrobić ci krzywdę.

– To będą źli ludzie!?

– Tak. Muszę już iść.

– Jeszcze nie!

– Zapamiętaj!

Kobieta wstała i dała znak stojącej przy bramie wychowawczynie, aby zabrała małą.

– Nieee! – wrzasnęło dziecko z całych sił, gdy tylko poczuło, jak silne dłonie podnoszą je z ziemi, a matka odwraca się i szybkim krokiem odchodzi.

Kobieta starała się zniknąć jak najprędzej za zakrętem. Po kilkudziesięciu krokach zachwiała się jednak i upadła na kolana. Usiłowała szybko się podnieść, ale zabrakło jej tchu. Na szczęście dziewczynka nie widziała już tego.

ROZDZIAŁ 1

Marat Gawin, szybko, choć ostrożnie, posuwał się do przodu, mimo że las był dość gęsty. Oddalił się już co najmniej sto metrów od drogi, ale wciąż miał wrażenie, że doskonale wie, w którym kierunku ma iść, aby szybko dotrzeć do miejsca spotkania.

Jesień zrzuciła już z drzew część liści, które głośno chrzęściły pod butami, Gawin jednak nie zwracał na nie uwagi. Nie miał zamiaru ukrywać swojej obecności, nie odbezpieczył nawet broni. Odgarniał metodycznie rękami gałęzie młodych drzew rosnących na jego drodze i konsekwentnie parł naprzód. Do polanki zostało mu, jak sądził, czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów, lecz prześwitu wciąż nie było widać. Słońce wyjrzało na chwilę zza chmur, ale niewiele to pomogło. Miał przed sobą niezmiennie gęsty, cichy i ponury las, w którym – na tle delikatnego szumu przemykającego między drzewami lekkiego wietrzyku – jego kroki brzmiały brutalnie jak odgłos tłuczonego szkła. Szedł konsekwentnie w kierunku wskazywanym mu przez niewielkie urządzenie, które trzymał w prawej dłoni, na razie nie niepokojąc się na wyrost.

Marat Gawin był wysokim i szczupłym mężczyzną. Jego twarz, rześka, opalona, pozbawiona zarostu, zdradzała wyuczoną przez lata czujność, o której nie zapominał nawet w chwilach relaksu czy sytuacjach, kiedy czuł się bezpiecznie – jak teraz. Szeroko osadzone niebieskie oczy, gęste brwi, szarawa cera mogły mylnie sprawiać wrażenie łagodnej swojskości. Marat Gawin był wytrenowanym drapieżnikiem, obdarzonym w dodatku niebywałym talentem. Instynkt rzadko go zawodził, a fakt, że skończył pięćdziesiąt sześć lat, nie miał jeszcze dostrzegalnego wpływu na wytrenowane ciało, przystosowane do zmiennych, trudnych i niebezpiecznych warunków.

Między drzewami zaświtała wreszcie niewielka polanka. Zwolnił kroku. Zastanowił się chwilę i wyjął pistolet, odbezpieczył go i schował za pasek. Na wszelki wypadek. Niepokój Andrieja przed tym spotkaniem ostatecznie go przekonał. Oczywiście był pewny swego i nie sądził, aby groziło mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, instynkt jednak po raz kolejny uszczypnął go w policzek, zmuszając do ostrożności.

Wyszedł wolno na polankę i rozejrzał się dookoła. Wyglądała na pustą, ale był prawie pewien, że to tylko pozory. Nie mylił się. Zza drzew po jego prawej stronie wyłonił się

ubrany w brązową kurtkę potężny mężczyzna. Miał przynajmniej dwa metry wzrostu, a w jego wielkich dłoniach pistolet wyglądał jak zabawka. Wymierzył prosto w Gawina, uśmiechając się przy tym niemal przyjaźnie.

– Zaskoczony? – spytał po rosyjsku.

– Grigorij!?! – Jeśli nawet Gawin był zaniepokojony, zręcznie to ukrywał. – I ty, Brutusie?

– Chyba trochę źle rozumiesz historię, Marat. To ty jesteś zdrajcą, nie ja.

– Dla kogo teraz pracujesz? FSB? SWR?

– Dowiesz się w odpowiednim czasie. Przykro mi, że się rozczarowałeś. Rozumiem, że spodziewałeś się Szaliapina?

– Co z nim zrobiłeś!?! – głos Gawina stał się groźny.

– Przekonałem go, aby powiedział mi, gdzie się z nim umówiłeś – Grigorij wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Z akumulatorem na jądrach, jak to masz w zwyczaju?

– No cóż – olbrzym rozłożył ręce – po przyjacielsku nie wychodziło.

– Nie możesz mnie zabić – stwierdził spokojnie Gawin. – Nawet Szaliapin nie wiedział, jak dotrzeć do Mariki. Tylko ja to wiem.

– Kłamiesz – głos Grigorija stał się chłodny. – Mamy pewność, że są osoby, które wiedzą co najmniej tyle ile ty.

– Tylko nie wiesz, gdzie ich szukać? – Marat Gawin wybuchnął tryumfalnym śmiechem.

– Zamknij się – mruknął spokojnie olbrzym. – Wracamy do domu, stary przyjacielu. Do Kaliningradu jest stąd najwyżej sześćdziesiąt kilometrów.

– Jak chcesz mnie zmusić, żebym przekroczył granicę?

– To moja sprawa. A co? Powiesz Polakom, kim jesteś i czego szukasz? Na pewno cię przyjmą jak brata – teraz z kolei Grigorij parsknął śmiechem.

– Nie o tym mówię, kretynie. Chodzi o to, że obrażasz mnie, przychodząc tu sam, bez wsparcia.

– Nie wydaje mi się, abys mógł tak gadać w sytuacji, w której właśnie się znalazłeś – potężny Rosjanin po raz kolejny wybuchnął śmiechem.

– Mylisz się, Grisza. Na twoim miejscu obejrzałbym się do tyłu.

Olbrzym szybko odwrócił głowę, cały czas trzymając broń wycelowaną w Marata.

– Skretynieliście!?! – burknął, widząc kilka metrów za sobą Andrieja Gordiejewa, celującego z kolei do niego z kałasznikowa.

– Dzień zaskoczeń i niespodzianek... – mruknął pod nosem Gawin. – Jak na starym, dobrym, amerykańskim filmie.

Grigorij pokręcił głową z dezaprobatą.

– Przecież i tak nie macie szans. Kopiecie sobie grób własnymi rękami. Przyszedłem tu jak przyjaciel. Odłóżcie spluwy i pogadamy jak trzeba.

– Za późno, stary przyjacielu – rzucił Gawin, sięgając błyskawicznie po broń ukrytą z tyłu

za paskiem. Olbrzym nie zdążył się nawet odwrócić, kiedy Marat wystrzelił prosto w jego skroń. Grigorij niemal natychmiast padł na ziemię. Krew obficie wypłynęła z roztrzaskanej czaszki. Broń wypadła mu z ręki, lądując na liściach metr od ciała.

– Zwariowałeś!?! – jęknął Andriej. – Mogłeś mnie trafić!

– Nie przesadzaj... – odparł spokojnie Gawin. Opuścił pistolet i podszedł do leżącego.

– Mówiłem ci, że wiedzą o nas!

– Miałeś rację – przyznał obojętnie. – Dlatego tu, do cholery, przyszliśmy, żeby to sprawdzić. Zjeżdżamy.

– Trzeba coś z nim zrobić – Andriej wskazał na leżącego.

– Nie mamy czasu, on rzeczywiście mógł z kimś przyjść.

– Dobrze się rozejrzałem, tu nikogo nie ma.

– A jeśli ktoś czeka na niego na drodze? Na pewno już usłyszał strzały i idzie tutaj.

– Im też zależało na tajemnicy. Nie sędzę, aby sprowadził tu chmurę agentów.

– Nie ryzykujemy.

Andriej przez chwilę nie odpowiadał.

– Masz rację, spieszamy się stąd.

Arek Skręta, rezolutny dziewięciolatek z przedmieść Skierniewic, zszedł właśnie z leśnej drogi, wchodząc między drzewa w poszukiwaniu grzybów. Zwykle bywał tu z dziadkiem kilka razy w tygodniu, niekiedy bardzo wcześnie, o czwartej, piątej rano. Dzisiaj jednak wybrał się do lasu sam, nie budząc starego Skręty, mając jednocześnie nadzieję, że koszyk prawdziwków nazbierany samodzielnie będzie dla staruszka przyjemną niespodzianką. Dziadkowi coraz więcej kłopotów sprawiały długie poranne wyprawy do lasu, o czym Arek doskonale wiedział, choć obaj rozmów na ten temat raczej unikali. Rzadko również rozmawiali o przyszłości, której dzieciak szczególnie się lękał, wiedząc, że po śmierci starego Skręty czeka go niechybnie dom dziecka. Zresztą po drugim zawale dziadka Arek większość obowiązków domowych wziął na siebie, ani przez chwilę nie czując się z tego powodu poszkodowany.

Mieszkali w niewielkim, drewnianym domku przy ulicy Sosnowej, na skraju lasu, kilkadziesiąt metrów od skrzyżowania z szosą do Makowa, gdzie stała tabliczka oznaczająca granicę miasta. Do centrum z tego miejsca było ponad cztery kilometry, a okolice Sosnowej zupełnie już miasta nie przypominały. Kilkadziesiąt rodzin żyjących w domach, a niekiedy w zwyczajnych wiejskich chałupach po obu stronach ulicy, hodowało drób, bydło, dorabiało zbieractwem, mając jednocześnie dumną świadomość bycia obywatelami ponadpięćsetpięćdziesięcioletniego miasta, które kwitło, zanim jeszcze do Warszawy zdążyli dotrzeć książęta mazowieccy. O historię zresztą, szczególnie po osiemdziesiątym dziewiątym roku, w Skierniewicach troskliwie dbano. Odbudowano część ocalałej rezydencji carskiej, pałac, napisano kilka książek o historii miasta, a z zabytkowej stacji kolejowej

skierniewiczanie byli szczególnie dumni, gdyż wszystkie chyba historyczne polskie i nie tylko polskie filmy ze scenami na dworcach kolejowych nagrywano właśnie tu, na jednym z przystanków słynnej niegdyś ciuchci wiedeńskiej. Kościół św. Jakuba, mieszczący się przy rynku, przechowywał przez pokolenia i wciąż przechowuje dokumenty pochodzące nierzadko jeszcze z czternastego i piętnastego wieku (nikt nawet nie myśli o przekazaniu ich jakiemukolwiek muzeum ziemi mazowieckiej), a wśród nich notatkę pewnego kupca z południa Europy – z tego mniej więcej okresu – który w języku łacińskim powiadał, że właśnie wybiera się w kierunku miłośnicy Warszawa, leżącej gdzieś pod Skierniewicami.

Tutejsi mieszkańcy są święcie przekonani, że ich miasto leży idealnie w geograficznym środku Europy. Być może dlatego przywiązujący do takich drobiazgów dość duże znaczenie towarzysz Edward Gierk swego czasu uczynił Skierniewice miastem wojewódzkim, narażając się na dozgonną niechęć obywateli pobliskiego Żyrardowa, przekonanych o swej wyższości wobec zarozumiałych ich zdaniem sąsiadów. Był ponoć wśród nich niejaki Leszek Miller, który jednak szybko przeniósł się do Skierniewic, tam rozpoczynając swoją karierę polityczną i, jak udowodniła historia, dobrze zrobił, bo będąc żywym przykładem kompletnej nielogiczności najnowszych dziejów Polski, został po kilkudziesięciu latach premierem. Udowodniło to także jego skądinąd dość frywolną tezę, że nieważne jest, jak mężczyzna zaczyna, ale ważne jak kończy, ogłoszoną, co pewnie część polskiej populacji pamięta, na forum publicznym, ku potomności.

Arek Skręta niewiele jeszcze wiedział o historii Skierniewic, choć dziadek już kilka razy o takich sprawach wspominał. Nie zwracał sobie głowy wieloletnimi animozjami skierniewicko-żyrardowskimi, nie wgłębiał się, choć stary Skręta go do tego namawiał, w liczne kronikarskie opisy przygód cara i jego świty na polowaniach w tutejszych lasach, mało go także obchodziła pozycja Unii Skierniewice w trzeciej lidze piłkarskiej. Żył z dnia na dzień w swoim świecie na skraju lasu, nie czując się mimo śmierci rodziców przed kilkoma laty dzieckiem skrzywdzonym przez los; był chłopcem dość pogodnym, a nawet wesołym. Kochał las i spędzał w nim większość czasu. Takiego życia również nauczył go dziadek, wpajając szacunek do natury i pogardę dla parweniuszowskiego, mieszczańskiego materializmu. Nigdy nie był w Warszawie ani Łodzi, bo choć Skierniewice leżą w połowie drogi między tymi miastami, a dzieli je od nich po siedemdziesiąt kilometrów, dziadka nigdy tam nie ciągnęło. To również chłopca nie martwiło, choć w przyszłości planował podróż do stolicy.

Arek znał las dość dobrze, ale były oczywiście takie miejsca, w które sam nigdy się nie zapuszczał. Nawet dziadkowi zdarzyło się kilka razy zgubić drogę i z tego powodu wracał do domu dwie, trzy godziny później, więc z pewnością zawsze trzeba było uważać. Nie byłby jednak sobą, gdyby z lekka nie nagiął „przepisów” ustalonych ze starym Skrętą, więc kroczył śmiało między drzewami, idąc w stronę mokradeł. Wszyscy wiedzieli, że właśnie w tych okolicach grzybów jest najwięcej, nie tylko z powodu mokrej ściółki, ale przede wszystkim ze

względu na upiorne tabliczki z napisem „Uwaga niebezpieczne bagna”, skutecznie odstrasżające większość ludzi, szczególnie przyjezdnych. Nawet mieszkańcy Sosnowej, choć znali świetnie te tereny, wybierali się raczej gdzie indziej na leśne wyprawy. Las był ogromny i miejsca z pewnością nie brakowało. Przez lata zdarzyło się tu kilka wypadków, nawet wśród tutejszych, co dodatkowo przekonywało do omijania mokradeł. Trzeba przy tym zaznaczyć, że mało kto się przejmował opowieściami pewnej dziwnej i dość egzaltowanej mieszkanki chaty oznaczonej numerem sto pięćdziesiąt cztery o tym, jak to las „zabija” i „zjada” za grzechy, na co miała ponoć wiele dowodów. Chodziło przeważnie wyłącznie o ostrożność. Zaginął nawet w tych okolicach jeden żołnierz, a może dwóch, oczywiście w czasach kiedy były to jeszcze tereny wojskowe, a na wielkiej kilkunastokilometrowej polanie pod lasem znajdował się poligon. Do dzisiaj stały również i tam tabliczki, ale z ostrzeżeniami: „Teren wojskowy. Przebywanie grozi śmiercią lub kalectwem”. Polany i lasu w całości jednak nigdy nie ogrodzono, a poligonu używano wyłącznie do ćwiczeń taktycznych i kondycyjnych. Bardzo rzadko i ostrożnie, ze względu na bliskość Sosnowej, korzystano z broni, a z ciężkiej amunicji do czołgów czy armat – nigdy. W latach osiemdziesiątych z wiadomych powodów ruch się zwiększył, pojawiło się setki łazików, transporterów, ciężarówek i wiele innych, czasem dziwnych pojazdów, ale okolicznych mieszkańców, przyzwyczajonych od dziesiątków lat do podobnych „atrakcji”, niewiele to obchodziło. Zakaz wstępu akurat tutaj traktowano dość pobłażliwie i gdy tylko wojsko nie szalało na poligonie, mieszkańcy Sosnowej mogli bez przeszkód wchodzić do lasu. Pewne jego części były oczywiście w różnych czasach podcinane i ogrodzone, ale z pewnością w grzybobraniu nikomu to nie przeszkadzało.

Arek zorientował się, że chyba zaszedł zbyt daleko, bo pod nogami pojawiło się już mokre podłoże, co najwyraźniej zwiastowało bliskość bagien. Grzybów jak na złość było mało, stąd być może taka determinacja chłopca w ciągłym marszu naprzód. Teraz jednak nastąpił moment, w którym odwrót był nieunikniony. Już miał zawrócić, gdy nagle w oddali dojrzał wysoką, choć przygarbioną, jak mu się wydawało, postać. Najpewniej ktoś tak jak on, rozczarowany słabym urodzajem po drugiej stronie lasu, zapuścił się aż tu, by szukać szczęścia w pobliżu niebezpiecznych mokradeł. Chłopiec zdecydował się podejść szybko jeszcze kilka metrów. Postać chyba usłyszała kroki i spojrzała w jego stronę. Dopiero teraz Arek poznał Lecha Góraję, sześćdziesięcioletniego właściciela dwóch pól pszenicznych po północnej stronie Sosnowej.

– To pan, panie Góraj!? – krzyknął dla pewności.

Mężczyzna podniósł głowę i wyteżył wzrok.

– Aaaa, to ty Arek!? – odpowiedział mu wesoło. – Co tu robisz? Gdzie dziadek?

– Został w domu. Niech mu pan nie mówi, że doszedłem aż tutaj... Grzybów nie ma, chciałem mu zrobić niespodziankę.

Góraj machnął ręką.

– Nie przejmuj się chłopcze, ale już wracaj, bo dziadek rzeczywiście będzie się denerwował.

Arek był trochę zły na sąsiada, że go wysyła do domu, kiedy sam wciąż idzie do przodu, lecz zacisnął usta i zaczął maszerować w kierunku drogi. Górą oczywiście nie miał zamiaru zawracać i śmiało podążał ku mokradłom. Chłopiec zrobił może dwadzieścia kroków, kiedy dziwny, nienaturalny, a przy tym głośny dźwięk przypominający syk zmusił go do odwrócenia się w stronę, w którą poszedł sąsiad. To, co zobaczył, spowodowało, że koszyk z grzybami wypadł mu natychmiast z ręki, a przerażenie całkowicie go sparaliżowało. Z pewnością było za późno na ucieczkę. Potężny podmuch gorącego powietrza rzucił go kilka metrów na najbliższe drzewo, dotkliwie raniąc prawą rękę i nogę powyżej kolana. Uderzenie zamortyzowały na szczęście niskie, rozłożyste gałęzie jodły, ale mimo to chłopiec uderzył mocno głową o konar. Nie stracił przytomności. Atak paniki sprawił, że zapomniał na kilka sekund o bólu. Wybuchnął płaczem. W nieskoordynowany sposób starał się na czworakach uciec z tego miejsca. Potężne zawroty głowy nie pozwalały mu wstać, ale adrenalina dodawała cały czas sił.

– Mamo!!! – wrzasnął przez łzy, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co wykrzykuje.

Komisarz Marek Szczęsny wyjął legitymację, aby pokazać ją dwóm policjantom, pilnującym dojścia do miejsca, gdzie leżał zastrzelony mężczyzna. Przeszedł pod taśmą i mijając ekipę pakującą do teczek sprzęt dochodzeniowo-śledczy, dotarł do kolejnych dwóch mundurowych, którzy poprosili o ponowne wylegitymowanie się. Szczęsny oprócz legitymacji wyjął złożoną wcześniej starannie kartkę, którą wręczył starszemu stopniem aspirantowi. Sierżant stał spokojnie, czekając na rozwój wypadków.

– Powiadomiono was, że przejmuję dowództwo? – spytał mrukliwie komisarz.

– Tak, ale obawiam się, że to niemożliwie – odparł spokojnie aspirant.

– To jest upoważnienie od inspektora Szwajcowskiego – Szczęsny rozłożył papier, wyjęty przed chwilą z kieszeni.

– Tak, ale ona ma upoważnienie z kancelarii prezydenta – aspirant wskazał palcem na ciemną blondynkę w szykownym czarnym płaszczu, pochylającą się nad ciałem. Miała włosy sięgające tuż za ramiona, spięte z tyłu gumką, brązowe obcisłe spodnie i wysokie, ciemnobordowe buty. Nie zwracała uwagi na rozmawiających dwadzieścia metrów od niej mężczyzn po drugiej stronie polanki. Oglądała uważnie ciało, co chwila notując coś w niewielkim zeszytiku. Co pewien czas przykładła do lewego oka aparat i robiła zdjęcia.

– Niezła dupencja, panie komisarzu, co? – uśmiechnął się aspirant. – Ma najwyżej trzy dychy, a już wszystkich zdążyła tu porozstawiać po kątach.

Szczęsny wychylił się zza pleców policjantów, aby lepiej przyjrzeć się dziewczynie, po czym opuścił bezradnie ręce.

– Kurwa mać! – warknął przez zęby. – Skąd ona się tu wzięła?

– Nie mamy pojęcia, panie komisarzu – zameldował oficjalnie sierżant.

Szczęśny minął policjantów i podszedł do blondynki.

– Co tu robisz, Ultra? – spytał zniecierpliwiony.

Agentka odwróciła się.

– Co za idiotyczne pytanie – wzruszyła ramionami i skinęła na chudego faceta, stojącego dwa metry od niej pod drzewem.

– Co was może obchodzić jakiś mięśniak znaleziony w lesie? – burknął komisarz, kręcąc głową. – Pewnie z tutejszej mafii.

– Obrażasz mnie, Mareczku – Ultra wzięła od chudego pęsetę i menzurkę. – Wiesz dobrze, kto to był.

– Jest jakaś szansa na to, że wyjaśnisz mi, dlaczego zabieracie nam tę sprawę?

– CBS zajmuje się wspieraniem i koordynowaniem działań wykonawczych jednostek policji w realizacji zadań dotyczących przestępczości zorganizowanej – wyrecytowała, nie odwracając się od denata. – Opracowuje metody i formy zwalczania tej przestępczości. Narkotyki, ochrona świadków koronnych...

– Przestań! – uciął.

Ultra wstała i spojrzała przenikliwie na Szczęsnego.

– Czytałeś kiedyś zbiór celów i zadań postawionych przez ministerstwo Centralnemu Biuru Śledczemu, w którym zresztą pracujesz?

– Wyostrzył ci się humorek na jesień?

– A ja czytałam. I jakoś nigdzie nie natknęłam się na fragment o martwych byłych agentach KGB, znalezionych parę kilometrów od granicy z Roskimi!

– Ale argument!

Agentka oddała menzurkę z próbkami chudemu facetowi i ponownie spojrzała na komisarza.

– Wiesz, co on robił przez ostatnie dziesięć lat? Znasz jego kumpli? Wiesz, jak ich szukać? Wiesz, co powiedzieć Rosjanom?

Szczęśny nie odpowiadał.

– To nie zawracaj dupy i pomóż – zakończyła.

– Nie rób ze mnie idioty – zachnął się komisarz. – Faceta znaleziono sześć godzin temu i już wszystko o nim wiecie? Takie bajdy możecie opowiadać Skrobkowi. Stąd jest paręnaście kilometrów do granicy, on najprawdopodobniej ledwo wjechał do kraju. Może uciekał przed kimś i tu go dopadli, może robił interesy nie z tymi co trzeba...

– On wyjeżdżał – przerwała agentka.

– Co?

– Mówię, że nie wjeżdżał do Polski, tylko wyjeżdżał. Był tu ponad tydzień.

– Śledziliście go?

Ultra nie odpowiedziała, lecz pochyliła się ponownie nad denatem. Szczęsny wybuchnął śmiechem.

– Obserwowaliście faceta i spieprzyliście sprawę? Tuż pod waszym nosem ktoś wam sprzątnął ruskiego ubeka! A to dobre!

– Nie my tylko wy – odparła spokojnie agentka, nie odwracając się od ciała.

– Słucham!?

– Nic ci nie powiedzieli... – Ultra pokręciła z niedowierzaniem głową. Wstała i ponownie spojrzała komisarzowi w oczy. – My wyczailiśmy faceta, bo przez ostatnie pół roku był w Polsce jedenaście razy Zawsze około tygodnia. Dlatego trzeba było wziąć go pod obserwację. Zawiadomiliśmy CBS, które zobowiązało się wspomóc nas operacyjnie, między innymi przy obserwacji tego kagebowca. Wynik masz przed sobą. Więc przysłali ciebie, abyś ratował sprawę, ale jakoś w pośpiechu zapomniano ci powiedzieć, o co tu, do cholery, chodzi, i teraz robisz z siebie idiotę, udając, że nie wiesz, kim był ten koleś.

Szczęsny zacisnął ze złości zęby.

– Coś mi się wydaje, że parę minut temu cytowałaś mi zakres naszych celów i zadań! Po cholere ta komedia? Sprawdzasz mnie? Chcesz wiedzieć, jakie mam rozkazy?

– Wy mieliście go tylko śledzić! Jesteście, kurwa, Centralnym Biurem Śledczym, to przynajmniej śledzić powinniście umieć! Resztą zajmujemy się my.

– KGB w dawnej formie już nie istnieje. To tylko były ubol, najpewniej wplątany w mafijne porachunki.

– Jeśli się okaże, że tak rzeczywiście było, przejmiecie sprawę. Ale wszystko wskazuje na to, że się mylisz.

– Kto tak mówi? Krentz? Bauer? Ty?

– Specjalnego śledztwa życzy sobie prezydent. Jeśli ci się to nie podoba albo mi nie wierzysz, to poproś Szwajcowskiego, żeby zadzwonił do Maliniaka.

– Ludzie od Maliniaka też tu są?

– Mają swoje zadania, gównu cię to obchodzi.

Szczęsny odetchnął głęboko, usiłując zmienić ton.

– Dlaczego jesteś taka wściekła?

– Dlaczego!?! Czy ty się, kurwa, naćpałeś? Nie widzisz, że twoi kumple spieprzyli sprawę, którą zajmujemy się od wielu miesięcy!?! Co mamy teraz zrobić? Widzisz tu gdzieś napis: „Nazywam się tak i tak, i to ja go zabiłem. A w ogóle to jestem członkiem tajnej siatki wywiadowczej, skierowanej przeciwko Polsce”. To byli zawodowcy. Cud, że zostawili ciało.

– Musieli się śpieszyć.

– Na pewno. I w dodatku wiedzieli, że niewiele się tu dowiemy.

– Przecież mówiłaś, że coś wiecie o jego kontaktach.

Ultra machnęła ręką.

– Za mało. Nie wiemy co tu kombinują, ale coś się kroi. Coś bardzo niedobrego.

– Co mamy robić? – spytał wreszcie potulnie policjant.

Ultra skinęła na chudego, aby zakrył ciało, i przeszła kilka kroków w stronę, gdzie nie było ludzi. Szczęśny podreptał za nią.

– Wszystko, co tu się dzieje, jest ściśle tajne. Żadnej prasy, żadnych przecieków.

– Jasne.

– Spróbujcie jak najszybciej pogrzebać w papierach i jeszcze raz przyjrzeć się niewyjaśnionym zabójstwom w tym stylu z ostatniego półrocza. Niech kilku bystrych ludzi usiądzie nad tym i wyciśnie, co się da. Może znajdą jakieś wspólne cechy, coś szczególnie charakterystycznego, wiesz, o czym mówię. Uważnie obserwujcie także, co się dzieje teraz. Czystki bywają seryjne. Najważniejsze jest to, żebyście do takich miejsc docierali jak najszybciej i natychmiast je zabezpieczali, nie dopuszczając dziennikarzy. Wszystko, co jest związane z tą sprawą, nie może wyjść poza nas.

– Oczywiście.

Ultra zastanowiła się chwilę.

– A w ciągu ostatniej doby...

– ...było bardzo spokojnie – Szczęśny włożył ręce do kieszeni. – Nie odnotowano żadnych zabójstw. Tylko w okolicach Skierniewic, jakieś czterysta kilometrów stąd, również w lesie, w dziwnych okolicznościach zaginał sześćdziesięcioletni mężczyzna.

– W dziwnych okolicznościach?

– Świadek, dziewięcioletni chłopiec, twierdzi, że facet... rozplynął się w powietrzu...

– Co to za bzdury? – skrzywiła się Ultra.

– Nie wiem, taki przeczytałem meldunek.

– Kim był ten facet?

– Tamtejszy rolnik.

– Zostaw to gliniarzom ze Skierniewic, to nie dotyczy naszej sprawy.

Szczęśny pokiwał głową.

– Idę rozdać ludziom robotę.

– Powodzenia.

– A co ty będziesz robić?

– Jak to co? Szukać igły w stogu siana. Jak zwykle.

Adam Kniewicz siedział w bufecie przy studiu numer trzy w bloku F i opychał się napoleonką. Skończył na dzisiaj pracę. Pozostało mu jeszcze jutrzejsze wypisanie wszystkich kart emisyjnych i będzie mógł pójść na bardzo już zasłużony urlop. Nie był jednak w zbyt dobrym humorze. Odkąd przekroczył trzydziestkę, nie znosił swoich urodzin, a dziś właśnie skończył trzydzieści sześć lat. Zamierzał po powrocie do domu znaleźć pocieszenie w ramionach pięknej realizatorki dźwięku Marty Karskiej, z którą mieszkał już od ponad roku, a następnie solidnie się upić. Wiedział, że nie wypada w takim dniu wyłączać komórki, ale miał

na to dużą ochotę. Co kilka minut ktoś dzwonił z wylewnościami, życząc wielkich pieniędzy, zdrowia, czasem egzotycznych podróży i prawie zawsze stu lat, najlepiej z jedną żoną. Nawet telefon od rodziców go rozdrażnił, ale oczywiście wysłuchał wszystkiego z cierpliwością i grzecznie podziękował.

Niedawno przeczytał w jakimś piśmie, że ciało człowieka rozwija się tylko mniej więcej do trzydziestu pięciu, sześciu lat, a później – na przykład, tkanki mięśniowej może już tylko ubywać. Przeraziło go to nie na żarty jak każda przesłanka na temat nieuchronnego wchodzenia w wiek średni, i był w stanie rozwalić talerz z ciastkami na głowie każdej następnej osoby, która przerwie mu konsumpcję w celu wyszczebiotania kolejnych urodzinowych banałów. Marta, młodsza o ponad dziesięć lat od Adama, wszystkie lęki o „odpływanie młodości” kwitowała pukaniem się w czoło, uznając to za niegroźną histerię rozpuszczonego przystojniaka, przyzwyczajonego do adoracji widzów i pańienek z zespołu produkcyjnego. Uważała, że z czasem to przejdzie, więc chwilowo dodatkowe środki zaradcze były zbędne.

Do bufetu wpadł Kazik Zarzecki, korpulentny, niewysoki blondyn, wydający popularny, choć nie zawsze, zdaniem Kniewicza, ambitny program *Oko Kota* na temat niezwykłych zjawisk, zazwyczaj niepoddających się logicznej – z punktu widzenia fizyki – analizie. Kazik sprawiał wrażenie energicznego detektywa, całkowicie oddanego pracy, nad wyraz poważnie traktującego przedmiot swoich poszukiwań, jakby wyginane myślą łyżeczki, wylatujące samodzielnie z lodówki jajka czy wychodzenie z ciała, zwane naukowo eksterioryzacją, miało zadecydować w pierwszym rzędzie o przyszłości świata. Adam lubił go. Kazik był jedną z tych przywoitych, nieuwikłanych w żadne układy uczciwych osób, niemających czasu na szemranie po korytarzach, wymyślanie kolejnych intryg czy wdawanie się w wojny „na górze” lub „na dole”. Adam liczył, że przynajmniej on nie będzie go dziś obściskiwał, przypominając o tej smutnej i niepokojącej rocznicy.

– Adam! Spadłeś mi z nieba! – gruchnął bez wstępów, przysiadając się do Kniewicza.

– Co się stało?

– Tragedia, totalna awaria, powódź, szarańcza, krew w rzekach i w ogóle...

– Spokojnie – Adam poklepał kolegę po ramieniu.

– Tylko ty... możesz się okazać manną z nieba!

– Mówiłem ci, żebyś odstawił prozac.

– Jeśli mi nie pomożesz, to nie będę miał materiału do ostatecznego zmontowania i zabraknie minut. I wiesz, co się stanie? Gruba wsadzi mi do dupy montaż numer pięć, na którym jutro o dziewiątej miałem kończyć robotę. Tak powiedziała. Będę wtedy wyglądał gorzej niż ona, bo montaż numer pięć składa się z dwóch komputerów, stołu, trzech monitorów...

– Dobra! – Adam uniósł ręce do góry, dając znak, że się poddaje. – O co chodzi?

– Kazała mi jechać do Elbląga, gdzie mam zrobić materiał o facecie, który znajduje ludzi

za pomocą osobistych przedmiotów. Nie mogę tego odpuścić. Ale wczoraj rano w Skierniewicach zdarzyła się cholernie interesująca sprawa, którą też muszę zrobić teraz, bo temat przepadnie...

– Gruba nie może ci jakoś pomóc?

– Zwariowałeś? To dyrektor zamawiający, jutro ma nasiadówę u szefa Jedyński.

– Chodzi mi o to, czy nie może ci kogoś dać.

Zarzecki zaprzeczył kategorycznym ruchem głowy.

– Nie chcę, żeby jechał tam jakiś gówniarz. Proszę cię, pomóż, to dobra forsa.

– Kaziu, ja jadę na urlop... – jęknął Adam błagalnie.

– Jeden dzień i masz parę złotych więcej na swój urlop, pliiiiiiiiiiiiizz!

Kniewicz opuścił bezradnie głowę.

– No dobra, co to za sprawa?

– Wczoraj wczesnym rankiem w lesie pod Skierniewicami zaginął tamtejszy rolnik.

– Jaki to może mieć związek z twoim programem?

– To nie było zwykłe zaginięcie – Kazio podniósł znacząco palec do góry. – Facet szedł po lesie i nagle... rozpląnął się w powietrzu.

– Kaziu...

– Posłuchaj, jest świadek. Dziewięcioletni chłopak, sąsiad tego faceta, spotkał go przypadkowo w lesie i widział całe zajście. Ni stąd, ni zowąd, jak mówi ten dzieciak, „pojawił się dziwny duch, który zdematerializował rolnika, a jego rzucił dobre parę metrów na pobliskie drzewo”.

– Dziewięcioletni chłopak ze wsi opowiedział ci o dematerializacji?

– No, nie używał takich słów, ale dokładnie opisał, co się stało. Poza tym Skierniewice to pięćdziesięcioletnie miasto, a nie wieś.

– Kiedy z nim rozmawiałeś?

– Nie rozmawiałem – zaprzeczył Kazio. – Wiem to od znajomych gliniarzy. Nadają mi każde takie zdarzenie. A o tym dowiedziałem się tak późno, dlatego że do wypadku doszło w Skierniewicach. Zanim wiadomość dotarła do Warszawy, trochę minęło.

– Gdzie jest chłopak?

– Wczoraj cały dzień był w szpitalu, na obserwacji, ale teraz podobno już jest w domu. Zdrowo się poharatał, no i był w szoku. Ledwo doczłapał do chałupy, lecz nic poważnego mu się nie stało.

Adam podniósł do góry brwi.

– Ty chyba nie wierzysz w tę historię?

Kazio rozłożył ręce.

– Sam sobie tego nie zrobił. Jest poobijany, przestraszony, a rolnik zaginął. Trzeba sprawdzić.

– Słuchaj, ja raczej siedzę w polityce... – próbował się bronić Kniewicz.

– Nie ściemniaj. Trzy lata byłeś reporterem, poza tym robiłeś sport i programy dla niepełnosprawnych.

– To co innego.

Kazio wstał i zwiesił głowę.

– Trudno – mruknął smutno. – Smacznego, muszę iść.

– Dobrze, już dobrze – Adam gestem zachęcił go, żeby z powrotem usiadł. – Co z ekipą?

Zarzecki spojrzał na zegarek.

– Jest... pięć po drugiej. Zdasz zjeść obiad, a o trzeciej samochód i ekipa będą czekać na ciebie w „białym domku”.

„Białym domkiem” dziennikarze nazywali bazę operatorów kamer, światła i dźwiękowców na tyłach bloku F.

– Kto kręci? – spytał Adam

– Żukowski.

– Dobrze. Daj taśmę i zejdź mi z oczu. Gdzie mam oddać materiał?

– Na „piątkę” do Kasi. Adres: Sosnowa sto czterdzieści jeden, Skierniewice. Nazwisko: Skrepta. Razem ze zdjęciami, w obie strony wyrobisz się do dziewiątej. I nie bądź taki gburowaty, ja też nie lubię własnych urodzin.

Major Krzysztof Bauer, zastępca dowódcy agencji, siedział wygodnie na kanapie i słuchał meldunku. Jego szczupła, opalona twarz, skupiona, ale pozbawiona niepokoju, robiła wrażenie nieznacznie uśmiechniętej, co było wyrazem raczej miłego sposobu bycia majora niż rozbawienia tym, co właśnie usłyszał. Zerkał co pewien czas to na Ultrę, to na pułkownika Piotra Krentza, swojego szefa, siedzącego właśnie za biurkiem i zajętego notowaniem tego, co mówiła agentka.

Krentz miał na sobie ciemną marynarkę, opinającą szerokie ramiona, spod której wystawał czarny pulower, oraz brudnozielone spodnie. Spoglądał znad dokumentów przez lekko przyciemniane okulary, które zdejmował bardzo rzadko. Na rewelacje Ultry reagował jak zwykle – opanowaniem i chłodną analizą faktów, wsparcią od czasu do czasu sugestią dotyczącą dalszego postępowania lub błędów. Głęboki, spokojny tembr głosu nie zmieniał mu się już od ponad pół godziny, a właściwie, jak właśnie pomyślał złośliwie Bauer, od ponad dwudziestu lat, czyli od chwili, kiedy się poznali. Obaj przekroczyli już pewien czas temu pięćdziesiątkę, więc przy ledwie trzydziestoletniej Ultrze mogli uchodzić za historię tak zwanej myśli wywiadowczej oraz sił specjalnych, i ta właśnie refleksja spowodowała, że major niespodziewanie parsknął śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło, Krzysztof? – mruknął szorstko Krentz.

– Nie, nic – machnął ręką Bauer – wybac, ale przypomniałem sobie czasy, kiedy... zresztą nieważne. O czym to mówiliśmy?

– O tym, że prezydentowi bardzo się nie podobało, że na naszym terenie rozwalono

agenta SWR, którego w dodatku obserwowaliśmy – pułkownik wciąż był spokojny, ale w jego głosie major wyczuł pierwsze oznaki rozdrażnienia.

– Panie pułkowniku – wtrąciła Ultra – wiem, że skoro dopiero teraz zostałam przydzielona do tej sprawy, to może... – na chwilę przerwała. – Chodzi mi o to, dlaczego nasi chłopcy oddali faceta tym z CBS?

Krentz nie odpowiedział od razu. Skarcił wzrokiem Bauera usiłującego zapalić papierosa i wstał powoli z krzesła.

– Chodziło tylko o obserwację – mruknął wyjaśniająco – bo cały dowcip polegał na tym, że to było bardzo łatwe. Ten Rusek najprawdopodobniej wiedział, że jest śledzony, i nic z tym nie robił. Był doświadczonym agentem i mógł starać się jakoś zniknąć wszystkim z oczu, a jednak przez pół roku olewał to. Wjeżdżał do Polski, a potem wyjeżdżał z napisem na czole: „Tu jestem!”.

– Tak jakby chciał, aby go śledzono – dopowiedział Bauer

– Dlatego bez problemu mogliśmy go zostawić gliniarzom i czekać – zakończył pułkownik.

– Po co tak robił? – spytała zdezorientowana Ultra.

– Nie wiadomo. Myślę, że miał tu coś do załatwienia, a z nami na karku być może czuł się bezpieczniej – odpowiedział Krentz.

– Kogo mógł się tu obawiać?

– No właśnie. To jest pytanie, na które przede wszystkim musimy znaleźć odpowiedź. Sądzę, że to jest klucz. Raczej nie chodzi o sprawy wywiadu, działania przeciwko Polsce czy jakiegokolwiek podkopy pod nas. Z pewnością starałby się wtedy ukryć i niewykłuczone, że na pewien czas to by mu się udało. Możliwe... – pułkownik przerwał na chwilę – możliwe, że on chciał nam coś pokazać albo dokąś nas doprowadzić. Jednym słowem, nie przyjeżdżał tu, aby bruździć, lecz w czymś... pomóc. I to mnie najbardziej niepokoi.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Bauer zaczął ni stąd, ni zowąd poprawiać się na kanapie, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie, a Ultra pośpiesznie weryfikowała wszelkie swoje dotychczasowe teorie, nijak niestety niepasujące do tego, co tu usłyszała.

– Wiem, co myślisz – mówił dalej Krentz. – W jakimś sensie to nasz błąd. Przez kilka miesięcy wszystko było w porządku, aż w którymś momencie miał coś ważnego do załatwienia i urwał im się, jak chciał.

– Znaleźli go najwyżej kilkanaście minut po zabójstwie – zauważyła agentka.

– To tylko potwierdza naszą wersję wypadków. Traktował gliniarzy jak swego rodzaju ochronę, choć może nie do tego stopnia, aby podsłuchiwali, co miał do powiedzenia swoim przyszłym zabójcom.

– Jesteście pewni, że spotkał się z nimi dobrowolnie? – spytał milczący przez dobre kilka minut Bauer.

– Ślady wskazują, że na polankę w lesie przyszedł sam, inną drogą niż pozostali

uczestnicy spotkania, których było jeszcze dwóch. Ci dwaj też nie przyszli razem, ale razem odeszli. Spieszyli się. Możliwe, że nawet nie mieli czasu, aby go przeszukać, zresztą nic przy sobie nie miał. Zostawili dwie łuski, to duży błąd, a zabito go z nietypowej broni – wyjaśniła Ultra.

– Jakoś nie wierzę w ich błędy. Jeśli zostawili łuski, to być może tak chcieli albo nie miało to znaczenia.

– Znalaziono pociski? – spytał Bauer.

– Jeden utkwił w pniu mózgu, drugi przebił czaszkę na wylot – odpowiedziała agentka. – Tego drugiego jeszcze nie znaleziono. Pierwszy wystrzelono najprawdopodobniej ze... starego margolina. Trochę dziwna broń jak na współczesnych agentów ruskiego wywiadu. Jakby się facet urwał z zawodów strzeleckich. Ruscy spopularyzowali tę broń już w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na igrzyskach olimpijskich...

– Wiemy, wiemy – przerwali jej niemal równocześnie Krentz i Bauer.

– Przepraszam – Ultra zacisnęła mocno usta.

– Nie szkodzi – rzucił szybko pułkownik. – Co tak cały czas stoisz? Usiądź wreszcie.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

– Tak.

Krentz ponownie usiadł za biurkiem.

– Pamiętasz, Krzysiek, faceta, który pojawił się u nas w połowie lat dziewięćdziesiątych... Był znanym miłośnikiem właśnie tej broni – uśmiechnął się nieznacznie. – Znał nawet historię głównego konstruktora... – niewidomego, tajemniczego pana Margolina. Potwierdziło to kilku naszych agentów. Nazywał się chyba... Kołynski, Kołynow...

– Kołynin – dopowiedział Bauer. – Aleksander Kołynin. Wyglądał na jednego z „satelitnych”, po wyprowadzeniu wojsk rosyjskich. Przepłoszyliśmy go, ale później się okazało, że uczestniczył w akcji Progress w latach osiemdziesiątych, a to już grubsza sprawa, więc wzięliśmy go poważnie pod lupę. Później jednak już się nie pojawił – wyjaśnił agentce.

– Akcji Progress? – Ultra starała się szybko odnaleźć w pamięci odpowiednie fakty.

– Nie twoje czasy, ale musisz trochę uzupełnić wiedzę historyczną – powiedział rzeczowo Krentz. – KGB pod koniec lat sześćdziesiątych wpadło na pomysł, żeby w krajach bloku sowieckiego umieszczać agentów, którzy, podając się za osoby przyjeżdżające z Zachodu, starali się przenikać do podziemia antykomunistycznego. Udawali artystów, dziennikarzy, często działaczy katolickich. Nazywano ich „nielegalnymi”. W Polsce zaczęto akcję dopiero po dojściu do władzy Gierka i skupiono się przede wszystkim na Kościele. Szczególnie zależało im na dotarciu do najbardziej zdaniem Rosjan wpływowego kapłana, czyli Karola Wojtyły. Dwóch agentów o pseudonimach „Bogun” i „Filozof” miało kontrolować go, blisko zaprzyjaźniając się z otoczeniem księdza.

– Udało się? – spytała Ultra.

– „Bogun”, czyli Giennadij Bliablin, dotarł do osobistego asystenta kardynała, księdza Andrzeja Bardeckiego, ale prawdziwy problem zaczął się dopiero po wyborze Wojtyły na papieża. Rezydentem KGB w Polsce był wtedy Witalij Pawłow. Ściągnięto wówczas do Polski dziesiątki „nielegalnych”. I tak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pojawił się w Krakowie, a później w Warszawie, pan Aleksander Andriejewicz Kołynin, udający francuskiego dziennikarza. Był bardzo młody, miał dwadzieścia siedem lat.

– Długo u nas był?

– Ciekawostka polega na tym, że dość krótko. Wyjechał chyba jeszcze przed stanem wojennym albo tuż po jego wprowadzeniu, i to w dość tajemniczych okolicznościach.

Ultra spojrzała z zaciekawieniem na Krentza.

– Interesujące jest to – ciągnął pułkownik – że związał się tu z pewną studentką, należącą do NZS-u, i... zakochał się.

– Poważnie?

– Jak najbardziej.

– Agent!?! – dziewczyna mało nie wybuchła śmiechem.

– Agenci to też ludzie – rzucił z kanapy Bauer. – Nie każdy może być taką superwoman jak ty.

– Może taki był plan – Ultra starała się ukryć zawstydzenie, jak najszybciej wracając do głównego wątku.

– Jego przełożeni byli innego zdania. W dokumentach, które, jak to oficjalnie mówimy, „przejęliśmy metodami operacyjnymi”, napisano, że „stracił chwilowo możliwości psychiczne do kontynuowania akcji” – wyjaśnił Krentz.

– Nawalił?

– Noo, za to by dostał „czapę”. Odpowiedni ludzie w porę się zorientowali, że trzeba przerzucić gówniarza do bazy, aby złapał trochę oddechu. Zresztą miał zajmować się tylko studentami. Jego „powrót” do Francji nikogo nie zdziwił. Został zdemaskowany.

– Uuu...

– Swoją drogą musiał mieć niezłe plecy, skoro przyjechał tu później po latach.

– Wiadomo po co?

– Musisz zajrzeć do papierów, dokładnie nie pamiętam.

– Było kilka teorii – przyszedł z pomocą Bauer. – Jedna z nich głosiła, że po prostu do tej dziewczyny – major rozłożył ręce. – Bardzo romantyczna sprawa. Po tylu latach...

Na twarzy Ultry ponownie pojawił się uśmiech. Bauer zareagował miną wyrażającą zdecydowane oburzenie.

– Mówiłem ci, Piotr, że twoja wychowanka to wyperfumowany drut kolczasty. Obce są jej wielkie uczucia i nie rozumie drugiego dna skomplikowanych stosunków polsko-radzieckich.

– Nie kpj – skarcił go Krentz. – Trzeba sprawdzić na wszelki wypadek, co się teraz

dzieje z panem Kołyninem.

– Czy przypadkiem nie powrócił do łask? – spytała Ultra.

– Przed wszystkim, czy przypadkiem znów nie odwiedził ostatnio naszego pięknego kraju.

Dopiero po dobrym kwadransie kierowca znalazł dom pod sto czterdziestym pierwszym przy kompletnie nielogicznie ponumerowanej ulicy Sosnowej i Adam Kniewicz mógł wreszcie wysiąść z samochodu. Ulica była dość wąska, ale świeżo wyasfaltowana. Od wielkiej ściany lasu dzieliły ją pola uprawne, niewielki, najwyżej „kilkudziesięciodrzewny” lasek, w którym kiedyś stał domek jednej z tutejszych rodzin, i oczywiście poligon. Odkąd rodzina ta wyprowadziła się do centrum Skierniewic, ich chałupa, żeby było śmieszniej, pomalowana niegdyś na kolor niebieski, zaczęła się powoli rozpadać, aż po kilkunastu latach nie pozostał po niej ślad. Jej resztki przydały się najprawdopodobniej do ogrzania domów sąsiadów, bo przecież większość używała do tego celu węgla i drewna. Centralne ogrzewanie stanowiło znak dalekiej przyszłości.

Mały lasek był od czasów wojny ulubionym miejscem zabaw dzieci z Sosnowej, a właścicielka – symbolem twardej walki o prawo do spokoju w pobliżu własnego domu. Kilka razy dziennie można było zobaczyć, jak biedna kobiecina wybiega z miotłą z domu i goni sforę nieznośnych bachorów, podkładających jej pod płotek kapiszony, petardy czy inne źródła uciech złośliwych małych. Robienie jej na złość było poniekąd tradycją na Sosnowej, przekazywaną z ojca na syna. Toteż gdy gospodyni wyprowadziła się wraz ze spokojnym, nikomu niewadzącym mężem i córką, zrobiło się smutno. Po kilku latach przyszła wiadomość o jej śmierci. Dziś dzieci jakoś omijają mały lasek, a z wesołego niegdyś centrum rozrywki pozostało tylko smutne, ponure i opuszczone skupisko kilkudziesięciu drzew.

– Poczekajcie, sprawdzę, co i jak – rzucił Adam w stronę ekipy.

Chłopcy pokiwali leniwie głowami, licząc na to, że szef będzie załatwił sprawę wystarczająco długo, aby można było się trochę zdrzemnąć. Adam nie zdążył jednak dojść do bramy, kiedy w drzwiach niewielkiego domku pojawił się niewysoki, starszy pan. Pokonał nie bez trudu trzy schodki i podszedł do furtki, otwierając ją dziennikarzowi. Wydał się Kniewiczowi chorobliwie błady. Poprawił zaczesane do tyłu siwe włosy i uśmiechnął się z wysiłkiem. Choć sprawiał wrażenie zmęczonego, dało się wyczuć w jego gestach zdecydowany wysiłek włożony w ukrycie samopoczucia, być może choroby, ale Adam nie chciał o to pytać.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie starszy pan. – Jan Skręta, dzwoniło do nas z Warszawy, wszystko wiemy.

Dziennikarz podał mu rękę.

– Jak się czuje wnuk?

– Dziękuję, że pan pyta. Jest wystraszony, ale ogólnie chyba nieźle. Ma kilka sińców i zadrapań.

– Może jednak odłożymy to na kiedy indziej? – spytał ryzykownie Kniewicz.

– Myślę, że dobrze mu zrobi rozmowa z panami – odparł Skręta. – Cieszył się, że przyjedziecie. Ma, jak sędzę, dużą potrzebę wygadania się przed kimś o niekwestionowanym autorytecie, a telewizja idealnie do tego pasuje.

Sposób wypowiedzania się gospodarza nie pasował Adamowi do schematu chłopca z przedmieścia niewielkiego miasteczka.

– Pan jest rolnikiem? – spytał delikatnie.

– Niezupełnie. Teraz jestem emerytem, ale kiedyś pracowałem w Instytucie Sadownictwa u profesora Pieniążka. Jestem biologiem. Zapraszam do środka.

Adam machnął ręką w kierunku samochodu.

– Trochę potrwa, zanim wniosą i ustawią sprzęt – wyjaśnił starszemu panu – więc będzie chwila na swobodną rozmowę.

Skręta pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym podreptał w stronę drzwi wejściowych.

Parter domu składał się z trzech pomieszczeń – sypialni, dużej kuchni i również sporego pokoju, do którego gospodarz wprowadził gościa, a następnie poprosił, aby usiadł przy stojącym na środku okrągłym stole. W rogu stał telewizor, na jednej ze ścian wisiały półki z książkami, na drugiej obraz przedstawiający samotną, drewnianą chałupę na tle potężnego lasu. Podłoga była drewniana i swojsko skrzypiąca. Na górze, jak wyjaśnił pan domu, była tylko łazienka i strych. Całość sprawiała miłe wrażenie spokojnego, przytulnego domostwa.

– Arek spał, kiedy panowie przyjechali – uśmiechnął się stary Skręta. – Ale teraz z pewnością się obudził i zaraz przyjdzie.

Do pokoju jednak jako pierwsza weszła trzyosobowa ekipa Kniewicza, niosąc kamerę, statyw, lampy, blendę i monitor. Adam wydał szybko potrzebne dyspozycje, oceniając, z którego miejsca zdjęcia wypadną najlepiej; wołał nie tracić na to czasu podczas rozmowy z dzieciakiem. Chciał z nim porozmawiać jeszcze przed filmowaniem, aby możliwie najdokładniej zorientować się, czego się może spodziewać po tej dziwnej i raczej dość nieprawdopodobnej historii.

Do pokoju wszedł niewysoki blondynek, wyraźnie onieśmielony dużą liczbą gości. Spojrzał pytająco na Skrętę, po czym szybko usiadł naprzeciwko Adama.

– Dzień dobry... – powiedział cichutko i znów spojrzał na dziadka, jakby oczekiwał pomocy.

– Proszę się nie zrażać – poprosił stary Skręta, gładząc wnuczka po głowie. – Jest nieśmiały.

– Ooo, my tak łatwo się nie zrażamy – uśmiechnął się Kniewicz. Spojrzał jeszcze raz uważnie na chłopca i odczekał chwilę, zanim zadał pierwsze pytanie.

– Za chwilę włączymy kamerę – zaczął, starając się przybrać jak najbardziej ciepły ton

głosu – ale chciałbym, abyś wcześniej po prostu nam o tym opowiedział. Zgadzasz się?

– Nie wiem, czy potrafię – odparł cicho chłopak.

– Jestem pewien, że tak. Własnymi słowami, spokojnie.

– On zniknął – Arek poprawił się nieśmiało na krześle.

– Może od początku – uśmiechnął się Adam. – Poszedłeś do lasu i...

– Poszedłem w stronę... – przerwał na chwilę.

– Bagien – dopowiedział dziadek. – Nie bój się, już się nie gniewam. I mów „poszedłem”.

– No więc poszedłem tam, gdzie są mokradła, ale nie za blisko, bo grzybów nigdzie nie było, a chciałem dziadkowi zrobić niespodziankę.

– Rozumiem – pokiwał głową Kniewicz. – I tam spotkałeś pana...

– Góraj – dodał dziadek.

– Właśnie. Tam spotkałeś pana Góraję? – upewnił się dziennikarz.

– Tak. Chwilę... trochę rozmawialiśmy i ja chciałem wrócić, a on dalej siedł na te mokradła. I nagle usłyszałem taki straszny... jakby syk. Jakby coś gdzieś wciągało powietrze. Odwróciłem się i zobaczyłem nad panem Górajem coś bardzo dużego... takiego... jakby ducha.

– Ducha?

– No tak. Ale tylko chwilę, bo później był taki okropny dźwięk, pan Góraj znieruchomiał i po prostu zniknął – w oczach dzieciaka pojawiły się łzy.

– Spokojnie, Aruś, już po wszystkim – dziadek przysunął się do wnuczka i ponownie pogładził go po głowie. – Powiedz, co się później stało.

Chłopiec szybko się opanował.

– I potem ten duch zrobił się jeszcze większy i tak strasznie szybko leciał prosto na mnie i rzucił mną o drzewo! – Arek podwinął rękawy i pokazał obtarcia na łokciach i przedramionach. – Na nogach mam jeszcze gorsze.

Adam pokiwał głową, dając znak, aby kontynuował.

– No i chwilę tak leżałem, bo chyba się uderzyłem w głowę. Potem tak mi się strasznie kręciło... ale próbowałem uciec.

– Ten „duch” dalej cię gonił?

– Nie, on też zniknął. Ale tak do końca nie pamiętam, bo chciałem szybko uciec.

Ekipa skończyła rozkładać sprzęt, zupełnie nie reagując na zwierzenia chłopca, przyzwyczajona do niejednej takiej opowieści.

– Chcesz blendę? – spytał operator.

– Słucham? – Kniewicz wyrwał się z zamyślenia.

– Czy ustawiać blendę, czy chcesz spróbować bez „wypełniającego”? Tu jest dość jasno.

– Spróbujmy na razie bez – odparł Adam, nie odwracając się od chłopca.

– Wrócił do domu w szoku – wtrącił stary Skręta – i szybko wezwałem pogotowie, a Góraj do dzisiaj się nie pojawił. Szuka go policja.

- Co sądzą ludzie?
- Boją się. To nie pierwszy taki przypadek.
- Co!? Zdarzały się już tutaj takie zniknięcia?

Skręta nie odpowiedział od razu.

– Zauważył pan może, jadąc tutaj, taki charakterystyczny, ciemnoczerwony dom po lewej stronie ulicy? – spytał po chwili.

– Tak, drewno pomalowane na bordowo, trudno nie zauważyć.

– Tam mieszka Hanka Betlejewska. Wszyscy mają ją za wariatkę, ale ona wie na ten temat najwięcej.

– Porozmawia ze mną?

– Jeśli potraktuje ją pan poważnie, to tak. Jeżeli ktoś chce powróżyć sobie z kart, postawić tarota czy coś podobnego, to idzie do niej. Ogólnie ludzie trochę się jej boją. Uważa, że las zabija za grzechy.

Adam doszedł do wniosku, że chyba przyjaźń z Kazikiem Zarzeckim kosztuje go zbyt wiele, ale postanowił przejść się do miejscowej wróżbitki, jeśli to miałyby w jakikolwiek sposób urozmaicić program. Spojrzał jeszcze w stronę ekipy, sprawdzając, czy wszystko gotowe, i przypiął sobie mikroport.

– No dobrze – uśmiechnął się do Arka. – Teraz ten wysoki pan przypnie ci do koszuli taki mały mikrofonik, żeby było cię wyraźnie słychać, w porządku?

– W porządku.

– Potem włączymy kamerę i postaramy się wszystko ładnie powtórzyć.

* * *

Czerwony dom Hanki Betlejewskiej stał trochę na uboczu, ale był dobrze widoczny i trudno tu było nie trafić. Na podwórku, w fotelu bujanym siedziała kobieta ubrana w obszerne spodnie i dziwaczną koszulę. Miała najwyżej czterdzieści lat, co poniekąd zaskoczyło Adama spodziewającego się staruszki ze szklaną kulą.

– Dzień dobry! – krzyknął przez płot. – Jestem...

– Wiem, kim pan jest – przerwała kobieta, wstając z fotela. – Nie wierzy pan w tę historię i nie chce pan tu być, a jednak przyszedł pan do mnie... – stanęła metr od niego, wbijając wzrok w jego oczy.

– Trzeba przyznać, że potrafi pani zrobić wrażenie – przyznał Kniewicz.

– Tym, że mam oczy i uszy?

Adam uśmiechnął się, dając znak, że się poddaje.

– Porozmawia pani ze mną?

– A będzie pan słuchał?

– Powiedzmy, że dołożę wszelkich starań.

Betlejewska przyglądała się jeszcze przez chwilę dziennikarzowi i kiwnęła głową.

– Niech pan wejdzie, pojedziemy samochodem.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? W miejsce, gdzie znikają ludzie – zbliżyła się do niego tak, że jej twarz znalazła się najwyżej kilka centymetrów od jego nosa. – Boi się pan?

– Raczej nie.

Kobieta prychnęła śmiechem.

– Powiedzmy. Wyprowadzę samochód z garażu.

– Co pani wie o...

– Nie tutaj.

– Słucham?

– Nie będziemy rozmawiać tutaj. To nie ma sensu. Pojedziemy tam i dopiero wtedy opowiem panu co trzeba. Na razie bez kamery.

– To jak wykorzystam informacje w programie?

– Wymyśli pan coś. Jedzie pan czy nie? Tam i tak trzeba kawał drogi przejść lasem.

Adam przez chwilę się wahał.

– No dobrze, powiadomię tylko ekipę, że znikam na pewien czas.

– Tam gdzie jedziemy, nie wypowiadałabym raczej słowa „znikam” – kobieta ponownie wybuchła śmiechem.

Podróż samochodem minęła im niemal bez słowa. Adam układał sobie w myślach dalszy plan dnia, co pewien czas notując coś w palmtopie. Nie spodziewał się niczego szczególnego na miejscu, „gdzie znikają ludzie”, ale uznał, że jest winny Zarzeckiemu trochę wysiłku włożonego w wyjaśnienie sprawy. W zniknięcie rolnika nie mógł wątpić i z pewnością było czego szukać w tym lesie, choć dotychczasowe wyjaśnienia trudno nazwać sensownymi.

Po zjeździe z Sosnowej mogli jechać już tylko ubitą polną drogą, pokrytą żwirem i rzadką trawą. Obłok kurzu, jaki pozostawiali za sobą, świadczył najwyraźniej, że dawno nie padało, niewielkie chmury na niebie dawały nadzieję, że jeszcze przez pewien czas będzie ciepło, a zima spóźni się tego roku, na co Adam szczerze liczył.

Mniej więcej po dziesięciu minutach jazdy Betlejewska zatrzymała samochód przy drodze i pokazała miejsce, w którym należało wejść w las. Szli około piętnastu minut, zanim po raz pierwszy się odezwała.

– Zbliżamy się.

– Pani naprawdę wierzy w to, co mówi dzieciak? – nie wytrzymał Adam.

– A ma pan jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało?

– Mógł ich ktoś napaść, rzeczywiście skrzywdzić Góraję z zemsty lub jakiegokolwiek innego powodu, poturbować dzieciaka i nastraszyć, mówiąc, że jak powie prawdę, to już po nim. Krążąca tu legenda jest w takiej sytuacji bardzo wygodnym wytłumaczeniem.

– No widzi pan, jak to łatwo można sobie wszystko wytłumaczyć – pokiwała głową Betlejewska, utrzymując przez pewien czas ironiczny uśmiech na twarzy.

– A pani dałaby sobie uciąć rękę, że jest tak, jak on mówił?

– Oczywiście.

– Skąd ta pewność?

– Bo ja też to widziałam.

– Co!?! Widziała pani śmierć pana Górajaka!?

– Nie, widziałam śmierć kogoś innego, ale nastąpiła w identycznych okolicznościach.

Chwila ciszy po raz pierwszy przestraszyła Adama.

– Kto jeszcze w ten sposób zginął? – spytał niepewnie.

– Nikt ważny. Mój ukochany pies, którego wszyscy mieli w dupie – kobieta zatrzymała się. – Stałam mniej więcej tutaj, a on biegał między drzewami. Widzi pan tę niewielką polankę. Właśnie tam się to wydarzyło. Stał przez chwilę, potem dziwny syk, dziwna chmura i nagły podmuch, wskutek którego każdy wyskakuje z kapci, niezależnie od tego, ile waży. Oczywiście pies zniknął tak jak stał. Nikt się tym nie przejął, bo to tylko pies. Nie było dochodzenia, a gliniarze stwierdzili, że wariatka chciała zwrócić tylko na siebie uwagę, sięgając do krążącej tu opowieści, ale to była prawda.

– No właśnie – westchnął Adam. – Od jak dawna krąży ta opowieść?

– Od ponad dwudziestu lat, lecz oprócz mnie i tego dzieciaka nikt naprawdę nie widział, co się tu dzieje. Ludzie po prostu wchodzili do lasu i znikali. Nikt ich więcej nie spotkał, najczęściej nie znajdowano ciał.

– Najczęściej?

– Dwanaście lat temu zaginęła tu para turystów. Jedno ciało odnaleziono. Kobiety. Jej męża niestety nie.

– Tutaj?

– Nie. Jakiś kilometr stąd, z drugiej strony bagien. Leżała z roztrzaskaną o drzewo głową. Uznano, że to morderstwo, po pewnym czasie sprawę umorzono. Jak dotychczas na więcej trupów nie natrafiono.

– Rzeczywiście sporo pani wie. Orientuje się pani, ile osób tutaj zginęło.

– Od pierwszej ofiary... jednaście. Oczywiście nie liczę mojego psa.

– A kto był pierwszy?

– Młody żołnierz. Jak pan pewnie wie, sporo ich tu swego czasu biegało po lesie. To był poligon. Wojsko, jak sądzę, jakoś by sprawę zatuszowało, ale przyjechała telewizja i musieli coś wymyślić.

– I od razu powstała legenda?

– Traf chciał, że kilka tygodni później mieszkaniec z ulicy Sosnowej, nawiasem mówiąc, dobry znajomy mojego ojca, nie wrócił po porannej wyprawie na grzyby. Do dzisiaj nikt go nie widział. Wtedy zaczęły krążyć pogłoski, że las jest niebezpieczny. Ale wie pan, jak to

bywa. Po kilku miesiącach o sprawie zapomniano i znowu ludzie zaczęli chodzić na grzyby. Później odkryto, że niebezpieczeństwo czai się gdzieś w pobliżu mokradeł, więc mimo kolejnych wypadków ludzie chodzili do lasu, tyle że omijali bagna, wybierając dla pewności zachodnią część. To znaczy po drugiej stronie drogi, którą przyjechaliśmy.

– Dlaczego pani uważa, że las zabija za grzechy? – spytał Adam.

– Bo inny język do tych ludzi nie trafia. I nie da się inaczej zwrócić ich uwagi, także takich facetów jak pan – odparła sucho. Przerwała na chwilę i rozejrzała się uważnie dookoła.

– Jedno jest pewne. Coś tutaj zabija ludzi, i to nie jest człowiek. Jeśli ktoś z tym czegoś nie zrobi... to się nigdy nie skończy. – Spojrzała na Adama starającego się szybko znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale uprzedziła go. – No dobrze, niech pan tu podejdzie – wskazała mu korę jednego z drzew. – Widzi pan?

– Co?

– Jest lekko osmalona, jakby ktoś ją tu podgrzewał.

– Jaki z tego wniosek?

– Niech pan przypatrzy się drzewom dookoła. Wyglądają podobnie z tej strony, ale z przeciwnej wszystko jest w porządku. Warto teraz się przyjrzeć, bo za pewien czas te osmalenia znikną... aż do następnego wypadku.

– W porządku – zgodził się Adam. – Skąd się to wzięło?

– Widział pan ręce i nogi tego chłopaka? Były poparzone.

– Ręce miał trochę czerwone.

– Bo odruchowo zasłaniał nimi twarz. Niech pan tam wróci i obejrzy jego nogi, a jeszcze lepiej spodnie, w których był. Wyglądają, jakby przypiekano je nad ogniskiem.

– No dobrze, co się więc tutaj stało?

– Ten cały duch, o którym on opowiadał, to masa gorącego powietrza, uderzająca z dużą siłą. On był oddalony od Górajka o ponad sto metrów i dzieliły ich drzewa, dlatego przeżył. Podobnie było ze mną. Ale ta kobieta, która zginęła wraz z mężem, nie miała tyle szczęścia. Stała zbyt blisko. Kiedy ją znaleziono, była niemal bez ubrania, z kompletnie rozbitą głową i dotkliwie poparzona, a milicja stwierdziła, że to morderstwo ze szczególnym okrucieństwem!

– Może tak było... – Adam sam niespecjalnie wierzył w to, co powiedział.

– Wie pan, ile siły potrzeba, aby rozbić głowę o drzewo. To są w większości sosny i jodły. Mają miękką korę. Aby rozłupać czaszkę nawet o twardą podłogę, trzeba silnego mężczyzny, a tutaj mózg facetki służył po korze drzewa jak jajecznicą!

Wzdrygnął się, aż ciarki przeszły mu po plecach.

– Czy teraz powie pan komuś w Warszawie, żeby wreszcie tu przyjechał i zbadał ten las od góry do dołu? – usłyszał po chwili.

– Była pani u Skrętów?

– Oczywiście. Staremu też na tym zależy.

ROZDZIAŁ 2

Marat Gawin jeszcze raz wystukał numer i przyłożył telefon do ucha.

– Znowu zajęty? – spytał Andriej.

– Tak – Marat pokręcił głową zniecierpliwiony. Siedzieli w zaparkowanym granatowym volvie, obserwując obojętnie przechodniów.

– Co to za plac tam z tyłu? – spytał po chwili Gordiejew.

– Trzech Krzyży.

– Czego?

– Tak go tu nazywają. Plac Trzech Krzyży. Cholera wie, gdzie te krzyże, ale przynajmniej jeden masz na kościele. – Gawin, nie odwracając się, machnął ręką w kierunku tylnej szyby samochodu.

Andriej skrzywił się z niesmakiem.

– Cerkiew budować na środku placu, job twoju mać! Wot kapitalizm! Samochody jeżdżą dookoła, jak oni się tu modlą?

– Ten ich główny kościół w Watykanie też na placu stoi i nie ma problemu.

– Ale nie na samym środku i tam samochody nie trąbią dookoła!

Marat zmrużył oczy, jakby robił się senny, licząc na to, że Gordiejew wreszcie się zamknie.

– Zmieniła się trochę ta Warszawa – zaczął znowu Andriej. – I ludzie nie ci sami, i samochody...

– Co ty, do cholery, z tymi samochodami!? – zachnął się rozdrażniony Gawin. – Na mózg ci coś padło? Za dużo słuchasz tych lezb z Tatu.

Gordiejew wzruszył ramionami i jak na złość wyjął ze schowka walkmana.

– Zostaw to, spróbuję jeszcze raz.

– „Ja sasza z umaaaa...” – zamruczał Andriej, wykrzywiając oblesnie twarz, z nadzieją, że jeszcze bardziej rozdrażni kolegę.

– Co za idiotyczny zespól – jęknął z rezygnacją Marat i ponownie sięgnął do kieszeni marynarki po telefon.

– To duet – poprawił go Gordiejew z wyrzutem.

Gawin nie miał siły dalej się spierać. Wystukał numer i wbił wzrok w drzwi domu, przed którym stali.

– Tak? – usłyszał niespodziewanie w słuchawce miękki damski głos.

– Loretta? – Marat stał się uprzedzająco uprzejmy.

– Tak.

– Słyszałem, że w twoim towarzystwie można miło spędzić czas.

– Można, oczywiście, że można – głos w słuchawce stał się reżolutnie uwodzicielski.

– Kiedy będziesz wolna?

– A nawet za chwilę, tylko poczekaj, mam gościa. To znaczy nie klienta... to właściciel mieszkania, już wychodzi.

– Jestem w pobliżu, mogę być za kilka minut.

Zapadła cisza.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – spytała po chwili dziewczyna. – Na ulotkach nie ma adresu.

Marat ugryzł się w język. Idiotyczna rozmowa z Adriejem wytrąciła go z równowagi i na chwilę stracił czujność.

– Mój znajomy był z tobą. To on mi ciebie polecił... Ale jeśli coś jest nie tak, mogę zadzwonić gdzie indziej...

– Jesteś tu na placówce? – dziewczyna bez problemu wyczuła rosyjski akcent.

– Tak, akurat dziś mam wolne.

– Poczekaj sekundę.

Gawin zorientował się, że dziewczyna zasłania dłonią słuchawkę, lecz udało mu się usłyszeć, jak mówi do kogoś zniecierpliwionym tonem:

– ...jutro zapłacę... powiedziałam przecież... mam spotkanie...

Marat czekał, aż dziewczyna spławi właściciela mieszkania.

– Jesteś? – rzuciła do słuchawki

– Jasne.

– Kiedy możesz być?

– Za kilka minut.

– No to czekam na ciebie. Zadzwoń domofonem pod dwadzieścia dziewięć.

Rozłączyła się.

Gawin schował telefon do kieszeni. Andriej pokiwał głową zgorzony.

– Kurwy pracują o jedenastej rano... wot kapitalizm!

– Cicho bądź! Czekamy kilka minut i wchodzimy.

Gordiejew sięgnął leniwie po walkmana, nałożył słuchawki i rozparł się wygodnie na fotelu. Włączył „start”, zamknął oczy i zaczął wystukiwać dłonią rytm na kolanie.

– „Nas nie dogoniat...” – zaśpiewał po chwili melodramatycznie.

Dziewczyna, którą Marat Gawin zobaczył w drzwiach, była trochę wyższa, niż myślał. Miała długie kruczoczarne włosy, duże brązowe oczy i – na co zwrócił szczególną uwagę – wyjątkowo pięknie wyrzeźbione usta, a jak się za kilka sekund przekonał – także zniewalający pogodny uśmiech. W jej spojrzeniu było jednak coś smutnego, ale nieodpychającego. Na twarz Gawina mimowolnie zawitał przyjazny uśmiech. Ze wstydem przyznał, że zbyt długą chwilę poświęcił ocenie jej piersi. Zza prześwitującej koszuli zdradzały bezwstydnie swą urodę, co zmusiło Marata do większego wysiłku w celu narzucenia sobie dyscypliny. Nie miała klasycznej figury modelki, być może nawet walczyła z nadwagą, ale w żadnym razie nie zmieniało to ogólnej oceny, dotyczącej jej wdzięku. Dziewczyna nie spieszyła się długą chwilą ciszy. Pozwoliła na to, aby gość mógł do woli jej się przyjrzeć, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy, nawet gdy zza futryny wyłoniła się postać Andrieja.

– Nie mówiłeś mi przez telefon, że będzie was dwóch – zauważyła uprzejmie, lecz z nutką pretensji w głosie. – Z tobą rozmawiałam, prawda?

– Tak – przyznał Marat. – Czy to ci przeszkadza?

– Ależ skąd – dziewczyna szerzej uchyliła drzwi, żeby ich wpuścić.

Obaj mężczyźni przeszli przez krótki korytarzyk i weszli do jedynej zresztą w tym mieszkaniu pokoju. Był raczej skromnie umeblowany. Przy ścianie po prawej stronie od drzwi stał mały drewniany stolik, na którym cicho grała muzyczna miniwieża, dalej dwuosobowa skórzana kanapa, naprzeciwko – oczywiście – duże łóżko, gotowe, co raczej nie powinno zaskakiwać, w każdej chwili do użytku.

– Ile kosztuje spędzenie z tobą czasu? – spytał rzeczowo Marat.

– Nie zdejmiecie marynarek? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

– Może później. No więc ile? – Gawin uważnie obserwował, jak zamyka dokładnie drzwi.

– Sto pięćdziesiąt złotych za godzinę. Co lubicie? Razem? Czy może po kolei?

– Lubimy szczerść. I razem, i osobno. Możesz włączyć głośniejszą muzykę?

– Jasne – dziewczyna podeszła do miniwieży i przekręciła potencjometr.

Marat zbliżył się do okna, aby wyjrzeć na chwilę na zewnątrz, po czym powrócił do rozmowy z gospodynią.

– Co ty na to, abyśmy twoją stawkę pomnożyli... powiedzmy przez dziesięć?

– Słucham? – tym razem zdziwienie nie dało się już ukryć pod nieschodzącym do tej pory z jej oblicza uśmiechem.

– Chcemy ci zapłacić dziesięć razy więcej, niż zwykle bierzesz, za odpowiedź na jedno tylko pytanie.

– Jakie? – zdziwienie powoli zastępował rosnący niepokój.

– Gdzie jest Marika? – spytał powoli, ale dobitnie Gawin.

Dziewczyna poczuła, jak nieprzyjemne uczucie chłodu i odrętwienia spływa jej po karku i w dół po plecach, paraliżując na chwilę ruchy. Szybko zerknęła w stronę drzwi. Andriej

zapobiegawczo stanął tuż przy niej i na znak Marata chwycił mocno za rękę.

– To proste pytanie – zauważył Gawin.

– Nie wiem, o czym mówicie – jej głos drżał, a w oczach pojawiły się łzy. W kilka sekund opanował ją obezwładniający strach.

– No to może pytanie pomocnicze: Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć – odpowiedziała natychmiast.

– No widzisz, jak się nam fajnie gada. Skoro już jesteś dużą dziewczynką, to chyba powinnaś wiedzieć, gdzie jest twoja rodzona matka.

– Moja matka!?

– Nie udawaj idiotki! – głos Marata stał się groźny.

– Nie widziałam jej od kilkunastu lat...

Gawin podszedł do wieży, aby jeszcze trochę pogłośnić.

– Chyba ci jednak nie wierzymy – uśmiechnął się przenikliwie. – Nie zmuszaj nas do zadawania bólu. Pomyśl, tylko krótka rzeczowa odpowiedź, zostajesz z kupą forsy, i nas nie ma.

– Ja nic nie wiem! – dziewczyna wybuchła płaczem.

– Jak masz naprawdę na imię? – spytał spokojnie Marat.

– Agnieszka.

– Posłuchaj, Agnieszko. To ważna sprawa. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nam nie powiesz tego, o co prosimy, i zrobimy wszystko, żeby to z ciebie wyciągnąć. Wiesz, co to oznacza?

– Zabijecie mnie? – dziewczyna miała wrażenie, że przestaje panować nad tym, co mówi. Ręce drżały jej od dobrych kilkudziesięciu sekund, a żołądek skurczył się do rozmiarów pestki brzoskwini.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli.

– Błagam...

– Daj ją tutaj! – rzucił szybko do Andrieja i stanął przy łóżku.

Gordiejew pchnął ją brutalnie w kierunku Gawina.

– Siadaj! – powiedział spokojnie Marat. Dziewczyna natychmiast wykonała rozkaz. Rosjanin wyjął z kieszeni marynarki niewielki metalowy przyrząd.

– Ten niepozorny niezbędnik służy między innymi do wrywania paznokci – wyjaśnił. – Nie daj się prosić.

Obaj spokojnie obserwowali, jak rośnie przerażenie w jej oczach. Dziewczyna w panice szukała wzrokiem jakiegokolwiek nadziei na ratunek. Muzyka grała tak głośno, że nie słyhać było jej płaczu, ale Gawin wiedział, co robi. Czekał jeszcze chwilę, aż to, co powiedział, dotrze do niej na tyle, żeby mógł rozpocząć przesłuchanie.

Agnieszka zauważyła nagle, że coś, jakby cień, mignęło za plecami mężczyzn, ale nie była pewna, czy to człowiek, czy może wywołane szokiem przywidzenie. Minęły przynajmniej dwie sekundy, zanim zorientowała się, że strużka krwi, która właśnie zaczęła

spływać z czoła Rosjanina, jest ostatecznym dowodem, że stało się coś, co może się okazać nadzieją na ratunek. Kula, która przebiła mu czaszkę, utkwiała gdzieś w ścianie. Andriej runął bezwładnie na podłogę. Gawin, zanim dziewczyna zdołała wykonać jakikolwiek ruch, był już za skórzaną kanapą. Nie zdążył jednak wyjąć broni. Opierając się plecami o ścianę, pchnął z całych sił kanapę w stronę przeciwnika. Agnieszka teraz dopiero dostrzegła trzeciego mężczyznę. Przez chwilę chwiał się na nogach, ale nie stracił równowagi. Marat wykorzystał ten moment, aby rzucić się na niego i wytrącić mu broń z dłoni. Obaj upadli na podłogę. Agnieszka usłyszała jeszcze jeden strzał; pocisk utkwił w suficie, nikomu nie wyrządzając krzywdy. Pistolet wypadł z ręki mężczyzny. Przez chwilę trwała walka, podczas której dziewczyna zsunęła się na ziemię, nie wiedząc właściwie, jak ma się zachować. Mężczyźni udało się wyswobodzić z uścisku Gawina. Błyskawicznie ocenił sytuację i precyzyjnie uderzył Marata w podbródek. Cios nie był zbyt mocny, ale spowolnił Rosjanina. Ból i chwilowy zawrót głowy nie pozwolił mu zareagować od razu. Po chwili dostrzegł, że przeciwnik sięga po broń leżącą na podłodze, mniej więcej metr od nich. Zebrał w sobie wszystkie siły i rzucił się do drzwi. Mężczyzna odwrócił się szybko w stronę dziewczyny.

– Nic ci nie jest? – spytał po polsku.

– Nie – odpowiedziała niemal automatycznie.

– Czekaj tu! – rozkazał i ruszył za Gawinem.

Agnieszka oczywiście nie zamierzała na nikogo czekać. Zrzuciła z siebie przezroczystą koszulę i halkę, wysunęła spod łóżka szufladę, w której miała ubrania, i szybko wcisnęła się w dżinsy i luźną bluzkę. W przedpokoju włożyła wygodne adidas. Wciąż płakała i trzęsły jej się ręce, ale próbowała z całych sił wziąć się w garść. Nie zamykając drzwi, wypadła na korytarz i zbiegła po schodach. Nie zdążyła otworzyć drzwi klatki schodowej, kiedy poczuła, jak silna ręka łapie ją za twarz i mocno przytrzymuje, aby nie mogła krzyknąć.

– Mówiłem ci, żebyś poczekała – usłyszała spokojny męski głos.

Dziewczyna próbowała się przez chwilę wyrwać.

– Chcesz żyć? – spytał mężczyzna.

Skinęła głową na tyle, na ile było to możliwe.

– To rób, co ci każę. Za chwilę cię puszczę, a ty nie będziesz robiła scen.

Agnieszka ponownie skinęła głową.

Mężczyzna puścił ją. Odwróciła się gwałtownie, aby przejrzeć mu się dokładnie. Był wyższy od niej o głowę. Aż dziw, że walka z Gawinem nie popsowała jego starannej fryzury. Miał niebieskie, przenikliwe oczy, opaloną twarz, bez zarostu. Patrzył na nią spokojnie i, co szczególnie zdziwiło Agnieszkę, nie wyglądał na zmęczonego. Miał na oko czterdzieści kilka lat, ale jego oddech, dwie, trzy minuty po walce, wydawał się równomierny, jakby przed chwilą oglądał telewizję.

– Co z tantym? – spytała

– Nim zajmujemy się później. Na razie uciekł, ale jeśli nie pojedziesz ze mną, on wróci.

– A kim pan jest?

– Potem ci powiem. Teraz spokojnie stąd wyjdziemy i wsiądziemy do ciemnogrnatowego, dużego nissana, zaparkowanego tuż przy klatce. Okej?

– Dlaczego mam panu ufać?

– A masz lepszy pomysł? Możesz mi wierzyć lub nie, ale jeśli cię stąd nie zabiorę, nie dożyjesz do wieczora. To pewne.

Dziewczyna przetarła mokre oczy.

– Mogę zabrać swoje rzeczy?

– Nie.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Aleksander Kołynin. Możesz mi mówić Kola.

Pułkownik Stanisław Wyszomirski siedział sztywno na krześle w kawiarni Na Rozdrożu i rozglądał się uważnie dookoła. Oczekiwał na dziennikarza, który zadzwonił do niego wczoraj wieczorem, mówiąc, że chciałby porozmawiać o jego przeszłości, powspominać dawne czasy i zadać kilka pytań, które bardzo pomogą w najbliższym programie. Ubrał się więc w mundur galowy, przypiął wszystkie odznaczenia i medale, jak się należy, i czekał. Od czasu przejścia w stan spoczynku prawie już osiemdziesięcioletni pułkownik wiódł samotne, nudne i jego zdaniem smutne życie w towarzystwie dwóch kotów i chomika. Jediną rozrywką, którą uznawał za godną jego uwagi, były rozmowy z córką, podobnie jak on opuszczoną przez współmałżonka oraz podobnie jak on samotną i raczej średnio usatysfakcjonowaną życiem. Samotne życie, jak to ktoś kiedyś napisał, to długa, powolna droga po schodach, mała siatka z zakupami i cisza. W wypadku pułkownika urozmaicona od czasu do czasu ratowaniem chomika przed coraz to bardziej pomysłowymi kiciami.

A dziennikarz? Jest co mu opowiadać. Były kiedyś dobre czasy, wspaniałe wspomnienia, osiągnięcia, sukcesy. Jest czym się pochwalić. Może chce zapytać o Wał Pomorski? Kiedyś to się w telewizji opowiadało, nie to co dzisiaj. Same teleturnieje i głupoty. Za Polskę się walczyło, ale o tym już nikt nie pamięta. A potem nawet studentów się edukowało, ale uczyć się wojska nie chcieli. Śmichy-chichy jakieś robili, zgrywy, i żadna z nich rezerwa. Wkroczyłyby do kraju nieprzyjacieli i wtedy by się okazało, co potrafią.

– Pan pułkownik Wyszomirski? – usłyszał nagle nad sobą głos, który, jak się za chwilę okazało, należał do wysokiego, młodego człowieka.

– Tak jest! – odpowiedział odruchowo, zaskoczony i wyrwany z zamyślenia.

– Nazywam się Kniewicz. Adam Kniewicz – oznajmił wesoło mężczyzna, ale widząc, że pułkownik nie jest raczej w nastroju do żartów, spoważniał i usiadł naprzeciwko.

– A gdzie kamera? – spytał z nadzieją pułkownik.

Adam uśmiechnął się najuprzejmiej, jak umiał.

– To tylko rozmowa – odparł delikatnie. – Na razie niczego nie nagrywamy. W telewizji

nazywamy to dokumentacją.

– Czyli chce pan, abym opowiedział teraz swoje przeżycia, a nagramy kiedy indziej? – upewnił się Wyszomirski.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to tak.

Pułkownik spojrzał na Kniewicza sceptycznie.

– Dawno nie udzielałem wywiadów... – zaczął niepewnie, licząc, że dziennikarz go ośmieli. – Nie wszystko pamiętam.

Adam skinął na kelnerkę, która po chwili zjawiała się przy stoliku.

– Czego się pan napije? – spytał Wyszomirskiego.

– Herbatkę proszę albo jeszcze lepiej mleko.

Kniewicz ukrył zrećnie rozbawienie i zamówił colę.

– Panie pułkowniku – zaczął ostrożnie. – Interesuje mnie ten okres pana kariery, kiedy stacjonował pan w Skierniewicach.

– Ależ to było po wojnie – odparł wojskowy, najwidoczniej szczerze zdziwiony.

– Wiem. Ale o tym właśnie chciałem porozmawiać.

Dostrzegając zawód w oczach Wyszomirskiego, Adam nachylił się nad stolikiem, jakby chciał powiedzieć coś na ucho.

– Pamięta pan wypadki zaginięć żołnierzy i niektórych cywili w lesie, w latach osiemdziesiątych?

Z twarzy pułkownika znikło rozczarowanie, a pojawił się niepokój.

– O co panu chodzi? – spytał niemal z pretensją.

– O to, żeby mi pan o tym opowiedział.

– Nie ma o czym mówić. Wypadki w wojsku się zdarzają, jak to w wojsku, nie tylko na polu walki.

– Co to było, panie pułkowniku? Dlaczego ci żołnierze zginęli? – naciskał Adam.

– Ja nic nie wiem, panie redaktorze. Mieliśmy rozmawiać o czasach wojennych.

– Ja niczego takiego nie mówiłem. Poprosiłem po prostu pana o rozmowę – Adam przerwał na chwilę, widząc kątem oka, jak zbliża się kelnerka. Odczekał, aż postawi przed nimi napoje, po czym dodał: – To bardzo ważne. Ta sprawa musi się w końcu wyjaśnić.

– Takimi rzeczami zajmowali się oficerowie radzieccy – bronił się Wyszomirski.

– Nie – zaprzeczył twardo Kniewicz. – Pan się zajmował przynajmniej dwoma dochodzeniami po wypadkach młodych żołnierzy.

– Skąd pan wie!? – oburzył się pułkownik. – To tajemnica wojskowa!

– Ponownie się pan myli. Sprawa śmierci żołnierzy nigdy nie była oficjalnie włączona do akt tajnych i nigdy nie nazywano jej niejawną. Możliwe, że zobowiązano was ustnie do milczenia, ale komunizm upadł już dość dawno temu, a oficerowie sowieccy, na szczęście, zajmują się rozwiązywaniem problemów we własnym kraju.

– Ale ja naprawdę niewiele pamiętam...

– Panie pułkowniku! – naciskał Adam. – Las znowu zabija, pojawiły się nowe ofiary. Jeśli pan nam nie pomoże, ktoś następny może umrzeć.

– To była dziwna sprawa – machnął ręką jakby od niechcienia. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Im szybciej będziemy świadomi tego, co tam się dzieje, tym szybciej przestaną ginąć ludzie. Nie tylko na wojnie można zasłużyć się dla kraju... – Adam obserwował uważnie, czy uderzył w czuły punkt.

Wyszomirski sięgnął po szklanę z mlekiem i wypił duszkiem co najmniej połowę.

– W osiemdziesiątym trzecim było ciężko – zaczął mówić. – Dopiero co po stanie wojennym, nerwowa atmosfera, zwykli poborowi się bali.

– Czego?

– Byli w wojsku. A to ludziom wtedy kojarzyło się ze strachem. Po ulicach miast do niedawna jeździły patrole, kontrolowano rozmowy telefoniczne, była godzina milicyjna. Ktoś w mundurze na drodze, jadący na przepustkę do rodziny, nie należał do przyjaciół. Nikt nie wiedział, co będzie dalej. Nawet fala osłabła.

– Nie lubi pan wracać do tego okresu?

– A pan lubi? Zostałem zawodowym żołnierzem, aby bronić kraju. A tu co?

– Nie wierzył pan wtedy w słuszność tego, co robi generał?

– Wierzyłem – odparł nadspodziewanie szczerze Wyszomirski. – Nie wstydzę się tego. Większość z nas wierzyła. Ale młodzi bali się, a rozmawiać z nimi mogliśmy tylko oficjalnie. Wierzyliśmy, że chodziło o uporządkowanie chaosu, zapo... no, jak to się mówi? Żeby zapo...biec rozlewowi krwi. Chodziły też słuchy, że Rosjanie mieli wkroczyć. A oni byli tuż obok nas. Przyjaźniłem się z niektórymi ich oficerami. Wie pan, co żołnierz wówczas czuje?

– Mogę sobie tylko wyobrazić – odparł Adam.

– I wtedy, któreś nocy wbiega do mnie kapral. Zdyszany, przerażony – przerwał na chwilę, aby podkreślić gestem wagę tego, co powiedział. – To się normalnie nie zdarza. Kapral nie rozmawia z majorem... wtedy byłem majorem... bezpośrednio. Jest odpowiednia hierarchia. Zresztą rzadko tam nocowałem. Raczej wracałem do Warszawy. Starsi oficerowie nie przebywają stale w takich jednostkach. W stanie wojennym było inaczej. Mieliśmy rozkaz uważnie strzec terenu. Musieliśmy częściej tam bywać, i to nie tylko na wizytacjach.

– Co się stało tamtej nocy? – spytał Adam, pilnując, aby pułkownik trzymał się tematu.

– Jeden z poborowych, zwykły szeregowiec, wrócił z nocnej przechadzki po lesie mocno poturbowany. Był przerażony. I to nie tylko dlatego, że złamał rozkaz. Wie pan, nie wolno było samowolnie oddalać się od koszar. Ponadto on nie był w tym lesie sam. Poszli w kierunku bagien z kolegą. Chodziło o jakiś głupi zakład, że poleżą tam w nocy i las ich nie zje.

– Już wtedy krążyła ta legenda?

Pułkownik po raz pierwszy od początku rozmowy roześmiał się.

– Żołnierze straszili tym każdego „kota”. W Skierniewicach to był niemal zwyczaj. No i od czasu do czasu odważniejsi łazili tam, ale nic się nie działo. Tym razem było inaczej.

Pułkownik ponownie sięgnął po szklanę z mlekiem.

– Ten drugi – powiedział ściszym głosem – nie wrócił. Z początku myślałem, że to ucieczka. Ale kiedy zobaczyłem tego szeregowca, wiedziałem, że czegoś takiego by nie wykombinowali. Był pokrwawiony, miał osmalone ciało, a w kilku miejscach poważne poparzenia. Zachowywał się jak dziecko. Był w szoku, nic nie chciał mówić. Dopiero po kilku godzinach wydukał, że jego kolega nie żyje, bo chyba trafił na jakiś niewybuch.

– Co pan z nim zrobił? – spytał Adam.

– Nic. Zatrzymałem do wyjaśnienia i kazałem przenieść go do izolatki. Na wszelki wypadek. Rano mieliśmy ustalić, czy wymaga opieki szpitalnej.

Kniewicz odetchnął głęboko, ukrywając przed pułkownikiem zgorzienie. Jasne, pomyślał, spuszczać wzrok. A pani pielęgniarka pewnie doskonale oceniła, jakie chłopak ma obrażenia wewnętrzne. Do rana mógł dziesięć razy umrzeć!

– Zabezpieczył pan ten teren? – spytał spokojnie po kilku sekundach.

– Chciałem, ale wtedy zdarzyło się coś bardzo dziwnego – odrzekł Wyszomirski.

– To znaczy?

– Musieliśmy rozpocząć procedurę.

– Jaką procedurę?

– W razie zaginięcia żołnierza bądź w wypadku śmierci przewidziana jest odpowiednia procedura. Wydałem stosowne rozkazy. Między innymi poleciłem zawiadomić nasze dowództwo, ale coś mnie tknęło.

Adam uniósł brwi, jakby chciał zdopingować pułkownika do dokładniejszej relacji.

– Wsiadłem do gazika, wraz z kapitanem Zawadzkim, moim zastępcą, kierowcą i obandażowanym szeregowcem, i kazałem się zawieźć na miejsce wypadku.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale... jechał pan po nocy z rannym?

– Nie stwierdzono żadnych złamań. Zgodnie z opinią medyczną po opatrzeniu mógł uczestniczyć biernie w akcji.

– Jasne – mruknął do siebie Kniewicz. – I co takiego dziwnego się stało? – dodał głośniej.

– Kiedy jechaliśmy, myślałem, że w nocy trudno będzie znaleźć to miejsce. Szczególnie że było kilkaset metrów od drogi. Myliłem się. Z daleka widzieliśmy światło; ślepy by trafił. Zostawiliśmy kierowcę i szeregowca w wozie i z kapitanem poszliśmy w stronę światła. A tam zamiast śladów po wybuchu zastaliśmy całą chmurę Rosjan krzątających się w tym miejscu, jakby zabezpieczali dowody, ludzi z latarkami, jakichś cywili w białych fartuchach z ośrodka.

– Jakiego ośrodka?

– Kilka kilometrów od koszar i poligonu mieścił się ośrodek badań meteorologiczno-strategicznych. Prowadzili go właściwie sami Rosjanie. To, co robili, było ściśle tajne, i nie

miałem okazji tam być. Powiedziano nam tylko, że badają wpływ zjawisk pogodowych na skuteczność różnego rodzaju działań bojowych. Dostosowywali do tego taktykę i sprawdzali teoretyczne scenariusze. Reszta nas nie interesowała. Choć ośrodek sąsiedował z jednostką, dowództwa były oddzielne. Cały teren ogrodzono, ale z zewnątrz nie wydawał się ciekawy. Ot, kilka piętrowych baraków. Wtedy nawet dworzec kolejowy mógł być uznany za ściśle tajny – pułkownik roześmiał się pod nosem. – A oni badali deszczyk, chmurki i ciśnienie.

– Czy to normalne, że ludzie z ośrodka weszli na wasz teren i coś tam badali?

– Ależ skąd! Byłem dowódcą! Poza tym bez mojej wiedzy pojawili się tam także ludzie, których ani ja, ani kapitan nie znaleźliśmy! W dodatku nie było wśród nich ani jednego saper! Jeśli to był niewybuch, dlaczego tak beztrudnie wszyscy tam spacerowali! W wojsku coś takiego nawet w tamtych czasach było nie do pomyślenia.

– Co pan wtedy zrobił?

– Byłem wściekły. Nie pamiętam, co dokładnie krzychałem, ale kiedy wywrzeszczałem: „Na czyj rozkaz tu jesteście!?”, z tłumu wyłonił się pułkownik Bieński, mój bezpośredni przełożony, i powiedział, że z jego rozkazu. Oniemiałem. Bieński bywał w Skierniewicach raz, dwa razy do roku. Byłem pewien, że jest w Warszawie.

– Przecież sam pan mówił, że wydał rozkaz zawiadomienia dowództwa – przypomniał Adam.

– Tak, ale zaledwie pół godziny wcześniej, dopiero wtedy, gdy dokładnie przesłuchaliśmy szeregowca, a on powiedział nam, że jego kolega nie żyje. Niemożliwe, aby Bieński dotarł do Skierniewic w trzydzieści minut po telefonie od nas, a była druga w nocy!

– Ktoś go musiał wcześniej zawiadomić...

– Właśnie. I to tuż po wypadku. Kim był człowiek, który nie tylko wiedział o wypadku, ale miał posłuch u pułkownika i jeszcze dowiedział się, że szeregowiec zginął, zanim ja zostałem powiadomiony, nie wiem do dzisiaj.

Adam wzruszył ramionami.

– Musiał pan przecież wiedzieć, że tam z pewnością byli agenci KGB.

– Oczywiście, ale oni nie zajmowali się wypadkami szeregowców. A nagle wycieczka dwóch żółtodziobów do lasu sprowadza w środku nocy do Skierniewic ekipę naukowo-śledczą z doskonałym, jak na tamte czasy, sprzętem, wykonującą robotę na zlecenie Warszawy.

– Bo to nie był niewybuch...

– Właśnie. Pułkownik Bieński wydał jakieś tam rozkazy, wziął mnie za ramię i powiedział, że wracamy do koszar i że całą odpowiedzialność bierze na siebie.

– Czy próbował panu wytłumaczyć, co tam się działo?

– Tak. Kiedy wróciliśmy, usiedliśmy z nim i z kapitanem w moim pokoju i długo rozmawialiśmy. Uspokajał nas, mówił, że wszystko jest pod kontrolą i że musimy trzymać się tak zwanej awaryjnej instrukcji, którą dostaniemy rano.

– Napisali instrukcję przez noc!?

Wyszomirski pokręcił przecząco głową.

– To niemożliwe. Nie daliby rady. Musiała być przygotowana wcześniej. Instrukcja była wyczerpująca i miała prawie sto stron.

– Nie ma pan jej?

– Ależ skąd! I nie wiem, co z nią się stało po moim odejściu.

– Co mówił pułkownik?

– Że towarzysze radzieccy, a także naukowcy badają dziwne zjawiska na bagnach i że teren na jego rozkaz zostaje natychmiast ogrodzony i wstęp tam jest wzbroniony. Dopiero wtedy skojarzyłem ten ośrodek meteorologiczny ze zjawiskami na bagnach.

– Wcześniej nie wpadło to panu do głowy?

– Ależ skąd! Nikt nie brał tych bujdz na poważnie!

– A pułkownik... powiedział wtedy coś bardziej konkretnego?

– Mówił, że sami jeszcze nic nie wiedzą, ale zdradził mi, że te dziwne zjawiska zachodziły już wcześniej. Między nami mówiąc, panie redaktorze, tak jak wspomniałem, do tej pory nie wierzyłem w te bajki o lesie zjadającym ludzi.

– Wcześniej nie był pan świadkiem żadnych zaginięć?

– Nie. Plotki dotyczyły cywili. Teren poligonu w Skierniewicach był nieogrodzony. Tylko koszary. Teraz nie wiem, co tam się dzieje.

– Nic, wszystko pustoszeje.

– Hm, jak to w życiu... – mruknął do siebie smutno pułkownik.

– Czy przeniesiono pana gdzie indziej? – spytał Adam. – Zobowiązano do tajemnicy?

Wyszomirski pokiwał z uśmiechem głową.

– Miał pan rację na początku naszej rozmowy. Nic nie zrobiono. Zostałem zobowiązany oczywiście do przyjęcia oficjalnej wersji, czyli że żołnierz zginął od niewybuchu, w wyniku wypadku, ale do żadnej tajemnicy nas nie zobowiązano.

– Dziwne... – przyznał Adam.

– Nie musieli – pułkownik zajrzał głęboko w oczy Kniewiczowi. – Wie pan, jaka przyszłość czekała oficera, który nagle zacząłby rozpowiadać o strasznym duchu, nadprzyrodzonych zjawiskach i znikających ludziach, których zjadał las?

– Wyobrażam sobie.

– Szczególnie w tamtych czasach. Sam pamiętam, jak traktowałem te opowiadki.

– I na tym się wszystko skończyło?

– Tak, sprawa przycichła. Żołnierze mówili o tym jeszcze przez pewien czas, ale szybko zajęli się swoimi sprawami, których było niemało. Ranny żołnierz został uznany za chwilowo niepoczytalnego i oddany pod opiekę psychiatryczną. Nigdy nie wrócił do jednostki. Pewnie odesłali go do domu, nie wiem. Ciało drugiego, jak powiedział mi Bieński, zostało przewiezione na badania.

– Widział pan to ciało?

– Nie. I nikt z ludzi, których znam.

– A zwykli żołnierze?

– Niczego nie wiedzieli. Oczywiście, oprócz tego, że ich kolega zginął. Zostało jak dawniej... plotki. Wszystkich świadków przesłuchania szeregowca przeniesiono gdzie indziej, a dla poborowych był to dodatkowy sygnał, aby nie zbliżać się bez rozkazu do bagien.

– I nie zobowiązano was do tajemnicy? – upewnił się Adam.

– Tak jak panu powiedziałem. Pozwolono nawet przyjechać telewizji, której przedstawiliśmy wersję oficjalną. Bieński uczulił nas na to, aby całkowicie zaprzeczać, jeśli ktoś podejrzewałby samobójstwo. Dziennikarzom śmierć w wojsku głównie z tym się wtedy kojarzyła.

– A więc nie było żadnej tajemnicy – podsumował Kniewicz. – I pewnie wszyscy z czasem przestali widzieć w tym cokolwiek ciekawego?

– Właśnie.

– Pod latarnią bywa najciemniej – westchnął Adam. – Rozmawiał pan z kimś kiedyś o tym tak jak ze mną?

Pułkownik zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Bałem się śmieszności i... nie da się ukryć, kłopotów. Teraz mi wszystko jedno. Mam bardzo dobrą pamięć, mogłem jednak coś pokręcić, pewnie pomiąłem jakieś szczegóły. To było przecież dwadzieścia parę lat temu...

– Taaak – Adam pociągnął łyk coli i zerknął w głąb sali, jakby chciał poukładać to sobie lepiej w głowie.

– Jak pan mnie znalazł?

– Wystarczyło sprawdzić, kto wtedy tam dowodził. W starej „Trybunie Ludu” znalazłem notatkę z pańskiej wypowiedzi na ten temat i komentarz, że wyjaśnia pan wszystkie okoliczności wypadku...

– No tak, tak...

– A drugi wypadek? Ten dwa lata później.

– Prawie trzy. W osiemdziesiątym szóstym. Nie było mnie tam wtedy. Pańskie wiadomości są nieścisle – uśmiechnął się przebiegle pułkownik. – Wiem tylko, że znów było dwóch, tyle że obaj zginęli. Jeden „zniknął”, jakby opowieść tego szeregowego sprzed dwóch lat była prawdziwa, a drugiego znaleziono. Był nie do poznania, owinięty dookoła drzewa, całkowicie zwęglony. Znam to tylko z relacji, ale pamiętam, że wówczas Bieński przyznał, że możemy mieć tam do czynienia z anomaliami magnetycznymi... lub coś w tym rodzaju. To, co mówił, jeszcze bardziej zachęciło mnie do trzymania buzi na kłódkę. Wydawało mi się to kompletnie absurdalne. Na szczęście niedługo później przeniesiono mnie na Pomorze. Wróciłem do Warszawy dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. W Skierniewicach nie byłem od osiemdziesiątego szóstego ani razu.

– Nigdy pana nie ciągnęło, aby wyjaśnić te dziwne zjawiska?

– Byłem żołnierzem, starszym oficerem, ale żołnierzem. Wykonywałem rozkazy. Nie takie rzeczy w życiu przeżyłem. W czasie wojny doszedłem od Studzianek do Berlina. Potem... sam pan wie, co się w Polsce działo. Te wypadki to kropla w morzu. Temat dla pana i dziennikarzy takich jak pan. Nie dla mnie.

– Jak pan teraz żyje? – spytał niespodziewanie Adam.

Pułkownik rozważał przez chwilę, czy nie powiedzieć: „a co to pana obchodzi”, ale powstrzymał się.

– Doskonale – odparł uprzejmie. – Życie na zasłużonej emeryturze jest bardzo przyjemne.

Ultra nachyliła się nad ciałem. Jeszcze raz przyjrzała się twarzy, lecz nie było wątpliwości.

– Cholera, to on – zakłęła, ciężko opadając na kanapę. – Zróbcie mu jeszcze kilka zdjęć i zdejmijcie z tego mieszkania wszystko, co się da, każdy drobiazg.

– Za chwilę! – usłyszała spod drzwi wejściowych. Krzysztof Bauer wszedł właśnie do mieszkania. Rozglądał się przez chwilę po ścianach i suficie, jakby pojawił się po to, by ocenić, czy mieszkanie nadaje się na przykład do wynajęcia czy sprzedaży, po czym podszedł do Ultry i usiadł obok niej. Miał na sobie czarny, wymięty prochowiec i kapelusz, który zdjął dopiero w tej chwili. Nie mówił nic przez kilka sekund, przecierając zmęczone oczy.

– Co pan sądzi o tym, majorze? – spytała agentka, nie odrywając wzroku od denata.

– Wyjdźcie na chwilę! – rzucił do ekipy zdejmującej ślady i robiącej zdjęcia. Zamknął oczy i odetchnął głęboko. – Jesteśmy po pachy w gównie.

– Prezydent już wie?

– Wie. Kazał Krentzowi meldować o całej sprawie na bieżąco.

– Aż tak?

Bauer wzruszył ramionami ze zrezygnowaniem.

– Dziwisz mu się? Byli starsi oficerowie KGB urządzają sobie bonanzę w naszym kraju, co drugi dzień zostawiają nam trupy swoich kolegów, a ty się pytasz, czy „aż tak”?

– Musimy się pośpieszyć – stwierdziła agentka, podnosząc się z kanapy.

– Czytałaś jego akta? – spytał major, wciąż uważnie lustrując wzrokiem cały pokój.

– Tak, jadąc tutaj. Andriej Gordiejew, były agent operacyjny z grupy Marata Gawina. W Polsce działał pod pseudonimem „Pop”. Brał czynny udział w akcji Progress, ale jako bufor. Ostatnia zanotowana wizyta w Polsce... czerwiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty rok.

– Trzeba sprawdzić, co się z nim działo w Rosji od tego czasu.

– Z akt wynika, że został odsunięty.

Bauer pokręcił z niedowierzaniem głową

– Nie wierzę, to nie takie proste. Podrzucili nam bałach, a my w to wierzymy. Co prawda

zginął w mieszkaniu kurwy, ale raczej nie szukał tu rozrywek.

– To nie jest jej mieszkanie – poprawiła Ultra. – Wynajmuje od roku.

– Trzeba ją jak najszybciej znaleźć.

– Próbujemy. Zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Bauer wstał, przeszedł się po pokoju, a następnie podszedł do agentki.

– Właśnie po to tu przyjechałem – rzekł ściszym tonem. – Musisz ją jak najszybciej znaleźć. Zostaw tego martwego Ruska, my się nim zajmiemy. Tu masz wszystko, co wiemy na jej temat – skinął na faceta w czarnym garniturze stojącego w drzwiach.

Mężczyzna podszedł i podał Ultrze teczkę, którą trzymał do tej pory pod pachą.

– Mogę się odmeldować? – wyciągnął się jak struna.

– Tak.

– Może to przypadek, panie majorze? – spytała Ultra, gdy elegancik się oddalił. – Ta kobieta może nie mieć z tym nic wspólnego.

– Nie sądzę – Bauer wolno pokręcił głową i uśmiechnął się tajemniczo. – Sprawdź, czy przypadkiem nie było w tym mieszkaniu niejakiego Aleksandra Kołynina, o którym zresztą przy jakiejś okazji już ci mówiliśmy.

– Tego zakochanego?

– Nie lekceważ go. To był świetny szpieg. Mówi po polsku bez akcentu, zna poza tym cztery języki. Nigdy nie udało się go na niczym przyłapać, a w czasie akcji Progress wniknął w opozycję jak w masło. Masz wszystko w teczce. Od wielu lat nie było go w Polsce, ale obawiam się, że to on strzela. Nie wiemy tylko, dlaczego likwiduje byłych agentów i dlaczego w Polsce? Przesłuchaj świadków i znajdź go, ale nie likwiduj, nawet jeśli okaże się, że to rzeczywiście on.

– Tak jest.

– Upewnimy się, czy wjechał ostatnio do Polski, i dam ci znać.

Ultra otworzyła teczkę i wzięła do ręki zdjęcie leżące na wierzchu.

– Bardzo przystojny – przyznała, przyglądając mu się uważnie.

Bauer uśmiechnął się pod nosem.

– Nie znam się na tym – mruknął rozbawiony – ale podobno tak.

– I rozumiem, że trzeba być bardzo ostrożnym?

– Przede wszystkim, jak wspomniałaś, trzeba się bardzo pośpieszyć.

Marta Karska podeszła do siedzącego przy biurku Adama. Kniewicz zatrzymał wzrok na jednej ze stron dokumentu, który miał przed sobą, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co dzieje się w mieszkaniu. Przez dobre kilkadziesiąt sekund nawet nie drgnął. Nie zareagował także na cień, który pojawił się na blacie. Mruknął tylko cicho, jakby rozmawiał w myślach sam ze sobą.

– Może poszedłbyś wreszcie spać... – powiedziała ostrożnie dziewczyna, dotykając

delikatnie jego ramienia.

– Która godzina? – spytał, nie odrywając wzroku od dokumentów.

– Już późna noc.

– Wiem, że noc, która godzina? – mruknął rozdrażniony.

– Pierwsza – odpowiedziała Marta i zdjęła rękę z jego ramienia.

Kniewicz obrócił się na fotelu i posłał jej wymuszony uśmiech.

– Przepraszam, kochanie, zabrnąłem w tych papierach w ślepią uliczkę. Nie gniewaj się.

Marta przyjrzała mu się uważnie. Miał zmierzwiłone włosy, zmęczone, podpuchnięte oczy, nerwowo przygryzał wargi. Kołnierzyk koszuli był wyraźnie brudny, co natychmiast rzuciło jej się w oczy. Sprawiał wrażenie nieobecnego, zdenerwowanego, może nawet przestraszonego.

Trzeci dzień ślęczał za biurkiem, przeglądając dziesiątki dokumentów, co pewien czas wybiegając z domu na parę godzin, by po powrocie znów przykuć się do swojego fotela i wertować papiery od nowa. Odkąd przeprowadził się do niej, nie widziała go w takim stanie. Często długo pracował, ale z pewnością nie w taki sposób.

– Co się dzieje, Adam? – spytała z wyraźnym niepokojem.

Kniewicz uderzył mocno dłońmi w uda.

– Szukam czegoś, kwiatuszku.

– Masz kłopoty w pracy?

– Nie, to nie to. Widzisz, ostatnio byłem w pewnym miejscu...

– Wiem, w Skierniewicach – pokiwała głową zadowolona, że wreszcie z nią rozmawia. – To jednak nie powód, żeby zachowywać się jak kataleptyk.

– Tam był kiedyś poligon wojskowy – ciągnął Adam, ignorując uwagę. – Teraz jest spokojny las. Ale parę dni temu pewien dzieciak był świadkiem dziwnego wypadku. Zginął jeden z jego sąsiadów w bardzo dziwnych okolicznościach...

– To znaczy...? – Marta usiadła na drugim fotelu.

– Facet szedł lasem i nagle... rozpląnął się w powietrzu.

– I to ci powiedział ten dzieciak?

– Nie rozumiesz. Byłem tam. Chłopak miał obrażenia, których normalnie nie byłby w stanie sobie zrobić. To nie były siniaki z boiska piłkarskiego. Drzewa w okolicy były osmalone, ściółka wyraźnie popalona. Poza tym wiem również o innych wypadkach.

– To dlatego siedzisz trzeci dzień z błędnym wzrokiem przed komputerem, nie jesz, prawie nie pijesz i wyglądasz jak duch ojca Hamleta? – Marta zacisnęła usta i wbiła oczy w Adama, oczekując natychmiastowych wyjaśnień.

– Jem – usprawiedliwił się Adam. – Nie zauważasz tego, bo jestem trochę zajęty, ale myślę, że trafiłem na coś ważnego. Popatrz – wziął kilka dokumentów z biurka i przysunął się bliżej dziewczyny, pokazując coś palcem na wydruku.

Marta wciąż przyglądała mu się uważnie, nawet na chwilę nie zerkając na papiery.

– Posłuchaj – nie rezygnował Kniewicz. – Obleciałem wszystkie możliwe archiwa, biblioteki, gadałem z różnymi ludźmi. To nie są jakieś tam bajki chłopów z pola. W tym miejscu coś się dzieje, nawet wojskowi się tego boją.

– To dlaczego nigdy o tym nie słyszeliśmy? – zainteresowała się wreszcie Marta, ku uciesze Adama.

– No właśnie dlatego, że to był teren wojskowy. W Skierniewicach byli i Polacy, i Ruscy, a momentami nawet Bułgarzy, i nikomu nie wolno było zbliżać się do tego miejsca. Pewien stary pułkownik powiedział mi nawet, że nikt nie wiedział tak naprawdę, co się tam dzieło, ale Ruscy próbowali to badać. Doszli do wniosku, że to coś w rodzaju trójkąta bermudzkiego. Od czasu do czasu uaktywnia się jakieś nieznane nam pole magnetyczne i wtedy ludzie znikają. Co się z nimi dzieje, nie wiadomo, może wyparowują, może przenoszą się do innego wymiaru...

– Adam, czy wiesz, co mówisz? – Marta ponownie zaczęła uważnie przypatrywać się Kniewiczowi.

– Też tak do tego na początku podchodziłem, ale to fakty! – wybuchnął z pasją. – To są wojskowi. Oni nie wierzą w cuda. Trafili akurat na taki teren, odkryli dziwne zjawisko, trzymali sprawę w tajemnicy.

– Po co?

– To chyba jasne. Nawet za czasów socjalizmu zwaliliby się im na głowę dziennikarze z całego świata, a to przecież teren wojskowy. Poza tym nie chcieli wyjść na wałów. Większość poważnych ludzi potraktowałaby ich tak, jak ty traktujesz teraz mnie.

– No dobra – Marta pokiwała ze zrozumieniem głową. – Co się tam według ciebie dzieje?

– Wszystko wskazuje na to, że podobnie jak w trójkącie bermudzkim co pewien czas wyzwała się tam jakaś energia elektromagnetyczna i... wtedy lepiej nie być w pobliżu.

– I to wszystko?

– Tam może być coś głęboko pod ziemią; może to „coś” co pewien czas daje o sobie znać? Nie wiem.

– Ilu ludzi zginęło w tym miejscu?

– Dwunastu. O tylu wiadomo. I pies. Natomiast nigdy się nie dowiemy, ile zginęło zwierząt leśnych.

– W ciągu ilu lat?

– Nie wiem. Dopiero jakieś dwadzieścia lat temu zauważono to zjawisko. Jakie to ma znaczenie? Wojskowi ogrodzili ten teren i przez całe lata nie było tam dostępu. Zresztą wszyscy się bali, nawet wojskowi.

Marta po raz pierwszy spuściła wzrok z Adama i zamknęła oczy, jakby chciała się przez chwilę zastanowić.

– Co znalazłeś w tych archiwach?

– Wszystko prowadzi do tego samego. Tajemnicze, niewyjaśnione zjawisko. Badania

naukowe nic nie dały. Dziwne zgony żołnierzy. Potem zmienił się system, Ruscy wyjechali, kilka lat później wojskowi opuścili teren.

– I niczego nikomu nie przekazali?

– Nie pamiętasz tych czasów? Wszystkich wszystko gównem obchodziło. Rosjanie wyjeżdżali i zostawiali za sobą taki burdel, że przez lata nie można było z tymi ich bazami dojść do ładu.

– Kiedy upadał socjalizm, miałam dziesięć lat, oldboju – zauważyła Marta.

– No, fakt. Ja... dwadzieścia. I pamiętam. Ich były bazy wyglądały, jakby przeszedł tamtędy tajfun. W Skierniewicach nie było tak najgorzej, ale zauważ, że głównie stacjonowali tam Polacy.

– I dlatego, że wojskowych guzik już obchodzi ten teren, pozwalają umierać ludziom?

– Wszędzie są tabliczki: „Wstęp wzbroniony”. Przynajmniej tyle zrobili.

– Chcesz tę sprawę nagłośnić?

– Nie wiem. Na razie mam trochę za mało danych. Brakuje mi punktu zaczepienia. Nikt nie chce ze mną rozmawiać, cudem wyciągnąłem kilka informacji od stetryczalego, zesklrowacialego pułkownika.

– Trójkąt bermudzki... – z politowaniem pokręciła głową Marta.

– Nie śmieję się. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zniknęło tam ponad sto różnego rodzaju jednostek. Jest taki facet, nazywa się Charles Berlioz. Podobno właśnie on najlepiej się na tym zna. Twierdzi, że na dnie oceanu występują anomalie geomagnetyczne, być może wywołane gigantycznym kryształem, oddziaływającym co pewien czas na przestrzeń. Pamiętaj, że właśnie tam najprawdopodobniej pierdzielał meteoryt, wskutek czego wyginęły dinozaury i dziewięćdziesiąt procent ówczesnej flory.

– To była Zatoka Meksykańska.

– No, to tuż obok. Jeśli wali w Ziemię skała o wielkości Kalifornii, kilka kilometrów nie odgrywa roli. Tam zjawiska są potężne, na wielką skalę, tutaj być może wszystko dzieje się na podobnej zasadzie, tyle że na znacznie mniejszą skalę.

Marta przytaknęła ze zrozumieniem głową.

– Ochłoń – powiedziała spokojnie. – Odpocznij, a potem oceń trzeźwo, czy przypadkiem nikt tu nie robi cię w konia.

– Tak? – Adam otworzył szufladę i wyjął dużą żółtą kopertę, po czym podał ją Marcie. – To co powiesz na to?

– Co to jest?

– Przesyłka. W środku są satelitarne zdjęcia lasu skierniewickiego. Analiza cieplna, strukturalna. Wykazane anomalie elektromagnetyczne i sporo pierdoł w jakimś naukowym fizycznym żargonie. Nie mam o nich zielonego pojęcia. Nie sądzisz, że to trochę zbyt wyrafinowane metody jak na grupę rolników spod Skierniewic?

– Skąd to masz?!

– Przesłano mi kopertę do pracy, na Woronicza. Nie wiem kto. Wszystko napisane po angielsku.

– Boże! Adam, zostaw to! – Marta była wyraźnie przestraszona. – Znowu wpakujemy się w kłopoty! Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś!?

– Posłuchaj – Kniewicz starał się mówić spokojnym, wyważonym tonem. – Ktoś wie, że się tym zajmuję. Ktoś poważny. Ktoś, komu zależy na rozwiązaniu tej sprawy. Czuję, że nie chce mi zrobić krzywdy. To sygnał. Nie mogę teraz odpuścić.

– Wiesz, o czym mówisz!? – dziewczyna głęboko nabrała powietrza. – Polska nie ma satelitów szpiegowskich. Nikt u nas nie robi, ot tak sobie, zdjęć z kosmosu w podczerwieni, analiz emisji ciepła i pomiarów anomalii elektromagnetycznych! Zostaw to! Chcesz, żebyśmy się wpakowali... jak wtedy z „Zygakiem”?

Adam patrzył przez pewien czas na Martę bez słowa, po czym z powrotem przysunął się do biurka.

– Nie mogę – rzekł cicho po chwili. – Ale przyrzekam ci, że tym razem będę ostrożniejszy.

ROZDZIAŁ 3

Samochód zatrzymał się przed dużą czerwoną bramą. Kola wyjął z kieszeni marynarki pilota, nacisnął guzik „IN” i odczekał trochę, aż żelastwo leniwie przesunie się na tyle, by umożliwić wjazd. Chwilę później wóz wolno wtoczył się na podjazd, przejechał kilkadziesiąt metrów i zahamował przed drzwiami dużej willi.

– Jesteśmy na miejscu – mruknął cicho.

Przez całą drogę oboje nic nie mówili, więc dźwięk jego głosu spowodował, że dziewczyna lekko drgnęła.

– Agnieszka! – ponaglił, widząc, że w dalszym ciągu siedzi w samochodzie, wpatrując się w jakiś punkt za przednią szybą.

Teraz dopiero odwróciła się w jego stronę. Jej spojrzenie zdradzało zmieszanie, ale nie było w nim niepokoju.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała spokojnie, wysiadając z samochodu.

– Chodzi ci o twoje imię?

– Nie tylko. O miejsce, gdzie wynajmuję mieszkanie... o Rosjan... wszystko.

– Znałem dobrze twoją matkę – odparł głosem głębokim, ale jednocześnie miękim i spokojnym.

– Tylko tyle? – Agnieszka rozłożyła ręce w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Wejdzmy do środka – Kołynin wyjął klucze i otworzył drzwi. Wprowadził dziewczynę do dużego salonu i wskazał wygodną kanapę, stojącą mniej więcej na środku przy podłużnym szklanym stole. – Czego się napijesz?

– Wody.

– Bez soku?

– Bez.

Kola wyszedł z salonu. Agnieszka rozejrzała się dookoła. Przyszła jej do głowy złośliwa myśl, że właściciel domu kupił całe wyposażenie pokoju, w którym się teraz znajdowała, jednego dnia w jednym sklepie. Barek, szafki, regał, kanapa, fotele, nawet stolik pod telewizor wykonane były z tego samego, jasnego drewna, wzbogaconego jasnoniebieskimi ozdobami, w dodatku, zdaniem Agnieszki, średnio gustownymi.

Kołynin ponownie pojawił się w progu, trzymając w dłoniach szklanki. Jedną z nich postawił przed dziewczyną, z drugiej pociągnął spory łyk i usiadł na dużym fotelu naprzeciwko.

– Pamiętasz swoją matkę? – spytał nagle.

– Słabo i nie mam zamiaru jej sobie lepiej przypominać – odrzekła, a potem zacisnęła mocno usta.

– Uspokój się – uśmiechnął się przyjaźnie Kola – tu nic ci nie grozi.

– Jaka ulga! I co jeszcze powiesz? Fajna pogoda?

Kołynin pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Nie musisz mi wierzyć. Jesteś wolna, możesz w każdej chwili wyjść.

– A za drzwiami będą czekać ci mili panowie, którzy odwiedzili mnie w tamtym mieszkaniu?

– Nooo... może nie za drzwiami, ale myślę, że znajdą cię szybko.

Mimo wysiłków czynionych przez Agnieszkę w jej oczach pojawiły się ponownie łzy.

– Powiesz mi, o co chodzi? – spytała, starając się opanować.

– To zależy od ciebie.

– To znaczy!?! – niemal krzyknęła, biorąc do ręki szklankę i pośpiesznie opróżniając ją do połowy.

– Nie będziesz mogła o tym z nikim rozmawiać.

– Bo mnie zabijesz!?! – spytała z wyraźną pretensją i złośliwością w głosie, ale szybko tego pożałowała. Kołynin nic nie odpowiedział, lecz przyglądał jej się uważnie.

– Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana – wyjaśniła usprawiedliwiająco.

– Nie przejmuj się. Rozumiem – odparł, nie spuszczać z niej wzroku.

– Co jeszcze?

– Jeśli zaczniemy rozmawiać, nie będziesz już mogła żyć jak do tej pory.

– Już nie żyję tak jak do tej pory.

– Teraz decydujesz o swoich sprawach sama, kiedy jednak dowiesz się tego, o czym ci powiem, będziemy musieli współpracować.

– Czyli... już nie będę mogła wyjść, kiedy zechcę?

Pokiwał potakująco głową.

Agnieszka wstała i podeszła do okna.

– Nie mam zbyt wiele czasu na zastanowienie – mruknęła cicho, jakby do siebie.

– Albo cię będę chronił, albo będziesz musiała robić to sama.

Dziewczyna ponownie odwróciła się w jego stronę.

– Kim ty właściwie jesteś? Masz rosyjskie nazwisko, ale mówisz jak Polak. Wpadasz jak Zorro, załatwiasz dwóch facetów, których widocznie nie zadowalały moje usługi, i wywozisz mnie na przedmieście, aby, jak twierdzisz, zapewnić mi ochronę. Dobry samarytanin?

– Już mówiłem. Byłem i jestem przyjacielem twojej mamy.

– Rosjanin?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– Rosjanie to też ludzie. Znamy się z nią od wielu lat. Kochałaś ją bardzo, prawda?

– Nienawidzę jej. Zostawiła mnie w pieprzonym domu dziecka, kiedy miałam dziewięć lat, i tyle ją widziałam. Dziękuję za skopane dzieciństwo.

– To nie jest takie proste, jak myślisz.

– A co ty możesz na ten temat wiedzieć!?

– Wszystko.

Agnieszka zamarła na chwilę. Kola dostrzegł to. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wciąż uważnie się jej przyglądał.

Dziewczyna podeszła wolno do stołu i usiadła na kanapie.

– Dobrze – odparła, nie patrząc w jego stronę. – Zgoda. – Wyraz jej twarzy stał się nagle chłodny, może nawet obojętny. – Kim oni są i czego ode mnie chcą? – spytała oficjalnie.

– Od tej pory aż do odwołania będziesz robić to, co ci każę?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak, do cholery!

Kołynin odczekał chwilę, pociągnął kolejny łyk ze szklanki.

– Co pijesz? – spytała Agnieszka kompletnie nie na temat.

– Whisky z tonikiem.

– Whisky z tonikiem!?! Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś pił tak idiotyczny koktajl.

Kola skwitował tę uwagę dobrodusznym uśmiechem. Postawił szklankę na stole i sięgnął po papierosy.

– Oni szukają twojej matki – powiedział po chwili.

– Po co?

– Nie pytasz, czy wiem, gdzie ona jest?

– Nie pytam. Po co jej szukają?

– Ona wie... zna pewną tajemnicę. Bardzo ważną.

– Tak ważną, że warto dla niej zabić?

– Ooo, zdecydowanie tak – przytaknął Kola. – Szczególnie dla tych facetów.

– To zawodowi mordercy, których zatrudnia jakiś mafioso...

– Nie – uciał Kola. – To byli agenci KGB. Słyszałaś chyba o takiej organizacji?

– Słyszałam, ale, o ile wiem, to już chyba przeszłość.

– No, jak się właśnie przekonałaś, nie do końca. KGB przekształciło się w kilka wyspecjalizowanych agencji. Ich nazwy niewiele ci powiedzą, więc nie będę tym teraz zawracał ci głowy. Ważne jest to, że niektórych dawnych agentów przyjęto do nich, a niektórych... nie. A tak przy okazji, skąd to wiesz?

– Z amerykańskich filmów. Wy jesteście ci bezrobotni?

– Nie „my”. „Oni”.

– A ty?

– A ja pilnuję, aby wyrządzili jak najmniej szkód.

Agnieszka wciąż sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

– Jeśli oni chcą zrobić coś złego, nie łatwiej zwrócić się do naszych władz?

– Nie.

– Przecież to, do cholery, Polska, nie Rosja. Nie ty jesteś od robienia tu porządku!

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą.

– I rozumiem, że ja też nie mogę zawiadomić policji?

– Tak się umawialiśmy.

– Dlaczego!?! Dla kogo pracujesz?

Kola uniósł na chwilę dłoń do góry, jakby starał się uspokoić dziewczynę.

– Mam swoje powody. Pracuję dla rosyjskiego rządu i wierz mi, jesteśmy po tej samej stronie.

– I ja mam w to uwierzyć?

– A po co bym cię chronił? – Kola odczekał chwilę, aż argument dotrze do Agnieszki. – Po co bym narażał życie, wyciągając cię z tego mieszkania?

Z tych samych powodów co oni.

– Tak? Tylko że ja wiem, że ty nie masz o niczym pojęcia, a oni tego nie wiedzą. Są przekonani, że wiesz, gdzie jest Marika. Dla mnie z tego punktu widzenia jesteś zupełnie nieprzydatna.

– Jaka Marika, do cholery!?! – nie wytrzymała Agnieszka.

– Nigdy nie słyszałaś tego imienia? – spytał Kola.

– Nie.

– Na pewno? – Kołynin po raz kolejny zajrzał jej głęboko w oczy. – Mieliśmy być ze sobą szczerzy.

– Pierwsze słyszę.

Kola zamilknął, rozparł się w fotelu i skupił wzrok na suficie.

– No dobra! – warknęła zrezygnowana. – Kiedy oddawała mnie do sierocińca, wymieniła to imię.

– Zapamiętałaś!

– Byłam przerażona! – wrzasnęła. – Zostawiała mnie u nieznanym mi ludzi! Wszystko wtedy nie miało znaczenia... oprócz tego, że moja matka mnie opuszcza! Tak, zapamiętałam to imię. Kto to jest!?

– Jeszcze się nie domyśliłaś? Właśnie ona, twoja matka.

– Ona ma na imię Maria.

– Wiem, ale Marika... – Kola przerwał na chwilę. – Ja ją tak nazywałem. „Oni” również

znają ją jako Marikę.

Agnieszka opuściła głowę, nie mówiąc nic przez dobre kilkadziesiąt sekund.

– Byłeś jej facetem? – spytała wreszcie.

– Kochałem ją – odparł bez zastanowienia Kołynin. – I ufałem jej. W swoim czasie musiałem jej powierzyć pewną ważną informację. Jak widzisz, jestem wobec ciebie szczery.

Dziewczyna pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Kim ona była, jakąś agentką?

– Nie – odparł szybko Kola. – Była zwykłą studentką, ja... dziennikarzem.

– Nie pracowałeś dla, jak to powiedziałeś, „rosyjskiego rządu”?

– Nie. Zwerbowano mnie później, kiedy obalono u nas komunizm. Dlatego teraz robię to, co robię. Wtedy byłem młodym dziennikarzem, współpracującym z polskim podziemiem. Moi rodzice wyemigrowali w latach sześćdziesiątych do Francji. Tam się wychowałem. Potem przyjechałem do Polski, by relacjonować dla „Pourquoi” wydarzenia posierpniowe. Miałem dwadzieścia siedem lat, twoja matka dwadzieścia dwa. Należała do NZS-u, miała wielkie ideały, wierzyła w wolność i demokrację, walczyła...

– Chwileczkę – przerwała mu dziewczyna. – Twoi rodzice wyemigrowali!? Ze Związku Radzieckiego lat sześćdziesiątych?

– Tak. Byli artystami cyrkowymi. Mieliliśmy względną swobodę wyjeżdżania za granicę na występy. To była szybka decyzja, po prostu zostali w Lyonie. Później przeprowadzili się do Paryża. Niewiele wówczas rozumiałem, byłem nastolatkiem, ale pamiętam.

– Okej – Agnieszka podniosła rękę do góry, dotykając palcami skroni, jakby chciała jeszcze dokładniej zrozumieć. – Moja matka była w antykomunistycznym podziemiu, a ty byłeś francuskim dziennikarzem. Poznaliście się, zakochaliście się w sobie, później zdradziłeś jej jakąś tajemnicę. Potem oddała mnie do domu dziecka, nigdy nie wróciła, a ja po paru latach zostałam kurwą. Teraz jacyś narwańcy chcieli mnie zabić, zjawiałeś się ty, ale już nie jesteś francuskim dziennikarzem, tylko ruskim agentem. A gadamy o tym wszystkim, bo wszyscy szukają Mariki. Ja nie wiem, gdzie ona jest, oni też nie wiedzą i tylko ty wiesz? Tak?

– Nie. Ja też nie wiem.

– Wspaniale! – Dziewczyna klasnęła w dłonie i opadła na kanapę. – No dobra, o co chodzi?

– Z czym?

– No z tą tajemnicą!

– Jeszcze nie teraz.

– Co!? – oczy Agnieszki wyrażały wściekłość.

– No dobrze – uspokoił ją szybko Kola. – Chodzi o... duże pieniądze.

– Jak oryginalnie...

– Tak to już w życiu bywa. Jest miejsce, w którym ukryto sporą gotówkę, ale sprawa jest o tyle skomplikowana, że trzeba wiedzieć gdzie i mieć klucz.

– Klucz?

– No... hasło. To nie jest takie proste. Pieniądze nie leżą w skrzynce, zakopane na jakiejś działce, tylko w pewnym przeznaczonym do tego miejscu.

– Tere-feré...

Kołynin uniósł wzrok ku górze; w jego zachowaniu po raz pierwszy dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Zrozum, nie mogę teraz wyłożyć kart na stół, bo musiałbym opowiadać historię ostatnich dwudziestu lat. Powoli... wszystko ułoży ci się w głowie. Najważniejsze jest to, aby chronić cię przed tymi niebezpiecznymi ludźmi.

– To wszystko? – spytała nie bez ironii Agnieszka.

– Ja zajmę się jeszcze kilkoma sprawami, między innymi odnalezieniem twojej mamy.

– Skoro nie ujawniła się przez tyle czasu, to chyba nie chce, by ją znaleziono – rzuciła zimno dziewczyna. – Pewnie ułożyła już sobie dawno życie, ma inną rodzinę. Dajmy temu spokój.

– Nie do końca masz rację. Przez wiele lat była za granicą. Ja jej tak doradziłem. Możliwe, że jeszcze nie wróciła.

– Gdzie była? W jakim kraju?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Na wszelki wypadek.

– Bzdury! – nie wytrzymała, zrywając się z kanapy. – Tyle lat po obaleniu komunizmu chcesz mi wcisnąć, że podrzędna działaczka NZZ-u musi ukrywać się za granicą. Co za nonsens! Może i jestem kurwą, ale na pewno nie aż tak głupią.

– Nie rozumiesz...

– Gównu prawda! Moja matka swego czasu podjęła decyzję dotyczącą mnie i mojego życia. Teraz pewnie cieszy się od dawna nową rodziną, jeśli jeszcze żyje. Czego ty ode mnie chcesz!? Po co to robisz!?

– Bo to... – teraz Kola zerwał się z fotela i z trudem opanowując irytację, odwrócił się na chwilę od dziewczyny, aby nie widziała w tym momencie jego twarzy – ja zmusiłem ją do oddania cię do domu dziecka! – dokończył po chwili i spojrzał na nią. Dostrzegł, jak zamiera z wrażenia, kompletnie zaskoczona ostatnią informacją.

– Co? – spytała tak cicho, że chyba nawet ona sama tego nie usłyszała.

– Tak było – dopowiedział Kołynin. – Tak trzeba było...

Agnieszka stała jeszcze przez chwilę bez ruchu, sprawiając wrażenie zamroczonej, po czym nagle rzuciła się w stronę Koli, uderzając pięściami, gdzie popadnie.

– Ty skurwysynu!!! Ty jebany skurwysynu!!! – wrzeszczała, bijąc go na oślep.

Kołynin nie bronił się. Od czasu do czasu zasłaniał się od ciosów, zachowując chłodny, a jednocześnie smutny wyraz twarzy.

Dziewczyna wciąż uderzała, nie zważając na ból palców i nadgarstków, aż zabrakło jej sił.

Ultra niemal biegła korytarzem. Dopadła drzwi i głośno zapukała, niecierpliwie oczekując odpowiedzi.

– Wejść! – usłyszała niemal natychmiast głos Piotra Krentza.

– To najprawdopodobniej Kołynin! – wysapała, wchodząc szybko do gabinetu.

– Skąd wiesz? – pułkownik uniósł głowę znad papierów. – Kontrwywiad nie potwierdza jego wjazdu.

– Kontrwywiad gówno wie! – agentka zasłoniła szybko usta dłonią. – Przepraszam, panie pułkowniku...

– Daj spokój, mów!

– Olali Kołynina, Szaliapina, Gawina, Gordiejewa i wielu innych, bo według danych, które mają, tamci od wielu lat nie są w czynnej służbie wywiadowczej ani żadnej innej. Po prostu nie mają ich w komputerach jako „jedynek”. Wszyscy są na listach „rezerwowych” i dopóki nic się nie stanie, nie są odnotowywani, nawet jak tu wjadą. Mają ich nazwiska tylko zwykle służby graniczne. Oczywiście takie, jakie podadzą.

Krentz opadł na oparcie fotela i zamknął na chwilę oczy.

– Polska... – mruknął jakby do siebie. – Kraj będący w strukturach NATO, Unii Europejskiej i tak dalej.

– To nie koniec, panie pułkowniku – Ultra przełknęła ślinę głośniejsz, niż planowała.

– Czy to mnie jeszcze bardziej zdenerwuje? – westchnął Krentz.

– Sokrates twierdzi, że nie tylko Grigorij Gutin, którego znaleźliśmy martwego w lesie niedaleko granicy, pracował dla SWR. Kołynin także pracuje dla tajnych służb rosyjskich, najprawdopodobniej właśnie dla SWR. Próbujemy to potwierdzić.

Krentz pokręcił ze zrezygnowaniem głową.

– Jeśli ci z wywiadu i kontrwywiadu tego nie wiedzą, potwierdzenie zajmie całe miesiące.

– Można spróbować.

– W porządku, zajmiemy się tym. Na razie załóżcie, że nasz kochany geniusz, oficer naukowy Sokrates, ma rację. Przy okazji, jak będziesz go widziała następnym razem, przypomnij mu, że obiecał znaleźć fryzjera, który zechce go ostrzyć. Ostatnio wystraszył asystentkę inspektora Skrobka...

– Tak, ale zrobił to dla dobra nas wszystkich – zauważyła Ultra.

– To już inna sprawa – przyznał pułkownik. – Ale tak czy inaczej, siedzi całe dnie dwa piętra pod ziemią i wzbudza usprawiedliwiony niepokój sprzętaczek. On kiedyś miał ambicje być Q z Jamesa Bonda, a nie Monstrum z Frankenstein.

Ultra parsknęła śmiechem, ale szybko spoważniała.

– Kołynin jest w Polsce, panie pułkowniku – rzekła po chwili. – I to on zabił Gordiejewa.

Krentz przez chwilę nie odpowiadał. Wstał z fotela, aby przejść się po gabinecie.

– Jesteś pewna?

– Kilku świadków widziało, jak Agnieszka Kowczyńska, dziewczyna, w której mieszkaniu znaleźliśmy trupa, wsiada do samochodu w towarzystwie mężczyzny o rysopisie pasującym do zdjęcia Kołynina.

– To zdjęcie sprzed prawie dwudziestu lat.

– Wzięliśmy to pod uwagę – Ultra przerwała na chwilę. – Nie wierzę w przypadki, panie pułkowniku.

Krentz pokiwał potakująco głową.

– Znajdźcie go szybko.

– To nie będzie proste.

– Wiem, ale on nie przyjechał tu na wakacje. Prędzej czy później się wychyli. Tylko że tym razem my będziemy gotowi.

Imam Muafi wstał z klęczek i roztań powoli dłonie.

– On czeka na ciebie, Abu – powiedział poważnie młody mężczyzna, który podszedł do niego przed chwilą. – Na zewnątrz.

– Wiem – odparł spokojnie Muafi. – Wracaj do wiernych, zaraz do niego wyjdę.

Nie śpieszył się jednak. Stał przez chwilę skupiony, jakby chciał zebrać myśli po modlitwie. Miał spokojne ciemne oczy, typową arabską karnację i krótką czarną brodę. Kilka miesięcy temu skończył czterdzieści lat, ale wyglądał na starszego. Wzrok przyciągała jego twarz, na której trudno było wyobrazić sobie uśmiech lub chociaż jakąkolwiek oznakę wesołości czy poczucia humoru.

Skierował się do wyjścia. Poruszał się jakby w zwolnionym tempie, płynnie, a każdy gest, krok, nawet przymrużenie oczu wykonywał z niewątpliwą gracją.

Na zewnątrz świeciło słońce, ale było dość chłodno. Muafiemu jednak to nie przeszkadzało. Szybko dostrzegł mężczyznę wspartego o drzewo. Kiedy spotkali się wzrokiem, przywołał go niemal niedostrzegalnym gestem do siebie i nie czekając, ruszył ku drugiemu wejściu do willi, z której właśnie wyszedł. Mężczyzna dogonił szybko imama, ale nie odzywał się, dopóki nie weszli do środka. Dopiero gdy minęli krótki korytarzyk, spytał:

– Jak twój „meczec”?

Muafi nie zareagował. Wszedł do niewielkiego pokoiku, gdzie stał tylko stół i trzy krzesła, poczekał, aż towarzyszący mu mężczyzna zrobi to samo, i zamknął drzwi.

– Nie mam zbyt wiele czasu, Gawin – mruknął chłodno, gdy usiadł na krześle.

– Są kłopoty – zaczął prosto z mostu Marat. – Pojawiło się tu kilku moich rodaków, którzy zrobią wszystko, aby nam przeszkodzić.

– Dla kogo pracują?

– Kiedyś pracowali dla KGB, teraz najprawdopodobniej dla SWR.

Muafi opuścił głowę i głęboko odetchnął.

– Dasz sobie radę, czy mamy poprosić o współpracę kogoś innego? – spytał rzeczowo.

– Nie łudź się, Abu – odparł z uśmiechem Gawin. – Nie masz kogo poprosić o współpracę w tej sprawie.

Muafi wstał z krzesła.

– Świat jest pełen ludzi, Rosjaninie. Twoja pewność siebie wzbudza moją pogardę, podobnie jak zresztą ty cały. Nie radzę przestać być przydatnym.

Na Maracie Gawinie słowa imama nie zrobiły specjalnego wrażenia. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka zdjęć i położył je na stole.

– Śledzą cię. Możliwe, że masz już na karku polskie ABW. Przyjrzyj się tym zdjęciom, może kogoś rozpoznasz.

– Wiem, że mnie śledzą – mruknął Muafi, podchodząc do stołu. Ponownie usiadł, aby przyrzeć się zdjęciom. – Nie, żadnego z tych ludzi nie zauważyłem w swoim otoczeniu – rzekł po chwili.

Gawin sięgnął po zdjęcia, aby schować je z powrotem do marynarki.

– Poczekaj! Co to za kobieta? – spytał imam, stukając palcem w fotografię dwudziestokilkuletniej ciemnej blondynki.

– Jeszcze nie wiem. Kręci się przy tej sprawie od dłuższego czasu. Nie sądzę, aby była groźna. To pewnie jedna z tych idiotek, przyjęta do pracy w tutejszym CBS po obaleniu komunizmu. Powiedz mi, jeśliby się pojawiła. Polskie służby specjalne to banda kretyków, niemająca pojęcia o tej robocie. Dla ciebie najgroźniejszy jest ten człowiek. – Marat podsunął Muafiemu zdjęcie pięćdziesięcioletniego mężczyzny.

– Kto to jest? – spytał imam.

– Nazywa się Aleksander Kołynin. Jest bardzo groźny. Reszta osób na tych zdjęciach to przy nim dzieciaki. Strzeż się go.

– Ja zdecyduję, kogo mam się strzec, a kogo nie. Nie za to ci płacimy. Znalazłeś tę kobietę?

– Jeszcze nie, ale znalazłem jej córkę. Wydusiłbym z niej wszystko, lecz przeszkodził mi właśnie Kołynin.

– Niepokoi mnie to, co mówisz – mruknął imam. Gawin dostrzegł zimny wzrok Muafiego. – Opóźniasz nasz plan.

– To sami go wykonajcie, jak wam się nie podoba moje tempo – Marat miał dość bufoniastej gadki Araba. – Mam w dupie waszego Allaha i twoich kumpli, uważających się za zawodowców. Płaciecie mi i tylko dlatego znoszę twój śmierdzący oddech i kretyński wyraz twarzy. Ale nawet za taką forszę nie pozwolę odzywać się do mnie takim tonem. Jeśli nie wysłuchasz tego, co mówię, po piętnastu latach budowania trzódki muzułmańskiej w Warszawie aresztują cię lub w najlepszym razie wywalą na zawsze z powrotem do Jordanii i cały ten wasz plan weźmie w łeb. Zrozumiałeś, Arabie?

Muafi z trudem powstrzymał gniew. Jak ten niewierny śmieć ma czelność mówić w ten sposób? Wiedział jednak, że jeśli straci Gawina, czeka go śmierć za zdradę. Bez Rosjanina

przygotowywany od tyłu miesiący wielki plan nie mógł się udać, o czym doskonale wiedział, mimo że w tej kwestii wielokrotnie kłamał w oczy Gawinowi. To jeszcze bardziej zwiększało jego wściekłość. Zdołał jednak przywołać pogodny wyraz twarzy, co zdumiało nawet Marata.

– Trzeba rozmawiać – powiedział po chwili pojednawczo imam. – Bywam surowy, ale potrafię docenić profesjonalistę. Nie obrażajmy się nawzajem. Próbuj dalej.

Gawin wstał, doceniając w hipokryzji Muafiego rzadką u jego pobratymców umiejętność opanowywania sytuacji w krytycznym momencie.

– Oczywiście. Będziemy w kontakcie – uśmiechnął się sztucznie i ruszył do wyjścia.

– Chwilę!

Rosjanin zatrzymał się w drzwiach.

– Tak?

– Kto szkolił tego faceta?

– Kołynina?

– Tak.

Gawin odwrócił się, popatrzył badawczo na Muafiego i opuścił głowę, sprawiając przez chwilę wrażenie smutnego.

– Ja – rzekł cicho po chwili. – Ja go szkoliłem.

Słońce oślepiło na chwilę Marata Gawina, kiedy wyszedł z budynku. Przyłożył dłonie do oczu, aby roztrzeć je i przyzwyczaić do intensywnej jasności. Przeszedł wolno kilka kroków i zatrzymał się przy pobliskiej kawiarni. Wszedł do środka, usiadł przy jednym ze stolików i czekał. Po kilkunastu sekundach przysiadł się do niego wysoki mężczyzna. Gawin nie był zaskoczony. Sięgnął po papierosa.

– Zapalisz, Kola? – spytał po polsku.

– Nie, dziękuję.

– Tracisz formę. Wyczułem cię jeszcze przed wejściem do meczetu.

Kołynin pokiwał głową.

– Wiem. Może się starzeję...

Gawin uśmiechnął się życzliwie i skinął na kelnera. Zamówił wodę mineralną i spojrzał pytająco na Kołynina.

– Whisky z tonikiem? – upewnił się

– Nie, to samo co ty – odparł Kola.

Kelner odszedł, a Kołynin na wszelki wypadek rozejrzał się uważnie dookoła.

– Dziękuję, że nie zniknąłeś parę minut temu.

Gawin ponownie się uśmiechnął.

– Wiem, że nie będziesz próbował mnie zabić. Tylko my obaj, działając wspólnie, jesteśmy w stanie unieszkodliwić Marikę.

– Tylko czy na pewno chcesz jedynie unieszkodliwić Marikę? Co do tego mam pewne

wątpliwości.

Kelner przyniósł dwie wody mineralne i szybko zniknął.

– Co ty usiłujesz zrobić, Marat!?! – spytał Kołynin.

Gawin potarł dłońmi czoło. Jego twarz spoważniała, a spojrzenie zaczęło wyrażać coś na kształt smutnego zamyślenia.

– Szukam jej, Kola, tak jak ty.

– Nie znajdziesz Mariki. Nawet ta mała nie wie, gdzie jest jej matka.

– Wierzysz w to?

– Tu nie chodzi o wiarę. Mam pewność. Zostaw ją w spokoju.

Gawin przez chwilę uważnie przyglądał się Kołyninowi.

– Byliśmy dla siebie jak bracia – rzekł po chwili. – To ja cię przyjąłem, wyszkoliłem, a później ratowałem twoją dupę, kiedy się w niej zakochałeś. Beze mnie byłbyś nikim – Marat rozparł się wygodniej na krześle. – Ale świat nie jest sprawiedliwy. Ci najzdolniejsi, tacy jak ty, szybko odchodzą, a ci przeciętni, jak Grigorij i reszta, są wierni do końca. I uwierz tu w Boga... – roześmiał się smutno. – Zlikwidowałeś przez ostatnie kilka miesięcy chyba już wszystkich, którzy wiedzieli o Marice, zostałem tylko ja – zakończył gorzko.

– Szybko sprowadzisz sobie nowych – stwierdził chłodno Kola.

– Tak, ale to będą już tylko goryle, którzy o niczym nie mogą mieć pojęcia.

– Zostaw tę sprawę, Marat! – niemal wybuchnął Kołynin. – Nie rób tego za żadne pieniądze.

– Nie chodzi tylko o pieniądze.

– O zemstę!?!

Gawin nie odpowiedział od razu. Pociągnął duży łyk wody.

– Może... – mruknął po chwili

– Nie wystarczył ci jedenasty września!?! Madryt!?! Irak!?! Chcesz być podobny do nich!?! Zadajesz się z Muafim, choć obaj wiemy, że al Kaida, jak przyjdzie co do czego, zniszczy nas wszystkich! Ich trzeba zmiażdżyć! Nie rozumiesz tego? Jak długo będzie cię zaślepiać nienawiść!?

Marat nie odpowiadał. Patrzył tępo gdzieś w punkt na przeciwległej ścianie.

– Tobie nie chodzi o nich... – wycodził wolno Kołynin – tylko o Polaków. Nienawidzisz ich tak bardzo, że nie wycofasz się. – Wstał. – Nie znajdziesz Mariki. Nigdy nie zrobisz tego, co planujesz.

– Możliwe – odparł cicho Marat – ale będę próbował.

– Wtedy ja będę zawsze tam, gdzie trzeba, stary przyjacielu. Zostań przez chwilę, ABW mogło obserwować „meczec”.

– Nie poszli za nami. Nikt nie wchodził do tej kawiarni po nas.

– Wiem. To na wszelki wypadek. Oni już wiedzą, że tu jesteśmy.

Marat zareagował na tę wiadomość ledwie dostrzegalnym niepokojem.

– Trudno, żeby było inaczej. Obaj zachowujemy się jak słonie w składzie porcelany – westchnął.

– Nie chcę cię zabijać, Marat. To prawda, że byłeś mi jak starszy brat.

– Skąd wiesz, że dałbyś radę?

Obaj roześmiali się niemal jednocześnie.

ROZDZIAŁ 4

Adam Kniewicz przeglądał kolejny zbiór w archiwum na trzecim piętrze bloku D przy ulicy Woronicza siedemnaście. Siedział przy komputerze, naprzeciwko szeregu metalowych, wysokich regałów z kasetami i pudłami do taśm.

– Agata! – krzyknął do archiwistki grzebiącej gdzieś między półkami.

– Zaraz przyjdę, ACN-y spieprzyły mi się na podłogę! – odpowiedziała lekko melancholijnym i jak zwykle zachrypniętym głosem. Zdaniem Kniewicza miała ciekawszą barwę głosu niż wszyscy „offowcy” z „publicznej” razem wzięci. Tysiące razy obiecywał sobie, że zabierze ją w końcu kiedyś do kabiny lektorskiej i zrobi kilka prób. Lecz kto wtedy będzie najlepszym archiwistą na Woronicza?

Przejrzał kolejną stronę w komputerze. Zapisał parę numerów na kartce i poczekał, aż Agata skończy.

Po kilku minutach dziewczyna podeszła do Kniewicza. Była mniej więcej w jego wieku. Nosila okrągłe okulary, które z pewnością dodawały jej uroku, ale długie blond włosy zdaniem wielu zupełnie niepotrzebnie spinała w niemodny kok. Pracowała w archiwum telewizyjnym sporo lat i chyba najlepiej ze wszystkich trzech tysięcy tutejszych pracowników wiedziała, co tam można znaleźć, a czego nie można. Na to właśnie liczył Adam, kiedy wybierał się na jej dyżur.

– Co się stało? – spytała, ocierając czoło.

– Popatrz – Kniewicz spojrział na kartkę, aby wrócić do odpowiednich stron w komputerze. – Tutaj jest taśma BCN numer dwa tysiące dwieście trzydzieści osiem, tu dwa tysiące dwieście czterdzieści jeden. Brakuje dwóch.

– Może ktoś wypożyczył – Agata przebiegła wzrokiem po ekranie.

– Możliwe, ale przejrzałem kilka interesujących mnie dat i było podobnie. Spójrz. – Adam ponownie przerzucił kilka stron. – Dwudziesty ósmy kwiecień tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci rok. Taśma BCN... brakuje jednej, czerwiec osiemdziesiąty szósty rok... dwóch. Lipiec dziewięćdziesiąty rok... aż trzech. Znowu czerwiec dziewięćdziesiąty czwarty rok... to już taśma BETA... brakuje trzydziestki, rok później dwóch trzydziestek.

Agata uważnie przyglądała się temu, co pokazywał Kniewicz.

– Niemożliwe, nikomu nie wydajemy tylu taśm. Jeśli coś jest zabierane albo kasowane, robimy specjalny raport. Musi to podpisać dyrektor programu pierwszego lub drugiego. Poza tym zawsze wymieniana jest przyczyna, a tu...

– ...nie ma nic – odpowiedział Adam. – Tak jakby taśmy wyparowały.

Agata zmrużyła oczy.

– W ten sposób, gdyby nikt się tymi taśmami nie zainteresował, nie zauważylibyśmy tego przez długie lata – archiwistka była szczerze zdziwiona i zaniepokojona.

– Jak to?

– Przecież tu są setki tysięcy taśm. Jeśli jest raport, dokładnie wiemy, czego nie ma, ale jeśli są tylko numery, bez śladów... nie uda się tego wykryć. Aby to rozwikłać, ktoś musiałby miesiącami siedzieć i sprawdzać, czy wszystkie numery się zgadzają. Jak tak szybko znalazłeś te dziury?

– Komputer nie może tego sprawdzić?

Na twarzy Agaty pojawił się uśmiech wyrażający bezradność.

– Nie mamy takiego programu...

Adam zwiesił głowę.

– Telewizja Polska...

– Jak tak szybko znalazłeś te dziury? – ponowiła pytanie.

– Dzwoniłem do pewnej kobiety, którą poznałem parę dni temu w Skierniewicach. To tamtejsza wróżka. Zdarzyło się w tym miasteczku na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat kilka dziwnych rzeczy. Chyba jest jedną z niewielu osób śledzących te sprawy i to ona podała mi daty. Potwierdził je pewien wojskowy, świadek tych wypadków. Pomyślałem, że skoro coś dziwnego się tam działo, może telewizja nakręciła jakiś reportaż. Tym bardziej że wojskowy mówił również o wizytach naszych dziennikarzy.

– Wszystkie daty tych wydarzeń pokrywają się z brakami w dokumentacji? – spytała Agata.

– No, nie wszystkie. Nie za każdym razem ktoś stąd musiał tam jeździć. Na jedenaście dat jest pięć dziur.

Archiwistka usiadła ciężko na krześle.

– Masz pewność, że zabrano stąd taśmy, na których właśnie było coś na ten temat?

– Nie, ale to chyba zastanawiające, nie sądzisz? To za duży zbieg okoliczności.

– Sprawdzę jeszcze wypożyczenia, ale pamiętałabym.

– Kiedy ostatnio zdarzyło się coś podobnego?

– Taśmy raczej nie giną. Trudno je wynieść. Właściwie to niemożliwe. Musisz wypisać formularz, zdobyć kilka podpisów, iść do magazynu i podpisać drugi formularz... Twoje nazwisko jest na całej kupie papierków. Zdarzały się przetrzymania, ale nie coś takiego...

Adam przez kilka sekund milczał, jakby się zastanawiał.

– Są jakieś inne dokumenty i zbiory, w których mogą być dane pokrywające się z tymi?

– Karty archiwalne, ale niszczone są po dziesięciu latach.

– Możesz sprawdzić te, które zostały?

– To trochę potrwa.

– Zadzwoń do mnie?

– Jasne.

Adam wstał i podszedł do dużych żelaznych drzwi.

– Aha, jeszcze jedno... Ilu jest archiwistów na Woronicza?

W oczach Agaty nietrudno było znaleźć zaniepokojenie.

– Słuchaj, Adam, nie mam z tym nic wspólnego.

– Daj spokój, o nic cię nie podejrzewam. Powiedz, ilu mamy archiwistów?

– Sześcioro, plus piątka magazynierów.

– Mógł wynieść te taśmy sam magazynier?

– Teoretycznie tak, ale hasła do komputerów mają tylko archiwiści.

– Jeśli ktoś kradnie taśmy, to po co kasuje jeszcze numery z komputera? To nielogiczne.

– Bardzo logiczne – zaprzeczyła Agata. – Przypomnij sobie, jak zwykle wyszukujesz taśmy?

– Po tematach lub po numerach.

– No właśnie. Nikt nie robi tego jak ty teraz. Szukasz tematu „Skierniewice”, ale go nie znajdujesz. Czyli nic nie nakręcono. Jeślibyś miał numery, których komputer nie znajdzie, pokaże ci, że taśma jest zastrzeżona, a więc nie wolno jej wypożyczać ani przeglądać, i to kończy sprawę. Jest sporo takich taśm, nawet z lat sześćdziesiątych. Na przykład śmiejący się Gomułka na oficjalnej balandze. Tego widzowie nie mogli oglądać. On zawsze musiał być poważny, a jak się uśmiechał, to do dzieci, i oficjalnie.

– Do dzisiaj!?

– Po osiemdziesiątym dziewiątym nikt nie zawracał sobie głowy odtajnianiem takich głupot. Wprowadzano do komputera jak leci napisy z opakowań BCN-ów albo ACN-ów, ale nie martw się, jest sporo zastrzeżonych taśm także z dzisiejszych czasów – Agata uśmiechnęła się tajemniczo.

– Może te też są zastrzeżone?

– Nie. Zastrzeżone mają odnośniki. Nie byłoby numerów, ale byłaby gwiazdeczka ze specjalnym kodem.

Adam ponownie zamyślił się na chwilę.

– Spróbuj sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tych taśm w magazynie, ale po cichu. I wtedy zadzwoń.

– Spróbuję. Jeśli się okaże, że to kradzież, będzie ostra afera.

– Najpierw wszystko sprawdź. Później będziemy się martwić aferami.

Stołówka na pierwszym piętrze bloku F była pełna ludzi. Adam nie jadł nic od rana, więc

odrzućmy myśl o odłożeniu obiadu na później i ustawił się w kolejce.

– Wciągnąłeś się? – usłyszał nagle zza pleców głos Kazia Zarzeckiego.

Adam odwrócił się.

– Wyemitowałeś?

– Tak, fajny materiał, choć rzeczywiście trochę czary-mary. Dzieciak był przekonywający. Trochę mało tego lasu, ale okej.

– Trudno było tam dotrzeć, za mało czasu – wywinął się Kniewicz.

– Wszystko w porządku. Tajemniczo. Dzieciak, jego dziadek, ludzie, którzy się boją. O to chodzi.

– Coś jeszcze będziesz robił na ten temat?

Kazio machnął ręką.

– Po co? Mam tyle latających jajek, eksterioryzacji i wyginaczy łyżeczek w Polsce, że jeden program o duchu w lesie wystarczy.

– Tam takie wypadki się powtarzały – ciągnął ostrożnie Adam.

– Jasne – roześmiał się od ucha do ucha Kazio. – A teraz duch będzie fruwał po całej ulicy... jak ona się nazywała?

– Sosnowa.

– No właśnie, po Sosnowej. Ja też w pierwszej chwili reagowałem podobnie. Nie przejmuj się takimi sprawami, wszystkie na początku wyglądają szalenie przekonywająco. – Kazio odwrócił się, reagując na wołanie od strony drzwi stołówki. – Muszę lecieć, nie zdążę zjeść – rozłożył ręce. – Trzymaj się i jeszcze raz dziękuję.

Adam doszedł do lady z daniami, wybrał podsmażane ziemniaki, smażonego indyka, surówkę i zupę chińską, a następnie podszedł do kasy. Gdy stawiał swoją tacę przed kasjerką, poczuł wibracje telefonu.

– Sekundę – rzucił do kasjerki, po czym nacisnął przycisk oznaczony zieloną słuchawką. – Słucham?

– Witaj, Adamie, tu Hanka Betlejewska ze Skierniewic – wróżka podczas ich poprzedniej rozmowy telefonicznej nagle zaczęła mówić mu po imieniu.

– Poczekaj chwilę – zasłonił słuchawkę. – Ile płacę?

– Dwanaście pięćdziesiąt.

Szybko wyjął pieniądze, zapłacił i podszedł z tacą do najbliższego stolika.

– Co się stało? – spytał.

– Jest kolejna ofiara.

– O Boże... Tak szybko?

– Turystka. Wczoraj wieczorem poszła do lasu i do tej pory nie wróciła.

– To jeszcze nie dowód. Mogła zemdleć, zgubić się, mogło się stać cokolwiek – zaoponował Kniewicz.

– Przyjedziesz? – spytała rzeczowo wróżka.

– Tak – westchnął Adam. – Będę jutro. Muszę kończyć, mam drugą rozmowę – przełączył telefon. – Słucham?

– Tu Agata z archiwum. Możesz gadać?

– Tak – odparł. – Nigdy nie zjem tego obiadu – mruknął do siebie.

– Co?

– Nic, nic. Gadaj.

– No to będzie afera. W magazynie nie ma taśm, a wszelkie ślady w dokumentach są dobrze zatarte. One się po prostu rozplynęły. Musiał to zrobić ktoś z naszych. Idę do dyrektora.

– Poczekaj! – rzucił Adam. – Możesz się z tym trochę wstrzymać?

– Żartujesz? To kradzież.

– Wiem, ale skoro czekało to kilka lat, nic się chyba nie stanie, jak mi zaufasz i nie poinformujesz o sprawie przez kilka dni.

– Do czego ci to potrzebne?

– Nie chcę wzbudzać sensacji, ale to chyba grubsza sprawa. Hałas mógłby wystraszyć ewentualnych winowajców.

– Jak chcesz, mogę poczekać do końca tygodnia, ale nie dłużej. Jedziesz w końcu na ten urlop?

– Na razie nie. Dzięki, skontaktuję się z tobą.

– Poczekaj! – krzyknęła Agata.

– Tak?

– Mam coś dla ciebie. Nie wiem, gdzie są taśmy, ale mam nazwisko faceta, który robił jeden z tych materiałów.

– Poważnie!? Wspaniale, daj jego telefon.

– Dowiedz się w informacji. On już nie pracuje u nas. Nazywa się Roman Cis.

– Dzięki, jestem twoim dłużnikiem.

– Nie ma sprawy – odłożyła słuchawkę.

Żona Romana Cisa, pani dobrze po sześćdziesiątce, ale wciąż dbająca o wygląd, była osobą elegancką i uprzejmą. Koniecznie chciała zaprosić Adama na herbatę i ciasto, mimo że męża nie było w domu, bo przesiadywał, jak co piątek, w klubie Magnum na piwku, grając w brydża i przyglądając się bilardzistom. Kniewicz odmówił, najuprzejmiej jak potrafił, i kiedy tylko wyrwał się z objęć starszej pani, usiłującej powiadomić go o swoim niezwykle pozytywnym osądzie stylu prezentowanego przez pokolenie młodych dziennikarzy, takich jak on, pomknął na Rakowiecką, gdzie mieścił się wspomniany klub. Ucieczka nie była prosta, pani Cisowa bowiem, przedstawiając swoje racje, trzymała kurczowo Adama za ramiona tak długo i mocno, że zaczęły drętwieć. Wylewne podziękowania dały pewien efekt i w końcu Adam uwolnił swoje ręce, zbiegł po schodach, wsiadł do samochodu i pojechał pod wskazany

adres.

Magnum, znany klub bilardowy, mieszczący się w okolicach budynków MSW, kiedyś niemal codziennie goszczący czołówkę polskich bilardzistów i brydżystów, ostatnimi czasy jakby podupadał. Stara, ale stała klientela powolutku się wykruszała i bilardiści podchodzili do innych klubów. Zniknął nawet słynny polityczny kącik dyskusyjny pod przewodnictwem zezowatej Zochy. Zocha była dziennikarką, robiącą karierę w gazecie, którą ówcześni czytelnicy nazywali „Życiem z kropką”. Wraz z upadkiem powyższego „Życia”, podupadła również kariera zezowatej Zochy, no i zniknął jej kącik wiecznie kłócących się okularników. Sama okularów nigdy nie nosiła, choć miała zezą rozbieżnego i właściwie nigdy nie było wiadomo, w którą stronę patrzy. Twardo trzymała się konserwatywnie prawicowych poglądów, za całe zło świata oskarżając komunistów i masonów, działających wszędzie, w ukryciu, i zawsze knujących zło. Jak więc łatwo było się domyślić, jej głos słyhać było w całym klubie często i wyraźnie.

Słowem, kiedyś klub Magnum cały wrzał. Dzisiaj, gdy Adam Kniewicz pojawił się w zdezelowanych drzwiach, przy kilku bruswickach stali amatorzy bilardu, raczej średnio orientujący się w tajnikach zawodowej gry. Przy pięciu, może sześciu, tak zwanych stolikach konsumpcyjnych przypadkowi ludzie pili piwo lub colę. Panowała nudna cisza, z rzadka przerywana stukiem bil lub przyciszoną rozmową. Adam szybko rozpoznał siedzącego w rogu, łysego jak kolano starszego pana w marynarce w kratę, dokładnie opisanego przez niezapomnianą panią Cisową. Rozmawiał cicho z jakimś jegomościem w podobnym jak on wieku, ale kłął przy tym jak szewc. Kniewicz znał świetnie zwyczaje z Woronicza i raczej nie spodziewał się skautowskiego języka, ale starszy pan zaskoczył nawet jego. Rozmówca odszedł po chwili od stolika, więc Adam mógł, nikomu nie wadząc, podejść i się przywitać.

– Przepraszam, czy pan Roman Cis? – zagadnął.

Starszy pan wolno odwrócił głowę.

– Tak, czego pan sobie życzy, młody człowieku?

– Nazywam się Adam Kniewicz, pracuję na Woronicza...

– Aaa, teraz poznaję pana. *Poranna rozmowa z politykiem?*

– Tak – uśmiechnął się Adam.

– Na ekranie wydaje się pan niższy, tak bywa. Co się stało, panie Adamie? – Cis uśmiechnął się szeroko.

– Czy mogę panu zająć kilka minut?

– Za pół godziny jestem umówiony na brydża.

– Na pewno zdążymy.

– A więc zapraszam – starszy pan wskazał miejsce po drugiej stronie stolika.

Adam usiadł i rozejrzał się dookoła.

– Ładnie tu – zauważył.

– Eee tam... – machnął ręką Cis. – Kiedyś to było ładnie. Tutaj przychodził Mikke, przy

stołach grali Gastman, Meyer i Mucha.

– Takie miał nazwisko?

– Nie. Tak go tu nazywali. Dobry bilardzista. Grał kiedyś z Ortmanem i Bustamantem. Gastman i Meyer też. – Zna pan te nazwiska?

– Obawiam się, że nie – przyznał Adam.

– Fajne młode chłopaki. Ja też kiedyś grałem, ale chujowo.

– Z pewnością lepiej ode mnie – zapewnił Kniewicz. – Chciałbym pana o coś zapytać, jeśli można.

– Można, wal pan.

– Czy to pan w osiemdziesiątym trzecim roku robił materiał w Skierniewicach, o tajemniczej śmierci młodego żołnierza?

Cis rozłożył bezradnie ręce.

– A czyż mogę to pamiętać? Wypierdolili mnie prawie sześć lat temu. I nawet za dobrze nie przypominam sobie, jaki był wtedy miesiąc, a pan wymaga ode mnie, abym pamiętał jakiś wyjazd sprzed dwudziestu lat?

– To ważne, może jednak coś pan pamięta?

– Wie pan, ile ja materiałów w życiu zrobiłem? Kolego! – nagle zniżył głos. – Ja nawet w Pałacu Kultury sikałem w jednym kiblu z Breźniewem.

Twarz Kniewicza zamieniła się w wielki znak zapytania.

– No tak. Niech pan słucha. Robimy z chłopakami zjazd partii i te wszystkie duperele. Jest przerwa, idę do sracza. A tu nagle pojawiają się dwaj goryle, rozglądają się i mówią po rosyjsku, że teraz nikt nie wychodzi ani nie wchodzi. No i za chwilę wtacza się Breźniew i zaczyna lać. Jeszcze wtedy jakoś się trzymał. Nawet nikt mu nie musiał pomagać.

Adam pokiwał z uśmiechem głową. Lecz tyrada na temat historii dziennikarstwa to ostatnia rzecz, na którą teraz miał ochotę..

– W osiemdziesiątym trzecim roku na poligonie w Skierniewicach w tajemniczych okolicznościach zginął młody żołnierz, podobno nie znaleziono nawet jego ciała – drażył uparcie.

Cis patrzył przez chwilę na niego, po czym spojrzał w sufit, postanawiając zdobyć się na trochę dobrej woli i wysiłku.

– Pamiętam! – wybuchnął nagle. – Ten numer z samobójstwem.

– Nie, nie o to mi chodzi.

– Ależ o to. Skierniewice, osiemdziesiąty trzeci rok, śmierć jakiegoś dzieciaka, który ledwo co rozpoczął służbę.

– To nie było samobójstwo.

– Wiem, dlatego nas tam posłali – Cis poprawił się na krześle. – To były czasy tak zwanej odwilży w wojsku. Na początku lat osiemdziesiątych zanotowano duży wzrost samobójstw poborowych. Fala, ciężkie warunki, terror, sporo się na to złożyło. Ale w stanie wojennym to

wszystko opadło. Wie pan, historyczna zasada... nikt się nie wiesz ani nie strzela sobie w łeb w czasie rewolucji, dużych przemian społecznych i tak dalej. No... może prawie nikt – roześmiał się szczerze. – Mniej więcej w połowie osiemdziesiątego trzeciego Jaruzelski uciął wszystko i wykorzystał sprawę. Wprowadził walkę z falą, kwiatki na stolikach, uprzejmych kaprali i takie tam pierdoły. No i kazali jeździć nam po kraju i pokazywać, jak to w wojsku jest fajnie. A gdyby zdarzyła się jakaś śmierć, to wyciszano zdarzenie, a kiedy już się nie dało, robiło się z tego jakiś wypadek, nieszczęśliwy zbieg okoliczności, cokolwiek, tylko nie samobójstwo.

– W Skierniewicach rzeczywiście myśleli, że to samobójstwo? – spytał Adam

– Nie wiem, ale wpadli w panikę. Zaczęły krążyć plotki i w efekcie trzeba było posłać po nas, abyśmy zrobili z tego „nieszczęśliwy wypadek”. I zrobiliśmy.

– No i co tam tak naprawdę się stało?

– Dokładnie to już nie pamiętam. Chłopak chyba wszedł na minę albo coś w tym stylu, nie znam się na wojskowych sprawach. To moim zdaniem nie było samobójstwo.

– Słyszałem, że nie znaleziono ciała?

– Znaleziono, ale podobno strasznie zmasakrowane i zwęglone. Musiała to być jakaś dziwna mina, ale w wojsku zdarzają się różne przypadki. Jedno jest ważne. Nie wierzę, że ktoś, chcąc się zabić, rozwała sobie głowę o drzewo i jeszcze się podpala. To idiotyzm.

– Ja też nie wierzę w samobójstwo. Czy wiedział pan, że takie zdarzenia powtórzyły się tam kilkakrotnie?

– No, że kilkakrotnie, to pierwsze słyszę. Rzeczywiście to był raczej pechowy poligon, bo byłem tam jeszcze raz, dwa lata później, z podobnej okazji, dlatego pewnie to pamiętam. Ale o następnych wypadkach nie słyszałem. Zresztą wkurzały mnie te wyjazdy, ani jeden, ani drugi materiał nie poszedł na antenę. Nie wiem, po cholerę tam jeździłem.

– Widział pan to miejsce?

Cis przez chwilę nic nie mówił, wreszcie machnął ręką.

– A, właściwie... Komunizm padł już tyle lat temu. Dlaczego miałbym o tym nie mówić?

– Uśmiechnął się szeroko, po czym pociągnął spory łyk piwa. – Niczego nie dali nam zobaczyć. Tłumaczyli, że to tajemnica wojskowa i wróg czuwa. Dopiero po długich pertraktacjach, wtedy za drugim razem, pokazali ciało.

– A jednak...

– Spytałem ich, jak mam kręcić materiał o wypadku, w którym nie widać ani wypadku, ani miejsca, ani ofiary? Przecież równie dobrze mógłbym pojechać sobie do Puszczy Białowieskiej i tam to nakręcić, a byłoby to samo. – Stary dziennikarz był tak rozbawiony wspomnieniami, że aż uderzył dłonią w stół. – No i wtedy pokazali ciało. Zajrzałem, ale szybko pożałowałem. Nie życzę nikomu takiego widoku, panie Adamie. Nakręciliśmy, oczywiście bez twarzy na wszelki wypadek, ale, jak mówiłem, i tak nie poszło. Stoi gdzieś tam w magazynie i gnije.

Cis skrzywił się i po raz kolejny z rezygnacją machnął ręką.

– Nie stoi – powiedział Adam

– Słucham?

– Nie ma tej taśmy w magazynie. Ktoś ją stamtąd zabrał.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– A po co to komu?

– Nie wiem, ale taśma zniknęła.

Cis zastanowił się chwilę.

– Tam niczego wielkiego nie było, a w Skierniewicach nie ma już nawet poligonu. To jakiś zbieg okoliczności, a może ktoś coś zaniedbał, zgubił...

– Jeśli tak, to zrobił to hurtowo. Pańska następna taśma ze Skierniewic, ta nakręcona dwa lata wcześniej, też zniknęła – kontynuował Adam. – I wszystkie inne na ten temat... razem jeszcze trzy.

Cis zamarł. Dotychczasowy uśmiech na twarzy zastąpiło zdziwienie i zaniepokojenie.

– O czym pan mówi, panie Adamie? Co się dzieje?

Kniewicz chciał zaintrygować Cisa, ale uważał, aby nie być wylewnym bardziej, niż to konieczne.

– Trudno powiedzieć – stwierdził, patrząc prosto w oczy staremu dziennikarzowi. – Po prostu będąc w archiwum, zauważyłem, że nie ma tych taśm i chcę wiedzieć dlaczego.

– Romuś, idziesz!?! – usłyszeli wołanie z głębi sali.

– Za chwilę! – odkrzyknął Cis, nie spoglądając w tamtą stronę.

– Muszę wiedzieć, co było na tych nagraniach – dokończył Adam.

– Nie jest pan ze mną szczery – uśmiechnął się Cis – ale widać ma pan swoje powody. Obaj jesteśmy dziennikarzami, rozumiem to. Tyle że ja... przynajmniej do tej pory myślałem... – zawahał się przez chwilę, niepewny, jak to ująć – ...że nie nagrałem tam nic tajemniczego ani komukolwiek przydatnego. Jedyne co może być ciekawe, to miejsce, gdzie zginął ten żołnierz, bo nie wpuszczono nas tam. Za drugim razem było tak samo, ale nawet nie wiemy, czy do wypadku doszło w tym samym miejscu.

– Nie sądził pan, że coś może łączyć ze sobą te dwa zdarzenia?

– Obu żołnierzy łączyło jedynie to, że dopiero co rozpoczęli służbę w Skierniewicach.

Kniewicz pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Ma pan jeszcze kilka minut?

– Mam – odparł bez wahania stary.

– Co pan powie na taki przebieg wypadków – Adam zajrzał głębiej w oczy rozmówcy. – Każdego żołnierza, ćwiczącego na tym poligonie, w tej jednostce, informuje się, że pod żadnym pozorem nie wolno się oddzielać od grup ćwiczebnych, a już na pewno nie wchodzić na pewien tajemniczy, ogrodzony teren w pobliżu bagien. Większość przestraszonych żółtodziobów posłucha dobrej rady, ale zawsze znajdzie się ktoś...

– ...Kto musi zaspokoić swoją ciekawość, i jest to silniejsze niż strach przed przełożonymi – odpowiedział Cis.

– No właśnie. Więc żółtodziób idzie w nocy w zakazane miejsce, pokonuje ogrodzenie i spotyka go kara...

– Coś tam ukrywali? Zabijali ich!?

– Nie sądzę. To przypadek, że takie miejsce odkryto właśnie na terenie poligonu. Myślę, że nawet tamtejsi dowódcy nie mieli pojęcia, co to za zjawiska, więc po prostu ogrodzili teren, i to niezbyt starannie, aby nie siać paniki czy niezdrowych sensacji.

– To za bardzo naciągane – Cis pokręcił z niedowierzaniem głową. – Ci wojskowi musieli mieć z tym coś wspólnego. Dlaczego pan uważa, że nie mam racji?

– Bo te wypadki zdarzają się do dziś. Zawsze w okolicach bagien. Ten drugi żołnierz też zginął w tym miejscu, mam na to świadka, kobietę, która mieszka od lat przy szosie sąsiadującej z lasem.

– Widziała ten wypadek?

– Akurat nie ten. Ale proszę mi wierzyć, poznałem ją i jestem przekonany, że ma rację. Wczoraj wieczorem w Jedyncy był reportaż z ostatniego wypadku. Nie oglądał pan?

– Nie. Pan go robił?

– Pojechałem tam z kamerą.

– Czy, nie daj Boże, poszło to w *Oku Kota*?

– Tak.

– To wszyscy oleją ten reportaż. Nikt nie wierzy w bajdury, które tam puszczaacie.

– Może to i dobrze – podsumował spokojnie Adam. – A tak a propos, wiedział pan, że i za pierwszym, i za drugim razem tam było dwóch żołnierzy, a nie jeden?

Zaskoczenie nie pozwoliło Cisowi odpowiedzieć od razu.

– Nie wiedziałem – bąknął po chwili. – Też nie żyją?

– O to właśnie chodzi, że jeden przeżył. Był ranny, poparzony, ale przeżył. Próbowałem się dowiedzieć, co się z nim stało. Nikt nic nie wie. Rozpłynął się jak we mgle. Podobno pojechał do domu, ale ani on, ani jego rodzina już tam nie mieszkają i nikt nie wie, gdzie się wyprowadzili.

– Skąd pan ma takie wiadomości?

– Rozmawiałem z pewnym starym pułkownikiem. Gadał jak najęty, lecz tak naprawdę chyba niewiele wiedział. Adres sam sprawdziłem.

Stary dziennikarz pociągnął kolejny łyk piwa.

– Skoro to nie sprawa wojskowych, to po co by tak ukrywali tego drugiego żołnierza?

– To pan powinien lepiej ode mnie rozumieć mentalność mundurowych z tamtych czasów – uśmiechnął się Adam. – Coś, czego nie rozumieli, tkwiło na ich terenie, a jeśli nie umieli tego wytłumaczyć, musieli to ukrywać.

– Ciekawe – zastanowił się Cis. – Dlaczego po wyprowadzeniu stamtąd wojska nikt do tej

pory się tym nie zajął?

– To brzmi zbyt niewiarygodnie, jak... eksterioryzacja, telepatia, dematerializacje i inne czary-mary. Nikt nie chce się kompromitować, zajmując się takimi niepewnymi sprawami.

– Pan jednak się zdecydował – zauważył Cis.

– Tak – odparł po chwili zastanowienia Adam. – Byłem tam i chcę to wyjaśnić.

– Ma pan jeszcze coś, co mogłoby pomóc?

– Niestety nie. – Kniewicz doszedł do wniosku, że starczy tych wynurzeń. Nie wspomniał o szczegółach z opowiadań Betlejewskiej, o tym, co widział Arek Skręta, a czego nie było w materiale filmowym, i przede wszystkim o zdjęciach satelitarnych, anonimowo przysłanych do jego redakcji.

Cis rozłożył ręce.

– Jeśli dobrze pamiętam, nic z tego, co było na tych filmach, raczej by nie pomogło. Wywiady z wyznaczonymi wojskowymi, zdjęcia lasu, ale oczywiście nie tego fragmentu, który nas interesuje, trochę ćwiczeń wojskowych i charakterystycznej dla tego czasu kurewskiej propagandy.

– Czy kiedykolwiek ktoś pytał pana o te reportaże?

– W taki sposób jak pan? Nie. Przykro mi, że niewiele pomogłem.

Adam uśmiechnął się uprzejmie i wyjął z kieszeni wizytówkę.

– Gdyby przypomniał pan sobie coś jeszcze, proszę o telefon.

– Oczywiście, zaintrygował mnie pan. Jeśli uda się panu cokolwiek dowiedzieć, to niech pan zadzwoni. Jestem bardzo ciekawy.

Kniewicz wstał i podał rękę Cisowi.

– Życzę szczęścia w grze.

– Dziękuję, ja panu również. Myślę, że pan chyba więcej go będzie potrzebował.

Kola Kołynin zaparkował przed domem, wysiadł z samochodu i ciężkim krokiem wszedł do środka. Agnieszka oglądała telewizję, ale niezbyt uważnie. Przerzucała co chwila kanały, nie mogąc najwyraźniej znaleźć nic ciekawego.

– Gdzie byłeś? – rzuciła w jego stronę.

– Na spotkaniu – odparł Kola, wieszając marynarkę.

– Z kim?

– Ze starym przyjacielem. Nie martw się, wszystko jest okej.

Kołynin opadł na fotel.

– Na pewno? – spytała Agnieszka. – Nie wyglądasz na zadowolonego.

– Nie – uspokoił ją niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. – Jestem tylko zmęczony. Co ciekawego robiłaś? – Kola zamknął oczy rozpierając się wygodnie w fotelu.

– Nudziłam się. Przejrzałam trochę książek. Twoje?

– Nie, wynajmuję ten dom. Zjadłaś coś?

– Nie byłam głodna – Agnieszka wstała i podeszła do fotela, w którym siedział. – Zastanawiałam się trochę, możemy pogadać?

– Jasne.

Niełatwo jej było rozpocząć ten temat, ale nie po to przygotowywała się kilka godzin, aby teraz stchórzyć.

– Czy to możliwe... że jesteś moim ojcem? – spytała nieśmiało.

– Raczej nie – odparł spokojnie Kołynin, nie otwierając oczu. – Marika miała pewnego chłopaka, zanim się poznaliśmy.

– Wiem, ale daty by się zgadzały... to możliwe.

Kola otworzył oczy.

– Nie wiesz wszystkiego. On był twoim ojcem – podkreślił wyraźnie słowo „on”.

– Nie spaliście ze sobą?

Na twarzy Kołynina pojawił się uśmiech, którego Agnieszka do tej pory u niego nie widziała.

– Nie za bardzo wnikamy w nasze życie osobiste?

– Nie za bardzo – dziewczyna odpowiedziała podobnym uśmiechem.

– No dobra, sypialiśmy ze sobą, jak to ujęłaś, ale nie wtedy. Trochę później.

– Kiedy była w ciąży czy już po urodzeniu?

– Boże! – Kola bezradnie rozłożył ręce. – Zawsze byłaś taka... upierdliwa?

– Upierdliwa – poprawiła Agnieszka.

– No właśnie?

– To chyba dość ważna sprawa, nie sądzisz?

Kołynin wstał z fotela.

– No dobrze, to ważna sprawa. Twoja mama miała faceta na studiach. Zaszła w ciążę. Podobno on o tym nie wiedział. Był w opozycji, jego sprawy się skomplikowały, musiał uciekać. Udało mu się z rodzicami wyjechać. Przez pewien czas przebywał w obozie przejściowym w Austrii, tylko tyle wiemy. Podobno wylądował ostatecznie w Australii, o tobie nigdy się nie dowiedział. Potem dopiero twoja mama poznała mnie. Nie będę mówił, kiedy uprawialiśmy seks, bo guzik cię to obchodzi. Zadowolona? – uśmiechnął się przyjaźnie.

– Jak chcesz – wzruszyła ramionami. – Mogę zamówić pizzę?

– Przywiozę ci.

– Nie było nigdzie telefonu, dopiero w piwnicy w jakiejś szafce znalazłam... co to za zwyczaj?

Kola nagle spoważniał.

– Dzwoniłaś z tego telefonu?

– Przecież mówiłaś, że to bezpieczne miejsce. Nie ma tu chyba podsłuchu?

– Nieważne – Kołynin zwiesił bezradnie głowę. – Po to tam był, żeby z niego nie dzwonić. Dawno?

– Trzy godziny temu, nie było cię prawie cały dzień!

– Do kogo?

– Do koleżanki, nie chciałam, żeby się denerwowała, że mnie nie ma.

Kola zaczął nerwowo spacerować po salonie, usiłując zebrać myśli.

– Czy w mieszkaniu miałaś jakieś taśmy z twoim głosem?

– No... automatyczna sekretarka.

– O Boże... zbieraj się, musimy uciekać – Kola wyszedł szybkim krokiem z salonu.

– Ale dlaczego!? – krzyknęła za nim. – Skąd ci Rosjanie podsłuchaliby taką rozmowę.

– Nie chodzi o Rosjan, tylko tym razem o twoich rodaków. – Kołynin rzucił na podłogę czarną walizkę, którą przyniósł z przedpokoju. – Oni nie rozumieją na razie, co się tutaj dzieje, a jeśli mnie zatrzymają, będą... wierz mi... naprawdę duże kłopoty!

– Mnie nie skrzywdzą – upierała się Agnieszka. – Niczego złego nie zrobiłam.

Kola podszedł do niej, złapał silnie za ramiona i wpił wzrok w jej twarz.

– Umawialiśmy się? Pamiętasz?

– Pamiętam – odpowiedziała niechętnie po chwili.

– No to zbieraj się.

– Ja nic nie powiem, czy to konieczne?

– Nie rozumiesz! – Kołynin po raz pierwszy podniósł głos. – Nie możesz tu zostać! Oni cię nie ochronią przed tymi, którzy byli w twoim mieszkaniu!

– Ale ja im wytłumaczę, że chcesz pomóc...

– Szkoda czasu! Zbieraj się, proszę!

Szybko wypełnił walizkę dziwnymi urządzeniami, których Agnieszka nie potrafiła nazwać, przykrył je ubraniami i skinął na dziewczynę.

– Przecież ja nic nie mam – rozłożyła ręce.

– Wiem, kupimy ci po drodze, chodź!

Wyszli pośpiesznie z domu i wsiedli do samochodu. Ultra obserwująca dom od co najmniej dziesięciu minut zza murka bramy zacisnęła pięści w geście tryumfu.

– Bingo! – szepnęła do siebie i wróciła do samochodu.

Kołynin odpalił ciemnogrnatowego nissana.

– No i co? – parsknęła śmiechem Agnieszka. – Jakoś nie widzę otoczonego domu, helikopterów i strasznych jednostek antyterrorystycznych. Wszystko jest okej.

– Nie jestem o tym przekonany – mruknął cicho Kola.

Hanka Betlejewska stała przed domem, kiedy Adam zatrzymał się przy bramie.

– Ty rzeczywiście jesteś wróżką – uśmiechnął się dziennikarz, wysiadając z samochodu.

– Widziałaś mnie oczami duszy?

– Nie – odpowiedziała z uśmiechem. – Nie wiedziałam, o której przyjedziesz. Po prostu lubię czasem stać przed domem i patrzeć w las.

– Romantycznie – z uznaniem pokiwał głową Kniewicz. – Piękna cecha, choć może ostatnio mało praktyczna.

– Chcesz tam pojechać? – spytała Betlejewska.

– Coraz bardziej zaczynam się bać – odparł Adam. – Nam też może się coś takiego zdarzyć.

– Jakby się miało zdarzyć, już by się zdarzyło. Po wypadku Arka były tam całe tabuny ludzi i nic się nie zdarzyło, a ci turyści... mieli pecha.

– Masz pewność?

– Tak. Oni też poszli tam właśnie z ciekawości – Hanka rozłożyła ręce. – Legenda znowu odżyła, a po dzisiejszym wypadku o niczym innym się tu nie mówi.

– A policja?

– Szukają ich, ale nie wierzą w tę historię.

Adam opuścił głowę, przez chwilę kopiając jak dzieciak w ziemi czubkiem buta.

– Jedziesz? – ponagliła Hanka.

– Mhm. Chodź, chodź, wsiadaj.

Betlejewska okryła się kolorową chustą, w której już nie wyglądała na wróżkę, ale bardziej na chłopkę, i ruszyła w stronę samochodu. Czarna prosta sukienka, którą miała na sobie, trochę do niej nie pasowała, ale Adam pomyślał, że ostatecznie nie jest to w obecnej chwili szczególnie decydujący o powodzeniu całej akcji.

Gdy tylko wsiadła, Kniewicz ruszył szybko z miejsca, starając się zapomnieć, że jeszcze przed chwilą miał duszę na ramieniu na samą myśl o możliwości odbycia następnej wizyty na mokradłach. Wróżka oczywiście natychmiast to wyczuła.

– Żyjesz, czy będziesz robił w majty przez całą drogę? – spytała złośliwie.

– Spójrz na tylne siedzenie.

Hanka wykonała polecenie.

– No i?

– Widzisz niebieską teczkę?

– Tak.

– Weź ją i wyjmij zdjęcia, które są w środku.

Ponownie zrobiła to, o co poprosił dziennikarz.

– Co to jest? – spytała zdezorientowana.

– To są zdjęcia satelitarne, wiesz, o czym mówię?

– Ja też mam w domu telewizor, ważniaku, nie myśl, że jak jesteś z Warszawy, to wszystkie rozumy pozjadałeś!

Adam, aby uniknąć wykładu o wielkomiejskiej arogancji, przeznaczył kilka sekund na przepraszające gesty i przystąpił do tłumaczenia.

– To są zdjęcia satelitarne lasu skierniewickiego podczas „uaktywnienia ducha”. Nie znam się na tym specjalnie, ale opis jest jasny. Wzrost temperatury, ciśnienia, pole

magnetyczne nie wiadomo skąd.

– Kto ci to dał!? – spytała nie na żarty przestraszona Betlejewska.

– Facet z napisem na czapce: „Z naszą firmą kurierską w XXI wiek!”.

– Możesz przez chwilę być poważny!?

– Jestem cholernie poważny! Nie wiem, kto mi to przysłał. Ale to jest ściśle tajne! Ktoś bardzo potężny wie, że się tym zajmuję. Z jakichś względów sam nie chce albo nie może tego robić. To wygląda na cholernie istotną sprawę, o której wiedzą zagraniczne wywiady.

– To Amerykanie!? – głos Hanki wyraźnie drżał.

– Nie wiem, ale napisy są po angielsku. Czy teraz lekko zrewidujesz pogląd o robieniu w majty?

Betlejewska odłożyła zdjęcia na tylne siedzenie. Przez dłuższy czas siedziała cicho, wczepiając palce w chustę.

– Trzeba pójść na policję – wydukała po chwili.

– Co ty pierniczysz!? I co im powiem? Że znalazłem materiały szpiegowskie na ulicy!? Wiesz, co to jest polska policja!? Większość z nich to niewykwalifikowani chłopcy z łapanki, w najlepszym wypadku ledwo po maturze. Wiesz dlaczego? Bo płacą im tyle, że starcza na czynsz, światło i buty dla dziecka raz w roku. W takim kraju żyjesz. A tu nawet ksiądz dobrodziej nie pomoże, szanowna wróżko, więc nie dziw się, że się boję.

– Nie kpj z ludzi niewykształconych – zacisnęła w złości usta.

– Nie kpię. Mówię tylko, że wdepnęliśmy w trochę większe gówno, niż myślisz. A pomóc nam mogą tylko prawdziwi zawodowcy.

– To zadzwoń po takich! Jesteś wielkim dziennikarzem!

– Jak przyjdzie pora. Jesteśmy na miejscu.

Hanka wysiadła i, nie czekając na Adama, ruszyła w stronę mokradeł. Kniewicz zamknął samochód i dogonił ją.

– Nie gniewaj się – mruknął pojednawczo. – Jesteś bardzo istotnym świadkiem, pomóż mi.

Wróżka szła szybko, nie oglądając się na dziennikarza.

– Przecież ty sam nie wiesz, co robić – burknęła. – Komuś musisz pokazać te zdjęcia i wszystko opowiedzieć.

– Zrobię to, ale jeszcze nie teraz.

Nie zareagowała. Przyglądała się uważnie drzewom.

– Popatrz – wskazała na pień sosny, do której właśnie doszła. – Już tutaj są osmalenia.

– Tam też – zauważył Adam. – Podmuchać musiał być teraz silniejszy. Od czego to może zależeć?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może rzeczywiście nie podchodzimy.

– Zobacz, tam są świeżo połamane gałęzie – wskazał Adam. – Na pewno tu zginęli, nie

ma wątpliwości. Nie było tego ostatnim razem.

– Ja też tak myślę – rozległ się nagle głos za ich plecami.

Szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce stał jakieś dwadzieścia metrów za nimi. Adam nie mógł pojąć, jak udało mu się zbliżyć tak niepostrzeżenie.

– Niech pan tam nie podchodzi! – ostrzegła Hanka. – Tu są niebezpieczne mokradła.

– Wiem, droga pani – uśmiechnął się mężczyzna. – Tam mieszka moja dobra znajoma. Czasem niegościnna, ale zawsze przyjmująca nawet nieproszonych gości bardzo „gorąco”.

Adam z przerażeniem spojrział na Betlejewską, która niczego najwidoczniej jeszcze nie zrozumiała.

– Pan słyszał o tej legendzie? – spytała Hanka.

– O tak – pokiwał wolno głową mężczyzna. – Myślę, że znacznie więcej niż pani.

– Kim pan jest? – spytał Adam, pod którym właśnie ugięły się nogi.

– No cóż... jestem wędrowcem. Przyjacielem tej tam – wskazał palcem w głąb lasu – choć ostatnio nasza przyjaźń uległa zachwianiu.

– Wie pan, co tam jest!?! – jęknęła Hanka.

– O tak, z wszelkimi szczegółami, ale nawet ja nie potrafię wstrzymać jej gniewu, więc raczej się tam nie zbliżajcie.

– Co pan proponuje? – spytał z wyraźnym już strachem w głosie Adam.

– Mały spacer... ze mną.

– Nie chodzę z nieznanymi! – warknęła zadziornie Hanka.

– Nie dajcie się długo prosić – rzekł mężczyzna i wyjął zza poły płaszcza pistolet, po czym wymierzył go prosto w głowę Betlejewskiej.

– Kim pan jest? – powtórzył pytanie Adam znacznie spokojniej, niż na to wskazywał stan jego umysłu.

– Jak już mówiłem: wędrowcem, poszukiwaczem, czasem zdobywcą – ponownie się uśmiechnął. – Przyjaciele nazywają mnie Gawin. Marat Gawin.

ROZDZIAŁ 5

– Rozumiem – powiedział prezydent i podszedł do okna. Poprawił po raz kolejny włosy co było w jego wypadku oznaką zdenerwowania, i przez dłuższy czas przypatrywał się swojemu ulubionemu dębowi, rosnącemu pośrodku ogrodu.

Miał na sobie granatowy garnitur oraz dobrany jak zwykle przez żonę brązowy krawat. Nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt pięć lat. Zadbane, opalona cera, wypielęgnowane paznokcie i zęby czyniły wrażenie świeżości i dobrej kondycji. Znany Polakom szeroki uśmiech w gabinecie raczej znikał z jego twarzy, ale nawet w chwilach rozdrażnienia trudno było oskarżyć go o ponuractwo. Na złe i dobre wieści reagował zwykle wyważonym zamyśleniem, na szczęście prawie zawsze prowadzącym do wniosków wyznaczających dalsze działanie. Tego właśnie teraz oczekiwał Piotr Krentz, obserwujący szefa z kanapy przeznaczonej dla gości; wniosków, najchętniej popierających plan zawarty w przedłożonym przed chwilą raporcie. Znał prezydenta na tyle dobrze, że wiedział, na co może liczyć, a czego nawet nie warto pisać.

– Wciąż nie wiemy, jaki jest cel tej wzmożonej aktywności, ale wykluczamy przypadek – zawyrokował pułkownik.

Prezydent jeszcze przez chwilę stał odwrócony w kierunku okna, a potem opuścił głowę. Wreszcie spojrzał na pułkownika.

– Rosjanie? – spytał z niedowierzaniem. – Tyle lat po wychrzaniu ich stąd? Czego by tu chcieli?

– Niestety, możemy jedynie teoretyzować – rozłożył ręce Krentz. – Może to tylko rozgrywki między nimi i zapędzili się aż tutaj. Możliwe, że mają jakieś niezłatwione sprawy, co pewnie wiązałyby się z zemstą. Może chodzi o zwykłe pieniądze i korzystając z dawno wyuczonych umiejętności, próbują...

– Jak pospolic przestępcy? – przerwał prezydent. – Chyba sam w to nie wierzysz.

– To mało prawdopodobne, ale bierzemy wszystko pod uwagę.

Prezydent posłał pułkownikowi zniecierpliwione spojrzenie.

– No właśnie, powiedz wreszcie, czego się boisz, bo chyba nie przyszedłeś do mnie, żeby opowiadać o pierdołach, z którymi sam sobie zawsze radzisz?

– Przedstawiam raport...

– Później go przeczytam. Co tam jest?

– Wszystko wskazuje na to, że ci byli agenci KGB utrzymują ścisłe kontakty z Abu Muafim. To imam warszawskich muzułmanów.

Prezydent, który przez chwilę sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego papierami na biurku niż opowieścią Piotra Krentza, szybko przeniósł na niego wzrok.

– Jakiego typu są te kontakty? – spytał, lekko ściągając brwi.

– Dość częste i regularne.

– Powiedz coś o tym Muafim.

– Przebywa w Polsce od ośmiu lat, wszystko jest legalne, zgromadził trochę wyznawców, ale bywa nieostrożny.

– To znaczy?

– Krytycznie wyrażał się o Amerykanach po jedenastym września, a nigdy nie zdobył się na krytykę zamachów w Nowym Jorku, w Madrycie czy gdziekolwiek indziej. Bardzo ostro wypowiadał się o naszej obecności w Iraku.

– Masz coś na niego?

– Właśnie z tym przyszedłem. CIA przekazała nam materiały o jego kontaktach z al Kaidą.

– Co!?

– To było dwa lata temu, ale nie ulega kwestii, że takie kontakty zostały nawiązane w Libii i Arabii Saudyjskiej. Ludzie, z którymi się spotykał, ponad wszelką wątpliwość należą do podstawowych struktur al Kaidy. Szczegóły w raporcie.

Prezydent podszedł do biurka i ciężko opadł na fotel. Dość długą chwilę ciszy Krentz wykorzystał na czyszczenie przyciemnianych okularów.

– Przeczytam raport dokładnie jeszcze dziś, ale nie czekaj – zawyrokował prezydent. – Ujawnij to... albo nie, podrzuć to jakiemuś napalonemu pismakowi z „Rzeczpospolitej” lub „Wyborczej”, tylko nie żadne „Tiny” czy „Na żywo”. Obserwuj sprawę przez kilka dni, a kiedy wszystko dojrzeje, podrzuć skurwiela Maliniakowi.

– Tak jest.

– Namów Malinowskiego, aby go nie aresztował, tylko wychrzanił z kraju jak najszybciej, a cały ten meczet... no wiesz... zrób, co trzeba.

– Mam ich...?

– Nie, nie likwiduj, nie delegalizuj, nie aresztuj, lecz bardzo dobrze obserwuj. Po wyjeździe tego Araba zrobi się małe zamieszanie. Sprawdź, kto najgłośniej krzyczy. I nie spuszczaaj wzroku z tych Ruskich.

– Oczywiście.

Prezydent pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tego nam jeszcze brakowało – wstał, przeszedł się nerwowo po gabinecie i oczywiście

po raz kolejny poprawił włosy. – Skontaktuj się ze mną za kilka dni. Możesz dzwonić bezpośrednio.

– Dziękuję, panie prezydencie – Krentz wstał i podszedł, aby się pożegnać.

– Nie możemy tego zlekceważyć – zakończył szef, podając rękę pułkownikowi. – Maliniak już wie?

– Pewnie tak.

– Pogadaj z nim.

– Tak jest.

– Schudłeś – uśmiechnął się prezydent, chyba po raz pierwszy tego dnia.

– Ostatnie wydarzenia temu sprzyjają.

– No tak... pogadam z premierem, może on też schudnie...

– Adam! – spróbowała jeszcze raz. – Żyjesz!?

– Żyję – odpowiedział wreszcie, ale cicho i niewyraźnie.

– Widzisz coś?

Znów chwila ciszy.

– Jest ciemno jak w dupie.

– Właśnie – Hanka ciężko oddychała. – Jak się tu znaleźliśmy?

– Przy samochodzie czymś nas uspili – stwierdził Kniewicz, próbując wymacać cokolwiek charakterystycznego wokół siebie. Panowała absolutna niemal ciemność. Adam mógł ledwie dostrzec swoją dłoń... dwa, trzy centymetry od oka.

– Niczego nie pamiętam – jęknęła Betlejewska.

– Nic dziwnego – mruknął dziennikarz i bardzo ostrożnie się podniósł.

– Skąd wiesz, że nas uspili, a nie przyłożyli nam albo nie stało się coś jeszcze innego?

– Co za głupie pytanie – zachnął się Adam i zaczął powolutku iść wzdłuż muru, dokładnie badając go dłońmi. – To chyba jakaś piwnica.

Hanka się nie odezwała. Po chwili zaczęła cicho płakać. Kniewicz zatrzymał się.

– Nie mam raczej żadnej rany, ale mam lekkie zawroty głowy, czuję specyficzny zapach migdałów, boli mnie gardło, mam podobnie jak i ty chrypkę. Uspili nas jakąś pochodną kwasu dikarboksyłowego lub barbiturowego. Najpewniej ureidami – wyjaśnił, licząc, że kobieta się uspokoi.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała Hanka, nie ukrywając strachu i zniecierpliwienia.

– Mam taką przyjaciółkę... teraz właśnie by się nam przydała.

– Chemiczka?

– Agentka. Nieważne, możesz wstać?

– Po co? Przecież tu nic nie widać!

Adam wypuścił głośno powietrze z ust.

– Spróbujmy się zorientować, gdzie jesteśmy.

– Tu jest brudno – warknęła Hanka płaczliwie.

– Zachowujesz się jak wielkowiejska panienska – zniecierpliwił się dziennikarz. – Przecież jesteś ze wsi! Pomóż mi. Wymacaj coś! Czy tak wyglądają wiejskie piwnice?

– Nie wiem, mam inną piwnicę – odparła trochę spokojniej. – Ja kompletnie nic nie widzę. Może uda nam się stąd wydostać?

– Nie sądzę – mruknął Kniewicz. – Nie związali nas, a więc to pomieszczenie musi być bardzo dobrze zamknięte i najprawdopodobniej na odludziu. W przeciwnym razie zakneblowaliby nam usta.

– O Boże! – Hanka znowu zaczęła płakać. – Co my teraz zrobimy?

– Nic, pomyślimy. Ja bym się raczej martwił, co oni zrobią z nami. Możesz coś sobie przypomnieć?

– No, ten facet prowadził nas do drogi... Tam stała taka półcięzarówka...

– Wiem, to też pamiętam, co dalej?

– Jakichś dwóch Rosjan... gadali po rusku... Kazali wejść do środka, i tyle. Nie pamiętam więcej... chyba.

– Chyba?

– No nie pamiętam! – warknęła znowu głośniej.

– Spokojnie, okej! Ja też tyle pamiętam. To tylko potwierdza moją teorię – zamyślił się na chwilę. – Niczego nam właściwie nie zrobili, czyli czegoś chcą...

– Tylu ludzi znasz, jakies agentki, policjantów czy innych takich, dlaczego, do cholery, nie sprowadziłeś ich tu ze sobą!?

– Mam ci przypomnieć, jak gadałaś o robieniu w majty!?! To teraz siedź cicho. A jak nie, to wyróż coś! Może się przyda.

– Jak możesz...? – Hanka przerwała w pół zdania, bo kilka metrów dalej, gdzieś po prawej stronie usłyszała kroki, szcęk kluczy w zamku, a do środka nagle wpadło światło.

Kola jechał wolno. Agnieszka milczała, nie chcąc go drażnić. Spoglądała tylko co pewien czas na kamienną twarz Rosjanina, po czym szybko przenosiła wzrok gdzieś daleko za przednią szybę. Nie wyglądał na zdenerwowanego, ale kilka dni znajomości z nim wystarczało, aby wiedzieć, że nigdy na takiego nie wyglądał. Umiejętność ukrywania emocji wyćwiczył już dawno temu, a dzisiaj, swobodnie i bez wysiłku, korzystał jedynie z dobrodziejstw długiego i wyczerpującego szkolenia, długoletniego doświadczenia i cholernie stresującej świadomości, ile kosztuje brak dyscypliny.

– Co teraz zrobimy? – bąknęła wreszcie nieśmiało dziewczyna.

– Pojedziemy do motelu – odparł spokojnie.

– Będziemy tam nocować?

– Nie, na chwilę.

– Coś zjemy?

– Nie teraz, chcę się pozbyć kogoś, kto nas śledzi – Kola powiedział to tak spokojnie, że Agnieszka dopiero po chwili zorientowała się, o co chodzi.

– Gdzie!? Gdzie oni są!? – zaczęła rozglądać się nerwowo.

– Nie odwracaj się! – rzucił. – Udawaj, że nic nie wiesz, że nie dostrzegasz go. Na sto procent to zawodowiec. Ciemna, sportowa toyota. Nie dam mu rady w pojedynkę, jeśli wyjedziemy z miasta. Musimy się zatrzymać gdzieś w miejscu pełnym ludzi.

– Myślisz, że to ci Ruscy z mojego mieszkania? – głos Agnieszki znowu zaczął drżeć.

– Raczej nie, ale nigdy nie wiadomo. Skręć na Katowice.

– Tu są wielkie supermarkety – dziewczyna wyjrzała przez boczną szybę. – Może tu?

– Nie, market do tego się nie nadaje. Przypomnij, jak nazywa się ta miejscowość?

– Janki.

Kola wstukał nazwę do maleńkiego komputera, umieszczonego w miejscu, gdzie zwykle jest radio, i na miniekraniku pojawiła się mapka. Kołynin nacisnął jeszcze dwa przyciski i przyśpieszył.

– To niedaleko – rzekł po chwili. – Kilka kilometrów.

– Co ja mam robić? – Agnieszka starała się nie panikować.

– Spokojnie wyjdiesz z samochodu, nie odwracając się, i pójdziesz do baru. Jak widzę... to duży motel, musi tam być knajpa. O tej porze będzie sporo ludzi. Nie siadaj przy stoliku. Jeśli będzie barman, trzymaj się blisko niego i za wszelką cenę nie wychodź na zewnątrz.

– A ty?

– Spróbuję odciągnąć skurwiela i zorientować się, czego chce.

– Boję się – Agnieszka zaczęła szybko oddychać.

– Nie ma czego. Nic ci nie zrobi. Ktokolwiek to jest, z pewnością nie chce cię zabić, lecz wyciągnąć informacje.

– A co chcą od ciebie?

– No... to już trochę inna sprawa.

* * *

Ultra minęła motel, przy którym zatrzymał się ciemnogrnatowy nissan. Ujechała może z kilometr, po czym zawróciła. Po przejechaniu kilkuset metrów dotarła do stacji benzynowej, wjechała na tamtejszy parking i zatrzymała samochód. Motel znajdował się po drugiej stronie szosy katowickiej oddalony o mniej więcej sto metrów w stronę Warszawy. Agentka wysiadła, uważnie się rozejrzała i ruszyła w kierunku motelu. Dotarcie na miejsce zajęło jej najwyżej pięć minut. Nie śpieszyła się, cały czas miała na oku samochód Kołynina, stojący na parkingu.

Przed motelem stało siedem, może osiem wozów. Ultra, przechodząc obok nissana, szybko się pochyliła i przykleiła mały przedmiot wielkości monety jednogroszowej tuż pod

tylnym zderzakiem, a następnie pewnym krokiem weszła do budynku. W recepcji, po prawej stronie, równie spektakularnie jak niegustownie umalowana trzydziestolatka czytała „NIE”, mrugając powiekami, jakby coś wpadło jej do oka. Tylko przez chwilę zerknęła na Ultrę, zamykając w tym momencie otwartą przez dłuższy czas buzię.

Agentka rozejrzała się szybko po korytarzu. Nikogo prócz amatorki sensacji politycznych na razie tu nie było, ale za szklanymi drzwiami, po lewej stronie w barze, kilkanaście osób piło, jadło i odpoczywało po podróży. Przy barku na wysokim stołku dostrzegła dziewczynę towarzyszącą Kołyninowi. Siedziała bokiem, ale Ultra natychmiast ją poznała. Rosjanina ponad wszelką wątpliwość tu nie było. Ruszyła w stronę ubikacji. Odpięła kaburę na broń pod kurtką i zeszła wolno schodami. Gdy była już na dole, odczekała chwilę, aż minie ją młoda kobieta, wychodząca z damskiej toalety, i delikatnie pchnęła drzwi do męskiej ubikacji. Po lewej stronie przy pisuarach nie było nikogo, a z kabin nie dochodził jakikolwiek szmer. Pomieszczenie było dość duże. Ultra wyjęła pistolet i weszła szybko do środka.

Kola czekał za drzwiami. Błyskawicznie złapał ją za prawy nadgarstek i zręcznym ruchem wytrącił broń. Mimo że Ultra spodziewała się tego, nie zdążyła zareagować. Zanim pistolet upadł na podłogę, udało jej się jednak rąbnąć mężczyznę dłonią w nos. Kola zachwiał się, a agentka natychmiast padła na posadzkę, podcinając mu nogi. Nie zdołał utrzymać równowagi, ale nim Ultra wstała, zadał jej, leżąc, precyzyjny cios nogą w żebra, tuż pod łokciem. Jęknęła głośno, przewracając się na plecy. Kola otarł ręką krew z nosa. Zdążył się podnieść, ale agentka, pokonując potworny ból, obróciła się z powrotem na brzuch i podczołgała w ułamku sekundy do leżącego pistoletu. Kołynin również sięgnął po broń, lecz dziewczyna była szybsza.

– Wyjmij spokojnie dłoń spod marynarki – rozkazała, dysząc.

Kola puścił rękojeść margolina i wyjął pustą rękę.

– Domyślam się, że to ty nas śledziłaś?

– Skąd ta pewność?

– A często sikasz w męskich toaletach?

Ultra po raz pierwszy tego dnia roześmiała się szczerze.

– Rozepnij marynarkę i wolno wyjmij spluwę.

Kola wykonał rozkaz. Ostrożnie położył pistolet na ziemi, nie spuszczać z dziewczyny wzroku.

– Ręce z dala od kieszeni! – ostrzegła agentka.

– Co będzie, jak tu ktoś wejdzie? – spytał z niepokojem.

– Może dopisze nam szczęście. Wybacz, że będziesz teraz trochę mniej przystojny, ale wiesz... kobieca ostrożność.

– Jasne – uśmiechnął się Kola. – Mogę wytrzeć nos? Mam nadzieję, że nie jest złamany.

Ultra wskazała papierowy ręcznik leżący na umywalce. Kołynin podszedł tam, odkręcił wodę, zamoczył ręcznik i wytarł ostrożnie nos.

– Przepraszam, muszę cię aresztować. Dziewczyna też jest nam potrzebna – oznajmiła Ultra.

– Wysłuchasz mnie?

– Chętnie, ale nie tutaj.

– Nie mamy czasu. Nie wiesz wszystkiego, daj mi szansę, gramy w tej samej drużynie.

– Jasne. Szkoda tylko, że zapomniałeś nam o tym powiedzieć – pokręciła głową z dezaprobatą. – Tak samo jak w czasie akcji Progress?

Kola zamknął oczy.

– Przekonam cię. Daj mi pięć minut. Przeszukasz mnie, tylko ty będziesz miała broń. Nie ucieknę. Pójdziemy na górę i pogadamy.

Podniosła się, cały czas trzymając wycelowany w niego pistolet. Przez chwilę nic nie mówiła, analizując sytuację. Drzwi do toalety, które miała za plecami, wolno i bezszelestnie zaczęły się otwierać. Kola kątem oka obserwował, jak pojawia się w nich Agnieszka. Odkręcił mocniej wodę. Zdażył dostrzec w jej ręce butelkę, którą podniosła wysoko. Agentka się odwróciła, ale było już za późno. Agnieszka z całym impetem uderzyła ją w głowę, rozbijając flaszkę. Ultra runęła na podłogę.

– Boże drogi! – wrzasnął Kola. – To polska agentka!

– A skąd ja mogłam wiedzieć!? Ratowałam ci życie, do cholery!

Kołynin podbiegł do nieprzytomnej dziewczyny i szybko przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej, po czym nachylił się nad nią, słuchając oddechu.

– Żyje? – jęknęła Agnieszka

– Tak. Biegnij szybko do samochodu.

– A ty?

– Zaraz przyjdę. Umiesz prowadzić?

– Tak.

Kola rzucił jej kluczyki.

– Zapal silnik i czekaj!

Agnieszka skinęła głową i wybiegła na zewnątrz. Do łazienki wszedł siwy mężczyzna.

– Co tu się dzieje!? – spytał podniesionym głosem, widząc Kołynina kłęczącego nad Ultra.

– Znalazłem tę panią przed chwilą – odparł szybko Rosjanin, zręcznie udając przerażenie.

– Czy jest pan może lekarzem?

– Nie.

– Niech pan jej popilnuje i cały czas sprawdza, czy oddycha, a ja pobiegnę po pomoc!

– Dobrze... – bąknął zdezorientowany mężczyzna i ukląkł obok Ultry.

Kołynin podniósł się i zniknął w drzwiach. Na parkingu Agnieszka zdażyła już wyprowadzić samochód. Kola szybko wskoczył do środka.

– Jedź! – rzucił, zanim zdażył zamknąć drzwi.

Dziewczyna ruszyła z piskiem opon. Po chwili już była na szosie.

– Wszystko w porządku? – spytała, gdy motel zniknął im za plecami.

– Tak. Jest pod opieką. Mam nadzieję, że nic jej nie zrobiłaś.

– Boże, nie chciałam.

– Jasne – mruknął Kola. – Musimy szybko zmienić samochód.

– Dlaczego?

– Na pewno przyczepiła gdzieś lokalizator. Zanim go znajdę, miną wieki.

– Jak chcesz zmienić samochód?

– Jak to jak? Tak jak ty uwolniłaś nas od agentki.

Marat Gawin zapalił światło w piwnicy. Hanka i Adam natychmiast zakryli oczy dłońmi. Chwilę trwało, zanim wzrok przyzwyczaił się do jasności. Rosjanin skinął na towarzyszącego mu potężnego blondyna i podsunął sobie krzesło, które, jak się okazało, stało niedaleko drzwi. Blondyn wniósł do pomieszczenia jeszcze dwa stołki i postawił je przed więźniami, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Znajdowali się, jak oceniał Adam, rozglądając się uważnie, w jakiejś przestronnej piwnicy. Pomieszczenie było od dawna nieużywane i pozbawione jakichkolwiek przedmiotów poza krzesłem przy drzwiach i stołkami. Niestety, nie było tu także okien, więc nie mógł się zorientować, czy jest dzień, czy noc. Jak już wcześniej zauważył, zabrano im zegarki i telefony. Wciąż mrużył oczy, ale był już w stanie przyjrzeć się mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko nich. Gawin wskazał stołki.

– Usiądźcie – rzekł tonem rozkazującym, ale uprzejmym.

Hanka niepewnie popatrzyła na Adama, lecz wykonała polecenie, nie mówiąc słowa. Kniewicz usiadł chwilę po niej.

– Kim pan jest? – spytał, pocierając oczy.

– Nie mogę panu powiedzieć. Liczę jednak na to, że pan mi powie, kim wy jesteście i dlaczego interesujecie się tym miejscem – Gawin nie spuszczał oczu z Adama. Hanka znacznie mniej go interesowała, co dziennikarz szybko zauważył i zinterpretował jako fakt raczej dla niej niebezpieczny.

– Nazywam się Adam Kniewicz, jestem dziennikarzem telewizyjnym. Będą mnie szukać – dodał na wszelki wypadek.

– Nie wątpię – uśmiechnął się Marat. – Niestety nie mogę teraz was wypuścić.

– Dlaczego!?! – spytała płaczliwie Hanka.

– Mam tu coś do załatwienia. Wasze pojawienie się skomplikowałoby sprawę.

– Świetnie pan mówi po polsku, ale nie jest pan Polakiem – stwierdził chłodno Adam.

– Skąd ta pewność?

– Poznałby go pan, on występuje w telewizji – wtrąciła Hanka.

– Taki pan sławny? – spytał z nutą ironii w głosie Gawin.

– Umiarkowanie – odparł Kniewicz. – Ale ludzie mnie raczej kojarzą.

Marat pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No dobra – klasnął w dłonie. – Co państwo wiedzą o tym miejscu?

– Nic – odpowiedział Adam. – Właśnie próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć. Były tu ostatnio dwa wypadki.

– Proszę nie kłamać – ostrzegł Gawin.

– Ja nigdy nie kłamię! – oburzyła się Hanka.

Adam skarcił ją spojrzeniem.

– No co? – spytała cicho.

– Nic – pokręcił z dezaprobatą głową i przeniósł wzrok na Marata. – Pracuję nad tym od pewnego czasu, ale utknąłem.

Mimo że Adam skończył mówić, Gawin wciąż przyglądał mu się bardzo dokładnie. Dopiero po dłuższej chwili przeniósł wzrok na Hankę.

– A pani?

– Ona mieszka tu niedaleko – odpowiedział za nią dziennikarz.

– Nie pana pytałem – mruknął Marat. – No więc?

– Zginął tu kiedyś mój pies.

Adam dziękował Bogu za świetny pomysł Hanka.

– Rozumiem – przytaknął Gawin. – Dawno się znacie?

– Od dwóch tygodni – odparła kobieta.

– No dobrze... – zastanowił się chwilę. – Powiedzmy, że wam wierzę. W każdym razie lepiej będzie, jeśli postaramy się nie przysparzać sobie nawzajem problemów. Rozumiemy się?

– Co pan chce z nami zrobić? – spytał Adam z niepokojem.

– Nic. Jeśli nie będziecie robić kłopotów, odzyskacie wolność, jak tylko wyjedziemy.

– Kiedy to będzie?

– Niedługo. Jak mówiłem, muszę mieć czas, aby coś załatwić – Gawin podniósł się z krzesła.

– Proszę pana! – zatrzymał go Adam. – Co to za miejsce?

Marat przez chwilę się wahał, ale w końcu się uśmiechnął.

– Kiedyś, wiele lat temu, pracowałem tu. Byłem wojskowym. Moi ludzie odkryli to miejsce. Od razu było niezwykle. Broniło i broni do dziś bardzo skutecznie swoich tajemnic. Każdy, kto zbliżył się do niego zbyt blisko, porażony był niezwykle silną wiązką energetyczną nieznanego pochodzenia.

– Kto to zbudował? – spytał Adam.

– No proszę... Pan rzeczywiście jest dziennikarzem. Nie wiemy – odpowiedział bezradnie Gawin. – Ale ktoś zrobił to bardzo dawno i raczej nie był to człowiek.

Adam zauważył, jak usta Hanka zaczynają się mimowolnie otwierać.

– Jak to? – bąknęła po chwili.

– Ciekawa sprawa, co? – Gawin uniósł w górę brwi.
– Bada pan to, co tam jest? – spytał Kniewicz.
– Tak.
– Dlaczego pan to ukrywa?
– Bo chcę być przed innymi. I wy nie możecie mi przeszkodzić. Niestety muszę już iść.
– Boże... dla sławy więzi pan ludzi!?
– Zostawiam wam światło.
– Chwila! Co jeszcze o tym pan wie!?
– Tu jest kontakt – Rosjanin wskazał na ciemny przełącznik, a następnie wyszedł, zamykając za sobą grube drewniane drzwi na klucz.
Potężny blondyn czekał już na szefa na schodach.
– Co teraz, towarzyszu pułkownik? – spytał.
– Nic, pilnujcie ich. I przestań tak do mnie mówić.
– Przepraszam, ale może załatwimy ich od razu. To tylko kłopot.
– Nie, na razie nie. Mogą być potrzebni. Traktujcie ich uprzejmie i nie wzbudzajcie w nich strachu. Niech nie panikują. Wtedy byłby kłopot. I wiesz co? Może nawet dobrze, że się pojawili...

* * *

Ultra otworzyła oczy. Przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, ale już kilkadziesiąt sekund później walnęła z całej siły w leżankę.

– Kurwa mać!
– Musisz zawsze kłać jak szewc? – obruszył się siedzący nad nią Krzysztof Bauer. – I nie wierć się, bo popsujesz opatrunek.
– Szybko odzyskuje pani siły – uśmiechnął się chudy facet w białym fartuchu, siedzący obok majora.
– A nie mogłabyś kiedyś w takiej chwili – rozmarzył się Bauer – klasycznie spytać: „gdzie ja jestem”? Albo „co się stało”?
– Gdzie ja jestem? – spytała agentka.
– W karetce, jedziemy zrobić ci rezonans mózgu.
– Po co?
– Bez dyskusji. To rozkaz! – stwierdził surowo. – Nieźle urządził cię ten Rusek.
– To nie on, to ta gówniara.
– Ta prostytutka, którą porwał z jej mieszkania?
– Widać, że jej się podoba to porwanie.
– Albo gra po jego stronie. To tylko dziwka, za forszę zrobi wszystko.
– Trochę dziwna ta dziwka – zauważyła Ultra. – Najpierw kończy uniwersytet, a później

robi karierę jako *call girl*. A teraz mało mnie nie zabiła w obronie rosyjskiego szpiega. Coś tu jednak nie gra.

– Jest z nimi? – zainteresował się Bauer.

– Myślę, że nie jest z nimi, tylko jest jedną z nich. To po prostu „śpioch”. Ich szpieg.

– Może masz rację. Widzę, że przekopałaś już jej papiery?

– Tak. Jeśli nie ma tam jakichś kitów, to ciężko znaleźć coś podejrzanego. Do osiemnastego roku życia była w domu dziecka. Uchodziła za czytana, ale cichą i bardzo introwertyczną. Świetnie się uczyła, bez trudu dostała się na studia, co nie zdarza się często dzieciakom z sierocińców.

– A ja myślę, że to idealny życiorys – zauważył Bauer. – Inteligentna, bez rodziny i przyjaciół, zbuntowana... Tylko werbować.

Major wyrzwał przez okno i postanowił poświęcić kilka chwil na analizę sytuacji. Przez parę sekund przestał reagować na przynudzania wiercącej się na leżance Ultry i całkowicie skupił się na sprawie.

– Długo potrwa to badanie? – usłyszał już chyba po raz trzeci.

– Musi pani odpocząć – odpowiedział facet w fartuchu.

– Jak długo potrwa to badanie!? – powtórzyła jeszcze raz pytanie.

– Z dojazdem pewnie wszystko zajmie nam góra dwie godziny.

– Podrzuciłam im „rzepa” – zwróciła się teraz do Bauera.

– Wiem, chłopcy pojechali za nimi.

– Pewnie już porzucili samochód?

– Tak, w Grodzisku. Sądźmy, że wsiedli do jakiegoś pociągu i teraz mogą być wszędzie.

To było cztery godziny temu.

– Cholera... Może ukradli jakiś samochód?

– Nie podejrzewałbym o to Kołynina. Nie w miejscu, gdzie porzucili poprzedni wóz.

– Boli mnie łeb.

– To nie gadaj przez chwilę i odpocznij.

– Dokąd jedziemy? – spytała Agnieszka.

– Do miejscowości, która nazywa się Maków, pod Skierniewicami – odparł Kola.

– Tam dojedziemy tym pociągiem?

– Nie, musimy się przesiąść w Skierniewicach.

– Do samochodu? – uśmiechnęła się zawadiacko dziewczyna.

– Widzę, że zaczyna cię to bawić – odpowiedział z uśmiechem Kola.

– Jak nos?

– Nie boli. Nie uderzyła mnie mocno, ale trzeba przyznać, że cholernie precyzyjnie.

– Masz zaschniętą krew – Agnieszka wyjęła chusteczkę i delikatnie zaczęła wycierać zaczerwienione miejsca nad wargami Koli. – Chyba na sucho się nie da – pośliniła

chusteczkę.

– To zaczynają być stosunki intymne – uśmiechnął się, unosząc lekko brwi.

– Skoro twierdzisz, że nie jesteś moim ojcem, to chyba wolno?

Kołynin pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czy ty zamierzasz mnie uwieść?

– Kto wie? – dziewczyna roześmiała się szeroko. – Jesteś najprzystojniejszym facetem, jakiego spotkałam od lat.

– Przesadzasz.

– No, może trochę – oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Agnieszka, wciąż rozbawiona, odwróciła wzrok w kierunku okna. Przez dłuższy czas przyglądała się przemykającym za szybą drzewom. Byli sami w przedziale, ale Kola wstał na chwilę i domknął drzwi na korytarz, a następnie zasunął zasłony. Usiadł i zatrzymał wzrok na twarzy Agnieszki.

– Dlaczego to robisz? – spytał cicho.

Dziewczyna odwróciła się od okna, jakby budziła się z zamyślenia.

– No wiesz... twój zawód – Kola uśmiechnął się ciepło. – Przepraszam, że pytam... jeśli ci to przeszkadza...

– Nie – odparła spokojnie Agnieszka. – W porządku.

Ponownie spojrzała w okno, przymrużyła oczy i przez kilkadziesiąt sekund milczała.

– Tak wyszło – powiedziała wreszcie, nie odwracając się od szyby. – To był łatwy zarobek.

– A nie było nikogo, kto by cię powstrzymał... – dokończył Kola.

– Chyba tak – tym razem w jej uśmiechu pojawił się wyraźny smutek.

– Wiem, że jesteś wykształcona, Mogłabyś inaczej pracować.

– To nie jest zła praca. Trzeba się przyzwyczaić. Nigdzie bym tak dużo nie zarobiła.

– Długo to robisz?

– Dwa lata... z małymi przerwami.

Kola przytaknął, jakby chciał, aby miała pewność, że wszystko rozumie.

– Miałaś chłopaka?

Agnieszka spojrzała Kołyninowi prosto w oczy.

– Kilka razy. Na razie nie wyszło.

Kola znowu przytaknął ze zrozumieniem.

– Wiedzieli?

– Jeden. Później już nie mówiłam.

– To były te przerwy?

Uśmiechnęła się znacząco.

– A ty? – spytała.

– Pytasz o kobiety?

– Tak.

– Kilka nieciekawych historii. Mój zawód nie sprzyja życiu rodzinnemu.

– Witaj w klubie – podchwyciła Agnieszka, ale jakoś nie rozbawił jej własny żart.

Kola przypatrywał się dziewczynie z uwagą i zaciekawieniem, usiłując wyłowić z jej spojrzenia jakąkolwiek nutę zniecierpliwienia lub wstydu. Agnieszka jednak była spokojna, nie dostrzegł żadnego objawu zmiany dotychczasowego nastroju. Mimo że na jej twarzy przeważnie gościł oszczędny uśmiech, Kola wiedział, że to inteligentna, ale wymagająca sporego wysiłku fasada. Czuł, że w jej myślach czai się strach – chłodny i trudny do przeniknięcia, ale silny, instynktowny.

– Co robisz, kiedy pojawia się facet, który w ogóle ci się nie podoba? – spytał wprost.

– Najczęściej tak jest – odrzekła i wyjęła chusteczkę higieniczną. Wstała, zbliżyła się do niewielkiego lustra nad siedzeniami i wyjęła z oka jakiś paproch, który najwidoczniej przed chwilą wpadł jej pod powiekę. – Wyobrażam sobie – dokończyła po chwili.

– Co?

– Faceta w moim stylu. Poważnego, lekko szpakowatego, zamyślonego, może trochę smutnego, delikatnego i... mojego – usiadła z powrotem na swoim miejscu.

– To trudne?

– Na początku.

– A potem?

– A potem, jak zresztą wszystko, staje się normą i zwykłością. Nie czuję się „brudna”, jeśli o to ci chodzi. To zawód jak każdy inny, wymagający wysiłku, doświadczenia, profesjonalizmu. Jak każda aktorka, dziewczyna taka jak ja musi umieć stworzyć ułudę normalności, bliskości, może nawet uczucia.

Kola spuścił na chwilę wzrok, przypatrując się podłodze.

– Faceci tylko po to przychodzą?

– Zadałeś pytanie, na które znasz odpowiedź. Oczywiście, że nie. Chcą pogadać, wyzalić się na żonę, niesforne dzieci, brak szacunku w pracy i chcą usłyszeć, że ich kompleksy to idiotyzm. Dają to im. A oni wracają do mnie.

– Nie czują się zażenowani, kiedy orientują się, że jesteś inteligentna, odcytana, może trochę inna niż te...

– Inne kurwy? – dokończyła beznamiętnie. – Nie. Nie staram się błyszczeć. A już na pewno nie w ten sposób. Jeśli klient nie czuje się najważniejszą osobą przez tę godzinę czy dwie, kiedy jest u mnie, nie ma szans na to, że kiedykolwiek wróci. – Przerwała na chwilę, aby poobserwować reakcję wpatzonego w jej buty Rosjanina. – Pytasz jak rasowy tatuś – dodała, nie kryjąc ironii.

– Nie jestem twoim ojcem – odparł spokojnie Kola, unosząc wzrok.

Ultra położyła się wygodnie na plecach. Jej łóżko było twarde, wygodne, a materac, który

niedawno sprowadziła z zagranicy, wypełniony był specjalną masą kokosową, świetnie dopasowującą się do ciała. Zamknęła oczy. Przez chwilę starała się pozbyć wszystkich niepotrzebnych myśli, poprawiając się jeszcze trochę... i zaczęła. Lewa ręka ciężka... taaak. Jest ciężka, bardzo ciężka... dobrze. Właściwie już jej nie czuję. Teraz prawa ręka... jest ciężka... bardzo ciężka... Lewa noga... również jej nie czuję, rozluźniam wszystkie mięśnie... leży bezwładnie... Prawa noga... Tułów. Tylko głowa może się ruszać, reszta ciała jest kompletnie bezwładna. Leżę absolutnie pozbawiona mięśni. Głowa powoli opada na poduszkę i również leży bezwładnie. Raz, dwa trzy... Kolor zielony... lecę nad łąką, długo, płynnie. Teraz żółć, jak słońce i światło... i czerwony... ostrzeżenie, krew, cierpienie... Spokojnie. Płynnie do zieleni... Płynę nad łąką... łąką...

Minęło pewnie kilka minut, zanim dziewczyna powoli uniosła się i usiadła, otwierając oczy. Wpatrywała się teraz w jeden punkt na ścianie, całkowicie wyłączając umysł. Usiadła „po turecku” i położyła ręce na kolanach. Zamarła. Gdyby ktoś obserwował ją teraz z zewnątrz, mógłby mieć wrażenie, że wpadła w katatonię. Przed jej oczami jak zwykle pojawiła się czysta biel i, choć otwarte, przestały widzieć otoczenie. Całkowite, medytacyjne skupienie. Trwała tak przynajmniej dwadzieścia minut, zanim spokojnie zamknęła oczy. Gdy je po chwili otworzyła, jej mieszkanie znów miało kształty sprzed półgodziny. Wstała leniwie i usiadła przy stoliku. Rozłożyła na blacie zdjęcia, które zrobiła przed domem Kołynina. Wzięła do ręki jedno ze zbliżeń Rosjanina i długo mu się przypatrywała. Jego spojrzenie wydało jej się łagodne, może nawet delikatne. Wiedział, że jest śledzony, a jednak nic, absolutnie nic, nie zdradzało niepokoju czy nawet jakiegokolwiek podniecenia. Był jak pieprzony posąg, bez żadnych emocji. Gdzie ten jego cholerny romantyzm? Wieloletnia miłość do pani działaczki NZS-u, do grobowej dechy?

Znów poczuła nagły przypływ bólu, więc chwyciła ostrożnie opatrunek na głowie, jakby to cokolwiek mogło pomóc, i odczekała kilka chwil. Medytacja pomogła. Po dwudziestu, trzydziestu sekundach ból ustąpił. Zgodnie z zaleceniem konowała ze szpitala przy ulicy Sobieskiego, gdzie ją badano, szefowie wysłali ją do domu, aby mogła odpoczywać.

Nudziła się więc od wczorajszego wieczoru w swoim dwupokojowym mieszkanku, chodząc od rana w samym podkoszulku tam i z powrotem, nie włączając nawet telewizora ani radia. Dłuższy czas przeleżała w łóżku, patrząc w sufit i analizując, sekunda po sekundzie, spotkanie z Aleksandrem Kołyninem. Po kilku godzinach wreszcie wstała, podeszła do stolika, usiadła na krześle i próbowała wyczytać ze spojrzenia agenta każdą możliwą do zauważenia cechę, mogącą w przyszłości okazać się pomocną. Włożyła dłonie między uda i mocno ścisnęła. Miała nadzieję, że to choć trochę ją rozpręży. Była spięta, a nudności od kilku godzin nie dawały jej spokoju.

Wyjątkowo niesubtelny dzwonek do drzwi, który nagle i dość brutalnie przerwał długo trwającą ciszę, zaskoczył ją, ale nie przestraszył. Szybko pobiegła do przedpokoju, by włożyć jakieś spodnie. Na krzeselku znalazła bluzę. Zrzuciła ją w jednej chwili i podeszła do drzwi

wejściowych. Zajrzała na wszelki wypadek ostrożnie przez wizjer, po czym natychmiast otworzyła.

– Pułkownik Krentz? – uniosła brwi, nie ukrywając zdziwienia. Nie pamiętała, kiedy szef był u niej ostatni raz.

– Mogę wejść? – spytał, zdejmując swoje nieśmiertelne, lekko przyciemniane okulary.

– Oczywiście – ruchem ręki zaprosiła go do środka.

– Odpoczywasz? – spytał pułkownik, idąc do pokoju, w którym Ultra przed chwilą siedziała, jakby wiedział, że znajdzie tam coś interesującego.

– Oczywiście, zrobiłam sobie relaksację Winnickiej, trochę pomedytowałam, ale już dobrze się czuję – rzuciła za nim.

– Świetnie, ale to ma być odpoczynek? – wskazał zdjęcia rozsypane na stole.

Dziewczyna rozpogodziła twarz w niewinnym uśmiechu.

Krentz nie potrafił się na nią gniewać. Usiadł na krześle, przyglądając się, jak poprzednio ona, Kołyninowi.

– Trafiłaś na lepszego? – spytał, próbując tą prowokacją obudzić ją z marazmu.

– Możliwe – mruknęła, nie zdradzając jakichkolwiek emocji. – Kawy? Herbaty?

– Nie, dziękuję. Jak głowa?

– Już dobrze, naprawdę mogę pracować...

– Jasne. Ale jeszcze nie dziś.

– Wszystko jest w porządku, nie miałam wstrząsu mózgu, nie wymiotuję, nie mam sztywności karku...

– Wiem, wiem... – uniosł rękę pułkownik. – Już przestań. Lepiej powiedz, co o nim myślisz?

Dziewczyna usiadła na krześle i wzięła do ręki jedną z fotografii. Chwilę się zastanawiała.

– Pewny siebie – zaczęła – zręczny, sprawny, doświadczony, spokojny... Jednym słowem dobry. Poza tym nic nie rozumiem. Przyjeżdża tu niezauważony przez nikogo, porywa tę prostytutkę, strzela do swoich dawnych kolegów... – zastanowiła się chwilę. – Chyba że teoria majora Bauera rzeczywiście jest prawdziwa i to po prostu agentka, tylko po co? Po co mieliby u nas umieszczać aż tak zakonspirowanych agentów?

– Wszyscy mają pluskwy u wszystkich – zauważył Krentz. – Nie zadawaj głupich pytań.

Przytaknęła, zamykając na chwilę oczy.

– Uważam, że najprawdopodobniej – powiedziała po namyśle – chodzi o dojście do Arabów. O potężne pieniądze i moim zdaniem szeroką akcję terrorystyczną w Polsce. Ruscy mają tu najlepsze rozeznanie. Cały kraj usiany jest ich byłymi bazami. Wiedzą co i jak. Byli agenci KGB chcą się dorwać do koryta i ze sobą współzawodniczą. No, a centrum to ten Abu Muafi.

– Muafi to pionek – mruknął niemal obojętnie pułkownik. – O niczym nie decyduje, ale

myślę, że wszystko przechodzi przez jego ręce. Prezydent kazał go odesłać do domu.

– Czy to rozsądne? Teraz przynajmniej mamy go na oku, a kiedy ktoś inny przejmie jego funkcję, będziemy szukali igły w stogu siana.

– Niezupełnie – zaprzeczył Krentz. – Umieszczenie członka al Kaidy w Polsce jest trudne. To nie są Rosjanie. Zdemaskowanie Muafiego to dla nich cholerny cios. Będą musieli zaczynać niemal od początku. To nie może być facet od kebabów z budki na Marszałkowskiej. Muafi siedział tu dobre kilka lat, zanim zaczął robić to, co robi. Mamy już listę wszystkich, którzy mogliby przysporzyć nam kłopotów. Są pod obserwacją.

– A Muafi?

– Pilnowali go ludzie Maliniaka. Zrobili nawet zdjęcia Maratowi Gawinowi i Kołyninowi, ale oczywiście nie mogli deptać im po piętach, bo nie wiedzieli, kim są.

– Kołynin też tam był?

– Dlaczego się tak dziwisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie Krentz.

Ultra rozłożyła ręce.

– Wydawało się, jakby... jakby chciał nam pomóc lub przynajmniej naprowadzić na swoich niebezpiecznych kumpli.

– I przypieczętował propozycję guzem na twojej głowie?

– Już mówiłam, że to nie on, tylko ta dziewczyna. On chyba naprawdę chciał rozmawiać...

– Gdyby chciał, dawno by to zrobił. Nie bądź naiwna. Miałaś go na muszce, ratował się. Przecież jeszcze przed chwilą mówiłaś, że uczestniczy w wyścigu po nagrodę ben Ladena!

– Wszyscy inni tak, ale on... może rzeczywiście przeginam. Przecież to on głównie strzela.

– Ostatnio tak, lecz te serie sprzed pół roku to raczej nie jego styl. Teraz to mniej ważne. Musimy za wszelką cenę wypłoszyć ich z kryjówek, a afera z Muafim świetnie się do tego nadaje. Jutro w „Wyborczej” ukaże się artykuł o jego wydaleniu.

– Maliniak?

– Tak. Nie wiemy, na jakim są etapie, a nie możemy się spóźnić. W Madrycie tak właśnie się spóźnili. Wyjmując im łącznika, odwlecemy sprawę, a złapanie agentów odciętych od „źródła” to tylko kwestia czasu.

Ultra spojrzała jeszcze raz na zdjęcia leżące na stole i wstała z krzesła. Podeszła do okna i wyjrzała na podwórkę.

– Co się stało, panie pułkowniku? – spytała.

Krentz uśmiechnął się chytrze.

– Nie tracisz swojego słynnego szóstego zmysłu – zauważył z uznaniem.

– Raczej rzadko pan tu przychodzi.

– Raczej rzadko dostajesz łomem w głowę.

– To była butelka. Tak czy owak nie zadzwonił pan, lecz przyszedł. Coś musiało się stać.

– Naprawdę chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, ale masz rację. Dzisiaj rano Sokrates przyniósł mi coś ciekawego.

Ultra odwróciła się od okna i z powrotem usiadła przy stole.

– Ta prostytutka nazywa się Agnieszka Kowczyńska, prawda? – ciągnął pułkownik.

– Tak.

– Dzieciństwo spędziła w domu dziecka.

– Wiem.

– I pod takim nazwiskiem ją tam oddano.

Agentka uniosła brwi, mając niemal pewność, co zaraz usłyszy.

– Ale naprawdę przez osiem pierwszych lat życia nazywała się... Leszczyńska – kontynuował pułkownik. – Agnieszka Leszczyńska.

– To nam coś mówi? – spytała zdeorientowana Ultra.

– Zdecydowanie – przytaknął Krentz. – Pamiętasz, jak opowiadaliśmy ci z Krzysztofem o akcji Progress i młodych latach Kołynina?

– Tak, obracał się wśród działaczy NZS-u jako dziennikarz francuski.

– I nawet się zakochał w jednej z pięknych działaczek. Śmiałaś się z tego.

– Tak – przyznała agentka.

– Ta dziewczyna nazywała się Maria Leszczyńska. Przyjaciele używali w stosunku do niej zdrobnienia Marika. Podobno wymyślił je Kołynin.

Ultra powoli otworzyła usta i choć zdarzało się jej to rzadko, przez pewien czas trwała tak, nie mówiąc ani słowa, śmiejąc się w myślach z prostoty rozwiązania zagadki.

– To nie przypadek? – spytała po kilku sekundach.

– Pokażę ci zdjęcia obu pań – pułkownik wyjął z kieszeni marynarki dwie fotografie i wręczył agentce.

– Podobne – powiedziała niemal automatycznie, przypatrując im się uważnie.

– To zdjęcie sprzed dwudziestu lat, a to wzięte z mieszkania dziewczyny – wyjaśnił Krentz.

– To jej matka – pokiwała głową Ultra. – A więc ta cała Agnieszka to pewnie dziecko drogiej pani Mariki, o której nikt nic nie wie, oraz radzieckiego agenta, przystojnego Aleksandra Kołynina.

– Właśnie – przytaknął pułkownik. – Jeśli przesłanki o ich romansie są choć trochę prawdziwe, to niewykluczone, że on tu przyjechał po córkę.

– A więc to niekoniecznie agentka!

– Tylko czego chciał od niej Andriej Gordiejew, zabity w jej mieszkaniu przez Kołynina?

Dziewczyna zastanowiła się chwilę.

– Musiał wiedzieć o tym, że są rodziną, i pewnie była elementem szantażu albo nawet... przynętą.

– No to teraz wiesz, dlaczego dostałaś od niej w głowę.

– Tak, ale nie mam już pewności, czy myśląc, że on może być po naszej stronie, jestem aż tak naiwna.

– Rosjanin? – skrzywił się Krentz. – Doradzałbym ostrożność, nawet jeśli jest tak romantyczny, na jakiego wygląda.

Pułkownik zamilkł, jakby zastanawiał się nad sensem słów, które wypowiedział.

– W każdym razie – stwierdziła Ultra – jak na córkę intelektualistki z opozycji i radzieckiego agenta nie ma zbyt wyszukanego zawodu.

Krentz roześmiał się.

– Zawsze mówiłem, że nasza socjalistyczna przyjaźń z tamtych lat może mieć tylko takie skutki.

ROZDZIAŁ 6

Dom wyglądał na dość stary, ale z pewnością kiedy go budowano, musiał kosztować sporo pieniędzy. Miał jedno piętro, lecz był dość rozległy. Pokryto go brązową dachówką, a ściany – przynajmniej kiedyś – zaplanowano najprawdopodobniej na kremowo. Przypominał trochę fragment osiedla ze skandynawskich prospektów czy z filmów Spielberga, na amerykańskich przedmieściach, gdzie mieszkał pamiętny opiekun E.T. Dość radykalnie różnił się od pozostałych budowli w Makowie pod Skierniewicami, ale na szczęście stał dobre osiemset metrów od granic miejscowości, bliżej lasu, nie przy samej drodze. W środku znajdowało się pięć pokoi, kuchnia połączona z salonem i łazienka. Urządzenie domu nie było zbyt nowoczesne, ale praktyczne i starannie zaprojektowane.

Kola kończył właśnie porządkować. Agnieszka pomagała mu w odkurzeniu, umyciu podłóg oraz w doprowadzeniu łazienki do stanu używalności.

– To twój dom? – spytała, wchodząc do salonu.

– Kolegi.

– Dawno go tu chyba nie było...

– Zmarł pół roku temu. Nie miałem okazji wcześniej tu wpaść.

– Dał ci klucze?

– Był moim... bardzo dobrym kolegą. Może nawet przyjacielem.

– Nie umarł zwyczajnie? – spytała z przekąsem Agnieszka.

– Chcesz kawy?

– Nie odpowiedziałeś.

– Nie odpowiedziałem. Chcesz kawy?

– Okej. Nie ma sprawy. A o kawę poproszę.

– Z cukrem?

– Tak. Jak już będziesz mi ją robił, to przy okazji skup się trochę, przypomnij sobie kilka faktów i opowiedz mi o matce.

– Słucham!? Przecież jeszcze niedawno nie chciałaś nawet o tym słyszeć!

– A teraz chcę. Opowiesz mi?

Kołynin postawił wodę na gaz.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Jest wieczór, mamy czas. Jak przyjechałeś do Polski, jak ją spotkałeś i... jak spotkałeś mnie.

– Nic nie pamiętasz?

– Raczej nie. A powinnam?

– Widzieliśmy się sporo razy. Ostatnio, kiedy miałaś siedem lat.

– Matkę otaczali liczni koledzy. Ciągle chodziła na jakieś zebrania, w których uczestniczyło wiele osób. Czasem mnie na nie zabierała. Byłeś tam?

– Przeważnie – przyznał Kola.

– Mieszkałam u babci, aż do jej śmierci.

– Wiem – Kołynin wyjął dwie filiżanki z szafki i postawił na kuchennym blacie. Nasypał do nich kawy i spojrzał na Agnieszkę, jakby spodziewał się wyczytać w jej twarzy odpowiedź na pytanie, od jakiego wydarzenia zacząć. Długo szukał w myślach pierwszego zdania. Woda zagotowała się. Zdjął czajnik i napełnił wodą filiżanki. Następnie postawił obie na tacce i podszedł z nimi do stołu.

– Przyjechałem do Polski w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Miałem dwadzieścia siedem lat.

– Kiedy dokładnie?

– Spryciara – uśmiechnął się Kola. – W grudniu. Ty urodziłaś się w lutym, więc kiedy pojawiłem się, najpierw zresztą w Krakowie, miałaś już dziesięć miesięcy. Sprowadził mnie tu Jean Gandolfini. Kolega z redakcji niewielkiego, paryskiego tygodnika „Pourquoi”. Miałem relacjonować pierwsze ruchy wolnościowe w bloku wschodnim. Jak na korespondenta byłem bardzo młody, ale chcieli kogoś, kto wniknie w środowisko NZS-u, a ja dobrze pasowałem. – Usiadł i wypił łyk kawy. – Kiedy przyjechałem do Krakowa, przez pierwsze kilka tygodni byłem oczarowany tym, co się tu działo. Wszyscy zachowywali się jak dzieci. Nagle zgorzkniałe, spauperyzowane społeczeństwo, pozbawione do tej pory zwykłej obyczajowej i politycznej normalności, zachłystywało się chwilową wolnością, naiwnie wierząc, że będzie to trwało wiecznie. Tak naprawdę, mimo że dziesięć milionów Polaków należało do „Solidarności”, a drugie tyle ją popierało, nikt nie wiedział, co z tą całą wolnością robić. Nie było moralnych autorytetów, mogących podzielić się jakimkolwiek doświadczeniem. Nie było powojennej, polskiej tradycji demokratycznej, która mogłaby stanowić swoiste oparcie. Wszystko było nowe, tajemnicze, fascynujące, ale myślenie o wolności okazywało się naiwne i nieporadne. NZS powstał pod koniec listopada tamtego roku. Moim pierwszym zadaniem było dowiedzieć się jak najwięcej o założycielach i relacjonować każdy ruch młodych działaczy. W Krakowie byłem dwa, może trzy tygodnie. Właściwie niczego nie robiłem. Zwiedzałem miasto, czasem się z kimś spotykałem, oswajałem się z Polską. Potem szefowie kazali mi pojechać do Warszawy. Załatwili mi spotkanie z najważniejszymi działaczami z Uniwersytetu Warszawskiego.

– Którzy szefowie? – wtrąciła nagle Agnieszka. – Ci z Paryża, czy ci prawdziwi, z Moskwy?

W pokoju nastała cisza. Kola zamknął oczy i długo ich nie otwierał.

– Nie przerywaj – powiedział spokojnie – bo nie zrozumiesz. – Podniósł do ust filiżankę i pociągnął kolejny łyk kawy. – W Warszawie zjawiłem się dokładnie w Wigilię Bożego Narodzenia. Do spotkania doszło na przyjęciu gwiazdkowym u Czarka Kosińskiego, jednego z założycieli warszawskiego oddziału Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Mieszkanie przy Alejach Niepodległości, w którym znalazłem się tego wieczoru, nie miało więcej niż siedemdziesiąt metrów, ale przyszło tam tyle ludzi, że właściwie trudno było sobie wyobrazić, jak można w takim tłoku normalnie rozmawiać, przemieszczać się czy pić wódkę. Oczywiście całe towarzystwo było rozemocjonowane polityką, dyskusjami o przyszłości kraju, nowym innym życiem. Przyprowadził mnie tam facet, który nazywał się Jędrzej Gutowicz... rezolutny, krępy blondyn o wdzięku dziecka, ale posturze kulturysty. Wszyscy go lubili. Miał nieprawdopodobną zdolność dogadywania się z każdym i gaszenia sporów, których, jak się później przekonałem, było niemało. Znał świetnie francuski, a ja po rosyjsku ani po polsku mówić nie mogłem. To przede wszystkim on utrzymywał kontakty z prasą francuską i innymi mediami i to jemu mnie polecono. Oczywiście mówiłem łamaną polszczyzną, ale nie mogłem przyznać się, jak dobrze znam ten język. Kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i buchnęła muzyka, poczułem się trochę nieswojo. Przepracowałem później w tym zawodzie ponad dwadzieścia lat, ale tam, wtedy... to był właściwie mój debiut. Wniknąłem w tłum ludzi, których miałem od tej pory śledzić, inwigilować, rozpoznawać ich sposoby działania, struktury, aby doprowadzić do zniszczenia organizacji. Byłem młody, ale zdecydowany na wszystko. Chciałem służyć mojemu krajowi, a ci ludzie na tym przyjęciu byli jego wrogami. Sporo czasu zajęło mi później zrozumienie, że to nie odpowiadało prawdzie.

– To jest „Kotłownia” – przedstawił Jędrzej wysoką brunetkę, która otworzyła nam drzwi.

– Słucham? – spytałem z niedowierzaniem po francusku.

– Potem ci to wytłumaczę – rozpromienił się chłopak i wpadł w objęcia koleżanki. Uśmiechała się szeroko, ale średnio mi się spodobała. Było w niej coś męskiego i przesadnie szorstkiego, lecz pomyślałem, że mogło to być tylko pierwsze wrażenie.

Kiedy Gutowicz wyrwał się wreszcie z objęć dziewczyny, dał mi szansę na podanie jej ręki.

– Jeśli kiedykolwiek miałbyś okazję do niej zadzwonić, zawsze usłyszysz to samo. Przedstawi ci się jako „kotłownia ambasady tureckiej!” – Jędrzej wybuchnął śmiechem, a dziewczyna mu zawtórowała, klepiąc się niemal z całej siły po udzie.

Stałem trochę zdezorientowany, czekając, aż się uspokoją.

– We Francji zdarza wam się mieć poczucie humoru? – spytała bezceremonialnie Kotłownia.

Gutowicz szybko przetłumaczył jej słowa.

Czułem się jak idiota. Myślałem zupełnie o czym innym i nie tylko nie było mi do śmiechu, ale niestety dopiero po pewnym czasie doszło do mnie, co powiedział Jędrzej. Uśmiechnąłem się.

– Jestem dopiero od kilku godzin w Warszawie – wyjaśniłem dość nieśmiało. – Sporo wrażeń, rozumiecie...

– Przystojny, ale trochę tępawy – powiedziała Kotłownia, wciąż uśmiechając się do mnie.

– Uważaj, on trochę mówi po polsku – ostrzegł rezolutnie Jędrzej.

– To niech ćwiczy polski dowcip – dziewczyna zamknęła drzwi wejściowe i zaprosiła ręką do środka, po czym zniknęła gdzieś w tłumie.

Zdjęliśmy swoje palta i rzuciliśmy je na górę kożuchów i kurtek, na które przeznaczono małe pomieszczenie tuż przy wejściu. Przepisnęliśmy się przez jeden zadymiony, wypełniony muzyką Pink Floydów pokój i dotarliśmy do miejsca, gdzie było luźniej, ale jakby poważniej. Na krzesłach, niektórzy na podłodze, oparci o ściany lub meble siedzieli albo stali zamyśleni młodzi ludzie, pochłonięci jakąś dyskusją. Nie chcieliśmy przerywać, więc zatrzymaliśmy się w drzwiach, słuchając kolejnych wywodów. Po raz pierwszy stanąłem wtedy oko w oko z czymś, co w moim kraju było wówczas nie do pomyślenia. W Krakowie ocierałem się często o różnego rodzaju tak zwane wolne dyskusje, ale tu działo się coś zupełnie innego. To było centrum. Jeśli cokolwiek miało zmienić na zawsze oblicze waszego kraju, to źródło tego właśnie obserwowałem w tę Wigilię. Była już dziesiąta wieczór i dziwiło mnie nawet, że ci ludzie nie są w swoich domach, ale jak się później okazało, poprzychodzili tu już po rodzinnych kolacjach. To było dla nich teraz najważniejsze, i jak nietrudno się domyślić, tym głównie żyli.

– Socjalizm nigdy właściwie nie był obecny w Polsce – niemal krzyczał długowłosy chłopak w lenonkach, z papierosem w ustach.

– To „Laertes” – szepnął mi do ucha Jędrzej. – Jest na muzykologii, uwielbia Szekspira, dlatego tak go nazywamy.

– Idee, które dawno tu już powinny zaistnieć, poststalinowcy wciąż wykorzystują w zbrodniczy sposób wyłącznie po to, aby zniewolić myśli postępu. Nie możemy zmarnować tego momentu. Powstanie „Solidarności” musi zmienić socjalizm na zawsze.

– To bez sensu – zaprzeczył ruchem głowy brodaty, dobrze zbudowany chłopak w pogniecionym garniturze.

– Czarek Kosiński – wyjaśnił znowu Jędrzej. – Historia, czwarty rok.

– Odrzucam ten system w całości – kontynuował brodac. – Zgadzam się tylko z tym, że socjalizm w wydaniu polskim nigdy nie miał możliwości powodzenia. Tym bardziej komunizm, o którym tu chyba mówimy. Oba systemy są nie do zaakceptowania. Prawie siedemdziesiąt lat doświadczeń powinno cię nauczyć, że urzeczywistnianie idei marksistowskich nie ma szans.

– Marks, gdyby żył teraz w Polsce, siedziałby w więzieniu jak Moczulski – wtrąciła dziewczyna wiercąca się na krześle obok Czarka. Miała długie, jasne włosy, wielkie niebieskie oczy i cudowne usta, które zapamiętałem do dzisiaj. Jak Meg Ryan za swoich najlepszych lat. Czarek powiedział mi, że to Agi. Wiele razy później ją spotykałem, aż do jej śmierci w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku.

Wtedy wydawało mi się, że słucham i patrzę na to wszystko dość obojętnie, ale tak nie było. Wydawało mi się także, że trening, szkolenia, ciężka praca w terenie i na salach wykładowych uczyniły mnie całkowicie odpornym. I tu też się myliłem. Sporo lat upłynęło, zanim zrozumiałem, jak bardzo istotny dla mnie był tamten wieczór wigilijny w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Te studenckie dyskusje, niezbyt może głębokie, ale dla nich ważne i potrzebne, dla mnie z początku nieistotne, po pewnym czasie zaczęły wzbudzać we mnie lęk. Uczucie, które, jak naiwnie mi się wydawało, jest mi obce. Bałem się tego, co mówili, lękiem napawała mnie ich odmienność i... co do mnie dotarło po wielu miesiącach... myślałem o tym, co się z nimi stanie. Choć byli dla mnie tylko obiektem pracy, nie chciałem, aby przez to, że błądzą, marnowali życie i przyszłość. Oczywiście tam, stojąc wśród nich, nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale wydaje mi się, że już wtedy w jakiś sposób kiełkowało to we mnie. Zrobiłem później wiele rzeczy, o które nigdy bym się nie podejrzewał, a wzięły się one między innymi z tego, co tam zobaczyłem, usłyszałem i może zrozumiałem. Chciałem być agentem z raczej mało oryginalnej przyczyny. Był nią strach, który towarzyszył mi zawsze. Od dzieciństwa – w szkole, w domu, wszędzie. Liczyłem na to, że minie, gdy zacznę pracować w KGB, i przez pewien czas miałem wrażenie, że tak się stało. Wiedziałem, że ojciec przypilnuje, żeby wszystko szło dobrze, i tak zrobił. Byłem jego ukochanym synem. Pomyślisz, że to fajna fucha... być ukochanym synem? Powiem ci, na czym to polegało w naszej rodzinie. Głównie na patrzeniu, jak ojciec znęca się (a repertuar miał bogaty) nad matką, braćmi i siostrą. Widziałem, jak każde z nich staje się powoli człowiekiem bez przyszłości, nikim, bo ojciec widział tylko mnie. Resztę, no... może z wyjątkiem matki, traktował jak śmieci. Nienawidził ich, a po pewnym czasie znenawidził także ją, chyba dlatego, że ich urodziła. Ja byłem tylko jego synem, nie jej. Nie wolno mi było okazywać słabości w obecności własnej matki. Nie mogłem się do niej przytulać, całować ani mówić, jak bardzo się boję. Kiedy wyjeżdżał, nieraz na długie tygodnie, było lepiej. Rodzinie wybitnego agenta KGB nie wiodło się źle. Żyliśmy w wielkim mieszkaniu, mieliśmy pieniądze, wiele przywilejów. Oczywiście on nigdy nie rozmawiał w domu o pracy, ale przygotowywał mnie. Niemalże od podstawówki. Był, można powiedzieć, w pewnym sensie wyjątkiem. Większość agentów nie miała rodzin lub zakładała je późno. On ożenił się z matką, mając dwadzieścia sześć lat, i zafundował sobie czwórkę dzieci. Nie wiem, dlaczego wybrał akurat mnie. Byłem młodszy od siostry i jednego z braci, starszy od drugiego brata, a jednak padło na mnie. Jurij i Lonia skończyli jako robotnicy budowlani, kiepsko

wykształceni, kiepsko zarabiający. Maszy udało się zostać nauczycielką. Nie utrzymujemy kontaktów. Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie mamy, dziesięć lat temu. Na pogrzebie ojca byłem sam. Popęłił samobójstwo po przewrocie Janajewa. Próbowałem z braćmi... no wiesz, znaleźć jakiś wspólny język, ale po pewnym czasie zorientowałem się, że obaj tego nie chcą, więc... przestałem przyjeżdżać czy wysyłać listy. Z Maszą rozmawiam czasem przez telefon. Mieszka w Mińsku, wyszła za męża, niestety nie może mieć dzieci.

Kola pociągnął mocny łyk z filiżanki. Spojrzał na Agnieszkę i uśmiechnął się.

– Po raz pierwszy, odkąd się widzimy, tak długo milczysz.

– Może nie uwierzyłam, że nie jesteś moim ojcem, i słucham, kim była moja rodzina – dziewczyna przekrzywiła zawadiacko głowę. – To dość ciekawe. Chwytam chwilę. Zrobiłeś się szczery.

– Tylko ci się tak wydaje, a do twojej rodziny jeszcze nie doszedłem – odparł Kola. – Wróćmy do Warszawy. Długo trwająca dyskusja, o której ci opowiadałem, znudziła w końcu Jędrzeja Gutowicza, więc postanowił przenieść się do kuchni, gdzie plotkowano na mniej górnolotne tematy. Gdy stanęliśmy w drzwiach i zobaczyliśmy siedzących na blatach i na podłodze częściowo już upitych zabawowiczów, Jędrzej znów zabrał się do prezentacji. Ten z prawej to „Opad”, studiuje medycynę, nie jest od nas, ale przyjaźnimy się z nim. Obok niego Marcin, nazywamy go „Merot”. Ładnie śpiewa, studiuje chemię. Trzy dziewczyny siedzące na podłodze to Anka, Maryśka i Zuza, leserki z polonistyki i romanistyki. Ten samotnik próbujący zapalić gaz to Krzysiek, ale wszyscy nazywają go „Stranger”. Mało mówi, lecz to świetny facet.

– Słyszałam, że przyjechałeś z Francji! – krzyknęła, próbując przebić się przez muzykę i hałas rozmów jedna z dziewczyn siedzących na podłodze.

– Tak – odpowiedziałem. – Mam coś o was napisać.

Przyjrzałem się jej uważnie. W pozornie przyjaznym uśmiechu dostrzegłem ironię, może nawet lekceważenie. Była szczupła w przeciwieństwie do obu swoich koleżanek, miała czarne włosy za ramiona, brązowe duże oczy i ciemną karnację, ale nie dostrzegłem w niej wtedy wybitnej urody. Raczej oryginalność, a może nawet swego rodzaju... siłę.

– Masz spojrzenie Rosjanina – wystrzeliła nagle, a mnie w błyskawicznym tempie przeszły ciarki po plecach.

– Przestań, Maryśka! – skarciła ją tłusta koleżanka. – Nowy jest, a ty mu wymyślasz!

– Nic podobnego – odparła hardo dziewczyna. – Lubię Rosjan. To tylko naród. Nie każdy jest Breżniewem. Większość z nich to uczciwi ludzie.

– Akurat – burknął Merot, który siedział na blacie niemal nad nimi. – Mają w genach prymitywizm i chamstwo. Całą historię się z nimi użeramy.

Maryśka nawet nie spojrzała na Merota. Wbiła wzrok we mnie, jakby

rzeczywiście domyślała się, kim jestem.

– Moi pradziadkowie mieszkali na Ukrainie, wyemigrowali do Francji przed rewolucją listop... październikową – wymyśliłem na poczekaniu, licząc, że nikt nie zauważy tego przejęzyczenia.

„Winaaa, winaaa, wina dajcie! A po śmierci pochowajcie...”, zaczęły nagle śpiewać dziewczyny, „Na szerokiej Ukrainie, przy kochanej mej dziewczynie! Hej!” Uśmiechnąłem się przepisowo, ale nogi miałem jak z waty. Pierwszy dzień, pierwsze prawdziwe zadanie, nie licząc drobnych, mało istotnych akcji, a tu taki numer.

– Znasz ukraiński? – spytała znowu Maryśka.

Nienawidziłem jej. Miałem ochotę wyrwać szafkę ze ściany i rozwalić ją na tej przemądrzałej, polskiej główce.

– Raczej słabo, rodzice nie rozmawiali po ukraińsku w domu. Urodzili się już we Francji – odpowiedziałem spokojnie.

– A wiesz, jak brzmi Maria po ukraińsku? Ciekawe, jak by tam do mnie mówili?

– Nie jestem pewien – skłamałem. – Chyba... Marika.

– Marika! – wybuchła śmiechem dziewczyna. – Ładnie!

– Napijcie się? – spytał ni stąd, ni zowąd Stranger, odkorkowując wino.

– Za Marikę! – krzyknął Merot.

– Za Marikę! – zawtórowali mu wszyscy w kuchni.

Tylko ja stałem zmieszany, wpatrzony w dziewczynę, która upokorzyła cały mój pieprzony profesjonalizm w ciągu kilku minut. Tego wieczoru nikt się nie domyślił, w jakim charakterze tak naprawdę się tam pojawiłem, nawet ona, mimo że tak mi się wówczas wydawało. Sporo czasu później przyznała się, że wtedy chciała tylko ponabijać się z nowego gościa na imprezie i nawet do głowy jej nie wpadło, kim jestem. Wyznała mi to, gdy już naprawdę wiele o mnie wiedziała. I mnie kochała.

Tadeusz Malinowski, przysadzisty, niewysoki sześćdziesięciolatek, siedział spokojnie na ławce w parku Saskim w pobliżu stawu i karmił kaczki. Ciemnozielony płaszcz, z którym właściwie nie rozstawał się jesienią, nadawał się już zdecydowanie do pralni, co zauważył nawet pułkownik Krentz, który wolnym krokiem zbliżał się do niego, nie chcąc najwidoczniej spłoszyć ptaków. Park powoli pustoszał, ale zbliżający się wieczór nie zniechęcił kaczek i gołębi, garnących się do każdego, kto miał przy sobie choć kawałek bułki. – Jak leci, Tadziu? – spytał pułkownik, siadając na ławce.

– Świetnie. A u ciebie? – odparł Malinowski, nie odwracając wzroku od kaczek.

– Średnio. Masz jakieś fajki?

– Przecież rzuciłeś...

– To dlatego nie kupuję. Masz?

Grubas podał mu paczkę marlboro. Krentz wyjął jednego papierosa, przypalił i mocno się zaciągnął.

– Zapalniczkę masz swoją – zauważył Malinowski z uśmiechem.

– No, do różnych rzeczy się przydaje. – Krentz poczekał chwilę, aż para nastolatków trzymających się za ręce odejdzie na bezpieczną odległość. – Mamy kłopot, Tadziu. Kilku nieuważnych ludzi premiera przesadziło ze starą polską gościnnością i teraz jest problem.

– Goście się rozpierzchli?

– No widzisz, jak ładnie to ująłeś. Może tylko szkoda, że to byli, a może nawet obecni, agenci KGB.

Malinowski zamknął na chwilę oczy, jakby chciał zebrać myśli.

– To nie moi ludzie – wyjaśnił spokojnie.

– Pracujesz dla premiera, Tadziu. Nie sądzisz, że twoje CIA powinno choć na sekundę wyjąć głowę z dupy i wykazać trochę inicjatywy? – Krentz ponownie głęboko zaciągnął się papierosem.

– Przestań, Piotr! – skrzywił się Malinowski. – Wiemy o nich od dawna, i to sporo, tak jak i wy. I nie myl mnie z tymi dzieciakami z kontrwywiadu. Po co prezydent straszył premiera?

– Bo wiesz dobrze, co się szykuje.

– A masz pojęcie, co ten idiota teraz robi?

– Słucham.

– Zamiast zająć się Arabami i Ruskimi, szuka winnych i zastanawia się, komu przy okazji można by uciąć łeb. Polityka, słyszałeś o takim słowie? Dałeś raport szefowi i jesteś zadowolony, a ja teraz siedzę po pachy w gównie. Ten facet jest dopiero dwa miesiące na stanowisku i nie ma pojęcia, co my naprawdę robimy. On się po prostu na tym nie zna!

– Który to z kolei twój premier? – spytał Krentz, kręcąc głową z dezaprobatą.

– Nie pamiętam. Mogę wiedzieć, o co ci chodziło?

– Nie mogłem czekać.

– Tak!? To co cię najbardziej niepokoi? Ruscy? Arabowie?

– Pieniądze – odparł pułkownik. – Bez forsy Ruscy są niegroźni. Muafi przywiózł tu pieniądze, dlatego przekazałem ten raport. Kończy nam się czas.

– Wątpię. Jutro Muafi wylatuje do Jordanii, to opóźni sprawę. Poza tym wszystko wskazuje na to, że nie są jeszcze gotowi.

– Jesteś pewien, że to będzie zamach terrorystyczny, i na tym koniec?

– A mało ci? Ruscy znają teren, naszą mentalność, nasze sposoby działania, wiedzą o nas co trzeba. Arabowie płacą i czekają. Czego zażądają potem... nikt nie wie. Raczej nie będzie chodziło o wybory jak w Hiszpanii, bo odbyły się trzy miesiące temu.

– To chyba oczywiste. Będą chcieli odseparować nas od Amerykanów.

– Wiem, tylko ja mam wrażenie, że nie okażą się tacy prostolinijni, jak sądzi twój szef... prezydent. Wymyślą coś specjalnego, żebyśmy na to szybko nie wpadli.

– Podejrzane miejsca akcji?

– To właśnie jest nielogiczne. Przecież powinni uderzyć w Warszawę, a na sto procent wiemy, że nic tu nie mają. W żadnych większych miastach również. Biegają po dziwnych miejscach, ostatnio widziano Marata Gawina w okolicach Skierniewic. Ale chyba nawet najbardziej tępy terrorysta wie, że tam nic nie ma. Żadnych władz, symboli, ważnych ludzi. To tylko miłe małe miasto.

Krentz założył nogę na nogę i głośno nabrał powietrza do płuc.

– Myślałeś o broni jądrowej? – spytał.

– Tak, ale tego nie przegapiliby nawet tamci gówniarze od premiera. Nie wierzę, żeby im się udało. To jest coś innego.

– Co sądzisz o Kołynie? – drażył pułkownik.

– Chyba gra po naszej stronie, ale nie chce z nami gadać. Nie wiem, co z nim zrobić, na razie dałem spokój. A ty?

– Próbowałem, ale skończyło się na rozbitej głowie mojej agentki. Z początku myślałem, że to konkurencja dla Gawina w kolejce do forszy Arabów, ale chyba masz rację. On wie, co się szykuje, i próbuje sam załatwić sprawę. Tylko jaką z tego ma korzyść?

– Może jest szlachetny.

– Jasne, naraża życie i unika nas jak ognia w imię dobra Polski.

– A ta sprawa z Leszczyńską?

– To zawodowiec, nie wierzę, że zdradziłby swój kraj dla dupy. Mógł się w niej zakochać, ale nie do tego stopnia, żeby wystawiać się do odstrzału.

– A więc może sprząta stare brudy. A to już może czynić w imię nowej Rosji – skonstatował Malinowski.

Krentz zastanawiał się chwilę, aby dokładnie i precyzyjnie sformułować myśl.

– Czyli Rosjanie nie chcą mieć z nami i z Amerykanami kłopotów i wysyłają Kołynina i jego ludzi, by powstrzymać dawnych, bezrobotnych i przez to niebezpiecznych agentów. On nam nie ufa, i nic dziwnego, moglibyśmy go aresztować jako szpiega. Przecież szalał tu za komuny przez wiele lat. To logiczne. Nie wiem tylko jeszcze dokładnie, po co mu teraz córka Leszczyńskiej, chyba że to także jego córka i nie chce, aby wykorzystano ją przeciwko niemu.

– To raczej pewne. Dlatego zabił w jej mieszkaniu człowieka Gawina. Gordiejew na sto procent był tam nieproszonym gościem.

Tym razem Malinowski myślał chwilę.

– Jeśli przekonamy Kołynina, żeby współpracował, zneutralizowanie Ruskich będzie łatwe.

– A al Kaida?

– Myślę, że al Kaida to tylko reklama. Niemal każdy pieprzony Arab podkładający bomby działa w imię al Kaidy – Malinowski wyjął z kieszeni zdjęcie i pokazał je Krentzowi.
– To jest facet, o którego najprawdopodobniej chodzi. Dostaliśmy to od Amerykanów.

– Wiem, my też. To Ibn Sina al Facil. Saudyjczyk, oficjalnie oczywiście powiązany z al Kaidą. Zakorzeniony przede wszystkim w Iraku. Na razie zaczyna karierę, ale jeśli w dalszym ciągu będzie taki rozkoszny, boję się pomyśleć, co wykombinuje później.

– Wszystko się zgadza. Chce zadbać o rozgłos i rękami Rosjan strzelić przedstawionko nad Wisłą.

– Myślisz, że dogadał się z ludźmi ben Ladena?

– Raczej tak. Musiał mieć pozwolenie.

– Dlaczego nie Anglia? Albo Włochy?

– Może też. Ale u nas najłatwiej. A nie jesteśmy już kraikiem, który nikogo na Bliskim Wschodzie nic nie obchodzi. Na debiut świetny teren.

Krentz siedział przez chwilę w ciszy, po czym powoli wstał.

– Znajdę Kołynina – rzekł, podając mu rękę.

– Dobrze, ale jak przy okazji znajdziesz Gawina, zostaw go. Nie możemy nic mu zrobić, dopóki nie dowiemy się wszystkiego. Jeśli ktoś go usunie, zastąpi go inny gość i wtedy będziemy szukać igły w stogu siana.

– Wiem. Pozdrów ode mnie Skrobka.

– Bardzo śmieszne. Bądź w stałym kontakcie.

– Jasne, ale na razie idę się wyspać.

Kola Kołynin podszedł do szafki z trunkami i zrobił sobie jeszcze jednego drinka. Nie był znużony, ale rozsądek podpowiadał, że powinien wypocząć.

– Chyba pora spać – rzucił w stronę Agnieszki.

– Nie jestem śpiąca.

– Chcesz pooglądać telewizję?

– Nie, chcę usłyszeć, co było dalej. Mogę?

Kola zbliżył się do stołu. Chwilę przyglądał się uważnie dziewczynie, rozważając w myślach wszystkie za i przeciw.

– Po co opowiadałaś mi te bujdy o rodzicach cyrkowcach? – spytała, nie mogąc doczekać się na odpowiedź. – W co ja mam wierzyć?

– W co chcesz – odparł obojętnie.

– Kola, proszę... Olewałam to przez tyle lat. Teraz chcę wiedzieć. Chcę ją poznać, chcę wiedzieć, co tu robisz, chcę wiedzieć, kim jesteś.

Kołynin usiadł na krześle.

– Tamte informacje uznałem za wystarczające.

– To były bujdy!

– To niebezpieczne wiedzieć zbyt wiele. Nie chciałem, abyś brała w tym większy udział, niż musisz. Teraz wiem, że chyba się myliłem. Dlatego z tobą o tym rozmawiam. Tak jak kiedyś twojej matce, tak teraz tobie muszę powiedzieć o kilku sprawach. O kilku innych z kolei nie mogę powiedzieć ci nic. Myślę, że to rozumiesz. Musisz mi jednak obiecać, że nigdy z nikim o tym nie będziesz rozmawiać, chyba że coś by mi się stało. To ważne.

– Jakie to teraz może mieć znaczenie!? – Agnieszka rozłożyła ręce. – Minęło tyle lat, skończył się komunizm u nas i u was. Tamtych państw i rządów już nie ma. Są tylko nasze wspomnienia. O co ci, do cholery, chodzi!?

– Wtedy pracowałem i teraz też pracuję dla rządu Rosji – rzekł Kola. – Obowiązują mnie pewne zasady. I tak łamię kilka z nich!

– Kola...

– Dobrze! – przerwał jej szybko i uniósł ręce, jakby się poddawał. – Dowiesz się sporo o matce i tamtych czasach, ale jeśli powiem ci, że jakiś szczegół lub fakt musimy pominąć, nie kłóć się ze mną!

– Rany boskie, dobrze! Niech ci będzie! – jęknęła dziewczyna. – Co się później działo?

Kola postawił szklanekę na stole.

– W czasie tamtego przyjęcia, które trwało chyba do piątej nad ranem, poznałem się niemal ze wszystkimi. Rozmawialiśmy o polityce, przyszłości, a po kilku wódkach... o sensie życia, nawet o Francji. Sporo o tym opowiadałem, bo o Francji wiedziałem chyba więcej niż przeciętny paryżanin. Kiedy Jędrzej zniknął w tłumie, podeszła do mnie piękna Agi. Ją najbardziej interesował „mój” kraj i sposób, w jaki żyje się na Zachodzie. Oczarowała mnie swoim wdziękiem, ale miała, jak się później okazało, jedną istotną wadę... była najlepszą przyjaciółką przemądrzałej Mariki, od której trzymałem się jak najdalej. Obie studiowały na romanistyce. Kiedy wychodziliśmy z przyjęcia, Agi oczywiście zawołała ją i zamiast czerpać przyjemności z pracy nocą, musiałem męczyć się z przyjaciółką dziewczyny, która naprawdę mi się podobała.

– Trzeba wezwać jakąś taksówkę – zawyrokowała Agi, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Nie wzywać taksówki, tylko zaprosić mnie do domu – jęknąłem cichutko do siebie, aby nikt broń Boże nie usłyszał.

– Mam samochód – powiadomiłem obie panie ze smutkiem.

– Ooo – prychnęła niezłe już podpita Maryśka. – Burzuj! Pojedziemy cadillakiem!

– To zwykle renault.

Agi uśmiechnęła się chyba najbardziej słodko jak potrafiła i chwyciła mnie za rękę.

– Prowadź! – szepnęła do ucha.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, oczywiście Maryśka usiadła obok mnie, a

Agi z tyłu. Ja uśmiechałem się szeroko jak trzeba, mając po raz kolejny przemożną ochotę ukreć jej tę rozrehotaną łepetynę. Na szczęście mieszkała bliżej od Agi, na placu Dzierżyńskiego. Po kilku minutach jazdy zatrzymałem się przy knajpie Saskiej.

– Nie wiem, gdzie dokładnie mieszkasz – powiedziałem jak najuprzejmiej.

– Blisko, na Przechodniej, tu wysiądę, odprowadzisz mnie kawałek? – Odkąd wsiedliśmy do samochodu, nie przestawała się śmiać.

– Oczywiście – wyskoczyłem szybko z wozu i podszedłem, aby podać jej rękę. – Wybaczysz mi? – nachyliłem się nad oknem Agi.

– Jasne, przesiądę się na przednie siedzenie.

Nareszcie! – pomyślałem rozradowany. Złapałem Maryskę za ramię i pociągnąłem za sobą.

– Nie tam – zarechotała. – Tam jest Elektoralna, ja mieszkam tam – wskazała mi piętnastopiętrowy wieżowiec.

– Oczywiście – uśmiechnąłem się zmieszany.

Wypiła za dużo, nawet jak na mój rosyjski gust. Szła chwiejnie, ciągle coś bełkotała, ale, mówiąc szczerze, nie zwracałem na to uwagi.

– No dobra! – oświadczyła, zatrzymując się nagle. – Dalej trafię sama. – Stała tuż przede mną i głęboko zajrzała mi w oczy. – A teraz poproszę o francuski pocałunek. – Na chwilę spoważniała, co zaskoczyło mnie bardziej niż jej słowa.

– Nie rozumiem... – wybełkotałem.

– No, chyba jesteś z Francji? Znacie się na tych sprawach?

Kiwnąłem głową, jakbym był jakimś Japończykiem, i cmoknąłem ją pośpiesznie w policzek.

– Tchórz! – wybuchła znowu pijackim śmiechem, po czym odwróciła się na pięcie i szybko poszła w stronę domu.

Wracałem do samochodu trochę rozdrażniony, ale widok Agi od razu poprawił mi humor.

– Wesoła ta twoja przyjaciółka – przyznałem, wsiadając do środka.

– Jej ojciec właśnie umiera na raka, a w mieszkaniu, do którego ją odprowadziłeś, mieszka z matką i jedenastomiesięczną córką.

– Ona jest zamężna!? – spytałem kompletnie zaskoczony.

– Nie. Jej chłopak wyjechał półtora roku temu za granicę i nie wrócił – odparła bez emocji.

Dopiero po kilkunastu sekundach włożyłem kluczyk do stacyjki.

– Zaskoczony? – spytała Agi

– Trochę – przyznałem. – Chociaż nie jestem zwolennikiem leczenia się

alkoholem. On wiedział o dziecku?

– Nie.

– Jedźmy – zmieniłem szybko temat. – Późno już.

Większość drogi na Żoliborz do jej mieszkania spędziłem, nic nie mówiąc. Agi zaprosiła mnie do siebie i jak się pewnie domyślasz, spędziłem tam trochę czasu. Kiedy leżąc w jej łóżku, całowałem ją, dotykałem nagiego ciała i kochałem się z nią, nie mogłem pozbyć się myśli o Marice. To niezwykle, ale nie mogłem na to nic poradzić. Ciągle miałem przed oczami jej twarz, uśmiech, przenikliwy wzrok, którego najzwyczajniej w świecie się bałem. Rano postanowiłem, że będę unikał tej dziewczyny, na ile tylko pozwoli mi praca. Uwierzysz, że przez pewien czas nawet mi się to udawało?

Abu Muafi siedział w fotelu i czekał. Niemal nie zareagował, kiedy spikerka ogłosiła odprawę jego samolotu. Zerknął na siedzących kilka metrów od niego dwóch mężczyzn w czarnych garniturach i wskazał wzrokiem łazienkę, pytając w ten sposób o pozwolenie. Obaj kiwnęli dyskretnie głowami, więc imam swoim zwyczajem wolno się podniósł i ruszył w kierunku toalety. Był tam może trzy, cztery minuty po czym wyszedł, wziął bagaż i udał się w stronę bramki, gdzie trwała odprawa paszportowa pasażerów samolotu, którym miał odlecieć z Polski na zawsze.

Ultra, obserwująca Muafiego od czterdziestu minut, była zaskoczona, że zjawilo się tak mało dziennikarzy. Nikogo zresztą nie dopuszczono do imama, więc żurnaliści i inni ciekawscy mogli obserwować jego pożegnanie z Polską wyłącznie na odległość. Agentce jednak nie chodziło o Abu Muafiego. Czekala na kogoś innego i liczyła, że ta osoba zaryzykuje i zjawi się teraz na lotnisku. Więc kiedy Marat Gawin wszedł szybkim krokiem do poczekalni i po chwili zniknął za drzwiami ubikacji, zatarła tylko ręce i starając się nie zwracać na siebie uwagi, po kilkunastu sekundach również wślizgnęła się do głównej toalety. Kiedy zamierzała nacisnąć ostrożnie klamkę drzwi z „trójkącikiem”, uprzedził ją jakiś elegancki mężczyzna, wychodząc z pomieszczenia zamaszystym krokiem. Nawet na nią nie spojrział, co zdarza się, jak wiadomo, ludziom na lotniskach, śpieszącym się na samolot lub na powitanie przylatującej rodziny. Ultra rozejrzała się jeszcze raz, wyjęła broń i szybko weszła do środka. Gawin wychodził właśnie z jednej z kabin, trzymając w dłoni niewielką kartkę. Poza nim, jak oceniła, chwilowo nie było nikogo w środku. Zablokowała sobą drzwi i błyskawicznie wycelowała pistolet w Rosjanina.

– Ja to mam szczęście do was w tych kiblach – rzuciła z przekąsem.

Gawin na kilka sekund zamarł, a potem, zanim Ultra zdążyła cokolwiek zrobić, wsunął kartkę do ust i jak najszybciej połknął.

– Co teraz? – spytał spokojnie.

– Chyba oboje się nie dowiemy, co nasz wspólny arabski przyjaciel miał ci do przekazania – zauważyła agentka.

– Nie możesz mnie aresztować – uniósł wolno ręce do góry.

– A to niby dlaczego?

– Mam Adama Kniewicza i niejaką Hannę Betlejewską. Waszą obywatelkę – dodał uroczyście.

– Nie znam ich – odparła obojętnie.

– Czyżby? Myślisz, że urwałem się z przedszkola i nie słyszałem o akcji Zygzak?

Ultra poprawiła pistolet w dłoni.

– Myśl szybciej, panienko – ciągnął Gawin – bo zaraz ktoś tu wejdzie i zrobi się afera.

– Broń! – rozkazała krótko.

Rosjanin wyjął spod marynarki pistolet i położył na ziemi.

– Jeśli nie zadzwonię za pięć minut, tamci zginą – ostrzegł.

– Pogadamy na zewnątrz – agentka wskazała pistolet. – Kopnij go tutaj!

Gawin wykonał rozkaz. Ultra podniosła broń z podłogi i schowała pod bluzę. Swoją ukryła w kieszeni spodni.

– Wychodzimy. Jak zaczniesz świrować, zastrzelę i nawet powieka mi nie drgnie – otworzyła drzwi.

Rosjanin spokojnie opuścił toaletę i razem z agentką przeszli przez hol portu lotniczego, a następnie wyszli na zewnątrz, w stronę parkingu.

– Trzy minuty – przypomniał Gawin, zatrzymując się po przejściu kilkuset metrów. – Za trzy minuty muszę zadzwonić.

Ultra rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było ludzi, którzy mogliby usłyszeć, o czym mówią.

– Nie mogę cię puścić – powiedziała stanowczo.

– To oni zginą. Wiesz, że nie żartujemy.

– Nie mogę...

– Możesz – przerwał stanowczo Rosjanin. – Zrobimy tak: zadzwonię, później ty pogadasz z Kniewiczem. Moi ludzie dadzą mu komórkę i będziesz miała z nim stały kontakt. Nie oszukam cię. Ja chcę tylko odejść i wyjechać.

– Po co tu jesteś? Czego chcesz?

– To już teraz nieważne. Nie wyszło. Chcę tylko wrócić do domu.

– I dlatego tak ryzykowałeś, przychodząc na lotnisko? Odcieśliśmy Muafiego od wszystkich tak skutecznie, że nagle zabrakło informacji, co robić dalej? Mylę się?

– Zdążyłem przeczytać kartkę: Koniec zabawy. Mieliśmy zbadać na ich zamówienie pewne dziwne zjawisko w lesie pod Skierniewicami, była duża forsa, ale nie wyszło.

– Do czego to było potrzebne Arabom?

– Zależało im na wiadomościach. Wiesz, że interesują się wami. O reszcie nie mam pojęcia. Ja tylko miałem przekazać informacje o Polsce. Sami się dowiedźcie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dobra, dzwoni! Ale jeśli zrobisz mnie w bambuko, nigdy nie wyjedziesz z tego kraju żywy.

– Nie mam powodu ich trzymać. To było tylko zabezpieczenie na teraz – Marat wyjął telefon i wystukał numer.

Ultra przyglądała mu się uważnie, wciąż trzymając palec na spuście.

– Michaił? – usłyszała. – Zejdź na dół, wypuść ich i daj dziennikarzowi twoją komórkę. Tak... Jestem pewien... To rozkaz. Proszę – zwrócił się teraz do agentki. – Zaraz podejdzie.

Ultra odczekała kilkadziesiąt sekund.

– Tak? – Kniewicz był zdezorientowany.

– Cześć, Adam, to ja – przywitała się szybko.

– Ultra!? Rany boskie, skąd ty się wzięłaś?

– Chyba nigdy nie przestaniesz sprawiać mi kłopotów – mruknęła jakby do siebie, ale Kniewicz to usłyszał.

– Wiem, lecz na tym polega moja miłość do ciebie – odparł. – Co mam robić?

– Weź ze sobą tę kobietę i wyjdź na zewnątrz. Pozwolą ci. I mów, co widzisz – odczekała kolejne kilkadziesiąt sekund.

– Las, w pobliżu jest jakaś droga.

– W porządku wejdź na tę drogę i idź cały czas do przodu, za parę minut nasi ludzie cię stamtąd zabiorą, muszę tylko podać im dane.

– Mogę dostać swoją broń? – spytał Gawin.

– Nie. Gdzie to jest?

– Daj odejść moim ludziom.

– Niech spierdalają. Gdzie to jest?

– Pewnie wiesz, że to okolice Skierniewic?

– Tak. A dokładniej?

– Puszcza, dwa kilometry od szosy Skierniewice – Maków. Badaliśmy tam pewne zjawisko, ale, jak wspomniałem, nie wyszło.

– Co to za zjawisko?

– Coś w rodzaju trójkąta bermudzkiego, tyle że w lesie – uśmiechnął się. – Ot i cała tajemnica.

– Co to za bajki... – jęknęła agentka. – Odszedłeś na dużą odległość? – rzuciła do słuchawki.

– Na jakieś dwieście metrów – odparł Adam.

– Idźcie szybko.

Ultra spojrzała na Gawina

– Numer i kod tej komórki?

Rosjanin powoli wyjął kartkę i długopis, pytając wzrokiem, czy wszystko jest w porządku, a następnie zapisał dane i podał kartkę dziewczynie.

– Umowa stoi? – spytał.

– Wyjedziesz?

– Tak.

– Jeśli tego nie zrobisz, zabijemy cię. Wiesz o tym.

– Niech twoi ludzie nie robią numerów, jak wsiądę do swojego samochodu!

– Jeśli twoi nas nie oszukają, przez kilka godzin damy ci spokój.

Gawin spokojnie odwrócił się i odszedł w stronę ulicy, gdzie zostawił wóz. Ultra obserwowała go jeszcze chwilę, po czym wyjęła swój telefon i wybrała numer.

– W porządku? – usłyszała w słuchawce głos pułkownika Krentza.

– Tak, puścił Kniewicza i tę kobietę. Chyba myśli, że kupiłam tę jego wersję.

– To dobrze. Niech chłopcy nie spuszczać go z oczu, ale nie ma mowy o aresztowaniu.

– Wiem, będzie chciał nas zgubić.

– Zrobimy tak, żeby myślał, że mu się udało. Weź helikopter i lećcie po naszego drogiego dziennikarza.

Ultra wyczuła w głosie szefa ironię.

– Tak jest – odparła szybko i rozłączyła się.

– To była prosta robota – powiedział Kola, kolejny raz dolewając sobie do szklanki whisky z tonikiem.

– Pijesz z rana? – spytała zgorszona Agnieszka.

– W niczym nie przypominało to pracy na Bliskim Wschodzie czy w Ameryce Południowej – zignorował uwagę Kołynin.

– Byłeś w tych miejscach? – spytała dziewczyna.

– Później. Dużo później. Ale o tym porozmawiamy za kilka lat, może... W każdym razie tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy rok był, jak pewnie wiesz, w dotychczasowej historii polskiego socjalizmu okresem najbardziej wolnym i bałaganiarskim. Wszędzie wybuchały drobne i mniej drobne strajki. To wywożono kogoś na taczkach, to znowu stawały różne zakłady, by mógł nacieszyć się krótką sławą jakiś spawacz, elektryk czy monter, któremu dane było stanąć na czele protestu. Teoretycznie, jak na tamte czasy, wolno było robić wszystko, oczywiście oprócz jednego: ani słowa na temat zmiany systemu. Przez pewien czas udawało się nawet zachować taki rodzaj kultury sporu, w którym obie strony starały się przestrzegać jakichś reguł, ale, jak wiesz, nie na długo. A ja miałem prostą pracę. Aby zdobyć jakiegokolwiek informacje, nie musiałem wkładać w to zbyt wielkiego wysiłku, bo nikt tych rzeczy przede mną nie ukrywał. Zżyłem się z tymi ludźmi, wpuszczali mnie na swoje zebrania, pozwalali nawet zabierać głos. Piłem z nimi wódkę, sypiałem z Agi i... meldowałem, nie musząc się nawet bawić w specjalne konspiratorstwo. Kontaktowałem się z moim łącznikiem o pseudonimie „Bułat” w jednym z trzech mieszkań, które mieliśmy do dyspozycji, i to była cała konspiracja. Z Marią widywałem się rzadko, najczęściej na

zebraniach lub przy okazji spotkań z Agi. Powoli poznawałem jej prawdziwe oblicze. Pozorna bez troska i śmiech, które pamiętałem z Wigilii, po pół roku naszej niezbyt zresztą ścisłej znajomości zniknęły niemal całkowicie z jej twarzy. Robiła wrażenie zamysłonej, poważnej, raczej smutnej, ale nigdy nieuzalającej się nad sobą... zbyt wcześnie dojrzałej kobiety. Niewiele by się pewnie później zdarzyło, gdyby nie moje dziwne spotkanie z Bułatem w lipcu. Łącznik zażądał, abym przestał sypiać z Agi i nawiązał bliższy kontakt z Marysią.

– O co chodzi? – spytałem wprost.

– Nie wiem – odparł obojętnie Bułat. – Taki rozkaz.

– Czego mam się od niej dowiedzieć?

– Na razie niczego. Po prostu zbliż się do niej, a najlepiej jakby się w tobie zakochała. Później nadejdą dalsze instrukcje.

– Tak po prostu? – spytałem bezradny.

– Tak – rzucił na pożegnanie Bułat. – Zostawiam jak zwykle pieniądze i informacje, które mogą ci się przydać. Spotkanie za tydzień w trójce. – I wyszedł.

Zerwanie z Agi okazało się dość przykre, trudne, ale raczej niebolesne. Była samotnikiem jak ja i traktowała mnie bardziej jako rozrywkę niż swojego faceta. Moją deklarację o chwilowym przystopowaniu przyjęła niemal obojętnie. Przynajmniej tak to wyglądało. Co myślała naprawdę, nie wiedziałem. Nie wiedziała tego nawet Maryśka. Musiałem zacząć się spotykać z przyjaciółką mojej dotychczasowej dziewczyny, co z wielu względów nie było proste. Aby stało się to wiarygodne, trzeba było trochę czasu i pomysłów. Pomogły mi, paradoksalnie, wakacje. Była przerwa w zajęciach, sporo osób wyjechało, ale Marika nie. Jej ojciec umarł trzy miesiące wcześniej, została sama z matką i z... tobą. Zaproponowałem jej, aby uczyła mnie polskiego. Oczywiście „robiłem postępy”, ale mówiłem łamanym polskim i teraz mi się to przydało. Agi i Marika skończyły trzeci rok romanistyki i świetnie znały francuski, lecz większość towarzystwa, w którym się obracałem, nie mówiła nawet po angielsku. Musiałem mieć „nauczyciela”. Zaoferowałem jej w zamian pomoc od czasu do czasu w opiece nad dzieckiem.

– Opiekowałem się nieraz dzieckiem mojej siostry, kiedy pracowała – mówiłem śmiało, zajadając w jej towarzystwie lody na Starym Mieście.

– Przecież ty jesteś dziennikarzem – przypomniała Marika, uśmiechając się do mnie ciepło.

Muszę przyznać, że uradował mnie jej dobry humor tego dnia. Kiedy próbowałem umówić się z nią kilkakrotnie w ciągu poprzednich dwóch tygodni, uprzejmie, ale konsekwentnie odmawiała. A tu nagle powiedziała po prostu „okej” i wylądowaliśmy na przemiłym spacerze po Starówce. Gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy...

– Jestem korespondentem, mam trochę wolnego czasu, szczególnie w wakacje. Mogę ci też płacić, to nie problem – oznajmiłem jej stanowczo.

- No dobrze – pokiwała głową. – Kiedy chcesz wpadać?
- Dostosuję się.
- Zaczniemy od jutra – zdecydowała.
- Oczywiście – odpowiedziałem, ale zrobiłem to automatycznie, niespecjalnie przykładając się w tym momencie do konwersacji. Od kilku bowiem sekund byłem w nią wpatrzony jak dzieciak, kompletnie zresztą zaskakując samego siebie taką nagłą reakcją. Jej spojrzenie miało w sobie coś smutnego, a jednocześnie ciepłego i dobrego. Pamiętam, że sam nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak późno to zauważyłem. Była niezwykle delikatna.

Nagle chciałem powiedzieć jej tyle rzeczy, zrobić coś, co spowoduje, że poczuje się lepiej. Sprawić, że jej smutek choć na kilka krótkich chwil zniknie. Powstrzymywało mnie właściwie tylko jedno: byłem w pracy. A najgorsze okazało się to, że w zrozumieniu, kim naprawdę była, musiał mi dopiero pomóc agent KGB, który rozkazał bezpośrednio ją inwigilować. Wtedy zacząłem się okropnie bać, bo przecież mogli zażądać ode mnie wszystkiego. Darzyłem sympatią... nie miałem odwagi nazywać tego jeszcze miłością... działaczkę wrogiego ruchu. A wykonując zadanie, miałem osłabiać tę organizację i dążyć ostatecznie do jej unicestwienia. Wtedy po raz pierwszy wpadła mi do głowy potworna dla mnie myśl, że być może nie nadaję się do tego zawodu. Nie jestem taki jak mój ojciec. Być może nie potrafię chłodno, bezdusznie i perfekcyjnie manipulować sytuacjami i ludźmi. Znam dziesiątki technik, ale co z tego, jeśli nie potrafię, stosując je, nie być stroną. Jeśli pojawiają się jakiegokolwiek wątpliwości, w niektórych sytuacjach stajesz się co prawda bardziej wiarygodny, ale mniej pewny z punktu widzenia sprawy. A to już jest niebezpieczne. Czy mogłem dobrze wykonywać swój zawód, na każdym kroku kwestionując siebie i swoje metody?

ROZDZIAŁ 7

Ultra pchnęła ciężkie żelazne drzwi i stanęła jak wryta. Oficer naukowy, zwany przez wszystkich w agencji Sokratesem, zamiast, jak to miał w zwyczaju, biegać między biurkami, szaleć nad menzurkami, próbkami czy nawet książkami, siedział bez ruchu, patrząc hipnotycznie w jakiś punkt na ścianie. Po raz pierwszy widziała go w takim stanie. Sterczące we wszystkie możliwe strony włosy, spojrzenie szalonego naukowca czy neurotyczne ruchy w najmniej oczekiwanych momentach stanowiły od lat jego wizytówkę. Zabawny filozof i ekscentryk, który wśród sprzątaczek wzbudzał niekłamany strach, a wśród szefów szacunek i nierzadko podziw dla nieprawdopodobnej wiedzy i inteligencji, teraz siedział zrezygnowany i wyraźnie zbity z tropu. Ultra wolno podeszła do niego.

– Co się stało? – spytała cicho.

– Skąd to masz? – Sokrates wskazał ruchem głowy zdjęcia przyniesione jej wczoraj wieczorem.

– Od Kniewicza.

– Co!? Dziennikarz dał ci tajne zdjęcia satelitarne z sondy szpiegowskiej!?

– Tak – potwierdziła Ultra. – Ktoś po prostu mu je podrzucił. Na szczęście Gawin nie zainteresował się jego samochodem.

– Wiesz, co na nich jest?

– A ty?

Sokrates wstał, poczochnął się po głowie i wytarł ręce o fartuch, czym trochę uspokoił Ultrę. Kiedy okrążył stół i nagle wbił wzrok w sufit, stwierdziła, że nie jest jeszcze z nim tak źle.

Wziął wreszcie do ręki zdjęcia i zbliżył się do dziewczyny.

– Nie widziałem nigdy czegoś takiego – zaczął nerwowo – ale wszystkie dane wskazują, że to krótki przeskok iskry elektrycznej między dwoma lub więcej obiektami o spolaryzowanych potencjałach.

– To coś szczególnie niepokojącego?

– „Na Wojtusia z popielnika iskiereczka mruga...” – zanucił Sokrates.

– Możesz mówić albo śpiewać jaśniej?

– To jakby... wyładowanie atmosferyczne wywołane na Ziemi, ale między obiektami znajdującymi się bardzo blisko siebie. Jeśli te dane są prawdziwe, to siła pioruna może okazać się przy tym taką właśnie iskiereczka Wojtusia.

Ultra zerknęła na zdjęcia, po czym ponownie przeniosła wzrok na naukowca.

– Kto potrafi robić takie rzeczy?

Sokrates rozłożył ręce.

– W laboratorium, w odpowiednich warunkach to rozumiem, ale tak pstryk, na zawołanie?

– My o tym w ogóle nic nie wiemy – Ultra zmarszczyła brwi.

– To trochę szkoda – podchwycił naukowiec. – Bo to siedemdziesiąt kilometrów stąd. U nas, w Polsce.

– To niemożliwe! – broniła się agentka. – Nie da się tak po prostu prowadzić jakichś eksperymentów, nie będąc zauważonym, w środku Europy! To musi ktoś obsługiwać!

Sokrates sięgnął po raport Ultry.

– O zaginięciach też powiedział ci Kniewicz?

– Tak, cały czas sprawdzamy. Wykryliśmy na razie czternaście niewyjaśnionych śmierci w tamtym rejonie.

– Tyle lat to lekceważono?

– A ty jak byś reagował na legendy o lesie zjadającym ludzi za grzechy!? Nawet na miejscu wsiovej policji!? Ktoś sprytnie tuszuje sprawę od wielu lat. Nawet postarał się, aby z telewizji zniknęły wszystkie materiały kiedykolwiek nakręcone w tych okolicach. Raporty policji skierniewickiej w dziwny sposób wyparowały. Nikt właściwie nic nie wie. Jedyni świadkowie to na razie tamtejsza wróżka i dziewięciolatek. Nie jesteśmy w stanie tego zbadać, bo nie możemy się tam nawet zbliżyć! – Przerwała i nabrała głęboko powietrza w płuca. – Jak bardzo musimy się tego bać? – spytała po chwili.

– Myślę, że te wyładowania to pestka.

Ultra uniosła brwi, jakby niczego nie rozumiała.

– Sądzę, że to tylko „cerber” – ciągnął Sokrates. – System uniemożliwiający dostęp do tego, co jest w środku, być może głęboko pod ziemią. Czy wiesz, jaką siłę musi mieć to coś, skoro chroni je zabezpieczenie zamieniające człowieka w parę?

– Boże... – Ultra sięgnęła szybko do kieszeni po tic taki i wpakowała sobie do ust pół opakowania. – Nie mogę uwierzyć... Tego nie można było ukryć! Ktoś musiał to zobaczyć!

– Zobaczył – naukowiec popukał w zdjęcia. – I nawet sprawę sfotografował.

– Kto i kiedy zrobił te zdjęcia? Amerykanie?

– Za mało czasu, aby mieć absolutną pewność. Wykonałem wstępne obliczenia kątów, pory dnia, nasycenia, wilgotności, parametrów meteorologicznych i tak dalej. To chyba „SFR-16” lub „21”. Rosjanie. Zdjęcie zrobiono jesienią, według moich obliczeń szesnastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Potrwa kilka dni,

zanim to potwierdzę.

– Co!? Tyle lat temu!?

– A skąd wiesz, ile lat temu to się zaczęło? Może wtedy, kiedy nie było jeszcze satelitów szpiegowskich? Może kiedy nie było tu jeszcze Polski? Może kiedy nie było tu jeszcze... człowieka?

– A Rosjanie?

– No właśnie. Wiedzieli i wiedzą. Jak pamiętamy, nigdy nie byli zbyt gadatliwi, jeśli chodzi o takie rzeczy. Tam przez wiele lat był teren wojskowy; założę się, że wtedy właśnie sprawę odkryli. Chyba że... sami to wybudowali. Nie wiem, co bardziej nieprawdopodobne... czy to dzieło kogoś, kto pojawił się w tym miejscu, zanim opanowaliśmy Ziemię, czy jakiegokolwiek inne rozwiązanie. Takich technik nigdzie nie ma. A każdy, kto tam się zbliży, wywoła reakcję, która rozłoży go na atomy.

Ultra próbowała szybko zebrać myśli.

– Może to po prostu rozpieprzyć? – mruknęła.

– A będziesz wiedziała, w co walisz? Nie niepokoi cię myśl, że w kilka minut po takim bombardowaniu Budapeszt może stać się portem bałtyckim? Albo jeszcze gorzej?

Wzięła do ręki zeznania Kniewicza i zaczęła je przeglądać, jakby coś jeszcze chciała w nich znaleźć.

– Podsumujmy – podjęła po chwili. – Arabowie wynajmują świetnie znających nasz kraj agentów KGB, aby, najprościej mówiąc, za forszę dokonali spektakularnego zamachu terrorystycznego. Ci proponują wykorzystanie tajnej, nieznannej nikomu broni, odkrytej przez nich w czasie, kiedy tu stacjonowali, lub wręcz stworzonej przez nich.

– Jeśli sami ją stworzyli i tu ukryli, to dlaczego sami też nie mogą się tam dostać? – spytał Sokrates

– Właśnie. Ale skoro w ogóle się do tego biorą, muszą mieć podstawy do przypuszczenia, że się uda.

Naukowiec uderzył dłonią w stół.

– Czegoś im brakuje! – wykrzyknął i zacisnął mocno usta, co czynił, gdy intensywnie myślał.

– I tego szukają. Dlatego sprawa się opóźnia – dopowiedziała Ultra.

– Kto może wiedzieć, o co chodzi?

– Kołynin?

– Wtedy byłoby jasne, że gra po naszej stronie.

– Ta mała, którą zabrał z sobą?

– Trochę nieprawdopodobne, ale to potwierdza, że chodzi o niego.

– Arabowie?

– Skoro są tak cierpliwi, gra musi być warta świeczki.

– Zastanawiam się tylko nad jednym – Ultra podniosła do góry rękę. – Wszystko jest na

tym zadupiu. My wiemy, gdzie to jest, oni wiedzą, że my wiemy, my udajemy, że wierzymy, że wyjadą...

– ...więc? – przerwał jej naukowiec.

– Więc jeśli nawet dostaną się do środka... jak to przetransportują? Przecież nie wysadzą Skierniewic!

– Nie przetransportują.

– O Boże... Budapeszt nad Bałtykiem... Nie odważą się... nawet Rosjanie nie są aż tak szaleni!

– Ale Arabowie tak. A skoro to tak zaawansowana broń, pewnie można ją odpalić na odległość. I wtedy wasze pilnowanie lasu nic nie da.

– Kołynin.

– Właśnie. I to jak najszybciej. Tylko on nam może pomóc. I ta dziewczyna.

– I ta dziewczyna – powtórzyła jak echo Ultra.

Marta Karska długo nie wypuszczała z objęć Adama.

– Mógłbyś choć raz mnie posłuchać? – spytała, wciąż w niego wtulona.

– Przepraszam, byłem nieostrożny. Dobrze, że zadzwoniłaś do Ultry.

Marta uwolniła wreszcie Kniewicza i opadła na fotel.

– Powiedziała ci?

– Tak.

– A co miałam robić, kiedy nie wróciłeś na noc i stanęła mi przed oczami historia sprzed dwóch lat?

Adam jeszcze raz uśmiechnął się do niej przepraszająco.

– Tak przy okazji... wiesz, że Christo nie pojawił się nigdzie od tamtej pory? – spytał nagle.

– To chyba dobrze.

– Przecież go lubiłaś! – rzucił Kniewicz, obserwując z rozbawieniem, jak Marta czerwienieje ze złości.

– Nie wiedziałam, że jest zawodowym mordercą! – wycedziła.

– Dobrze, już dobrze – Adam machnął niedbale ręką. – Krentz i Ultra sprytnie to rozegrali z Rosjanami.

– Myślałam, że zginąłeś tam w lesie... – Marta wstała i znowu przytuliła się do Kniewicza.

– No trochę się pogubiłem – zażartował Kniewicz. – Ale na szczęście agencja postawiła na Gawina. I trafiła w cel.

– Opowiedziałeś jej wszystko? – Karska wróciła na swój fotel.

– Ultrze?

– Tak.

– Mhm. A ty, taka stęskniona, i cały dzień cię nie było – udawał złość Adam. – Wracam do domu, a tu pusta chałupa!

– Wiesz dobrze, że musiałam wyjechać do Białegostoku na nagranie. Zresztą nie wytrzymałabym, siedząc w domu i ślęcząc przy telefonie. Czekałam na jakiegokolwiek wiadomości. Pokaż mi zdjęcia.

– Dałem rano Ultrze.

– To dobrze. I co?

– Nie wiem. Analizują. Jest późno, kładziemy się?

– Za chwilę. Mógłbyś już od tej pory zostawić jej tę sprawę?

– Jasne, kochanie – skłamał gładko Adam. – Zrobić ci herbaty?

* * *

– Robiłem stałe „postępy” – powiedział Kola, spacerując po salonie z nieodłączną szklanką whisky z tonikiem. Sączył drinka wolno, często nie mocząc ust przez kilkadziesiąt minut. Agnieszka nie zauważyła u niego jakichkolwiek objawów zaćmienia alkoholowego, mimo że odkąd się tu znaleźli, nie rozstawał się z trunkiem. – Zaproponowałem jej wreszcie wycieczkę nad morze.

– Dzieciakowi dobrze to zrobi – argumentowałem.

– Chcesz mnie uwieść, Francuziku, nad morzem? – spytała w dawnym stylu.

– Celem będzie oczywiście rozjaśnienie umysłu przed dalszą nauką – roześmiałem się. – Pewnie spróbuję.

– Zachęcające, ale nie mogę się zgodzić – odparła poważnie.

– Dlaczego?

– Nie mam pieniędzy.

– Chyba rozumiesz, że cię zapraszam...

– Rozumiem, lecz trochę za mało się znamy. Nie mogę od ciebie brać pieniędzy.

– A mógłbym wreszcie zapłacić za lekcje! – zezłościłem się programowo.

Marika długo nie odpowiadała. Wyszła w ciszy z pokoju, aby popatrzeć na śpiącą córkę. Po kilku minutach wróciła do mnie i zgodziła się. Pojechaliśmy do Sopotu i zamieszkaliśmy ku jej zgorszeniu w Grand Hotelu. Największy i niegdyś najbardziej elegancki hotel nad polskim morzem, położony niemal nad samym wybrzeżem, spoglądający eleganckimi apartamentami na sopockie moło, od lat koił dusze uwięzionych w komunizmie snobów. Ułuda luksusu pozwalała tęskniącym za prawdziwą Europą Polakom być choć trochę dumnym z kurortu, gdzie czasem przyjeżdżali nawet jacyś Niemcy, i to nie tylko z NRD. Specjalną okazją do napinania się działaczy o krótkich szyjach i grubych palcach był raz w roku festiwal, na którym nieudacznym piosenkarzy, ale za to z cywilizowanych krajów,

zmuszano do śpiewania polskich piosenek. Ich również kwaterowano w tej perle Pomorza, aby zobaczyli i opowiadali potem u siebie, że u nas też potrafi być fajnie. Dla porządku trzeba dodać, że ekipę piosenkarzy festiwalowych dopełniała grupa ambitnych śpiewaków z demoludów, także z Rosji. Od czasu do czasu udawało się kupić gwiazdę, co nierzadko wywoływało więcej chaosu niż splendoru, jak w wypadku Demisa Russosa, który nie dość, że przyleciał własnym helikopterem, czym kompletnie zgorszył wszystkich działaczy, to jeszcze zażądał naturalnego soku pomarańczowego, co, jak wszyscy pamiętamy, niestety przerosło możliwości organizatorów. Wszystkie te zgniółkapitalistyczne ciągotki Polaków w dogadzaniu gwiazdorowi wywoływały zaniepokojenie w ambasadzie radzieckiej, ale ponieważ rok przed Demisem mogła się wyżyć w Sopocie Ała Pugaczowa, i do tego wlepiono jej jeszcze Grand Prix, na tolerowanie zachcianek Greka przymknięto oko. Grand Hotel stanowił oczywiście centrum tych wszystkich wydarzeń, kularów, gdzie plotkowano, i miejsce, gdzie pito wódkę, bruderszafty, a nierzadko „ustawiano” się na resztę życia. Kiedy się tam pojawiliśmy, nie było festiwalu ani żadnych innych, ważnych spędów politycznych czy kulturotwórczych, więc mieliśmy trochę spokoju. Dwa tygodnie, które tam spędziliśmy, mnie dały nieco luzu i wytchnienia, jej, jak mi się zdawało – wreszcie namiastkę czegoś na kształt szczęścia. Spacerowanie, wygrzewanie się na plaży, wieczorem trochę telewizji, słowem, stały repertuar tego typu wypadów. A jednak i jej, i mnie wszystko to było potrzebne dużo bardziej, niż nam się z początku wydawało. Marika, z wyjątkiem zalewanej Wigilii, zwykle traktowała mnie z chłodną rezerwą, w dniach lepszego humoru... z cynizmem, a złego... z depresyjnym smutkiem, który chwilami mnie przerażał. Po śmierci ojca stawała się coraz bardziej nieobecna, zamknięta w sobie, niedostępna. Tak było do czasu, kiedy udało mi się ją wyciągnąć na Starówkę na lody. Wówczas nadludzkim wysiłkiem wydusiłem z niej smutny uśmiech i kilka zdań. Kiedy już napiłem ją herbatą i wepchnąłem niemal na siłę lody, zaczęliśmy wreszcie rozmawiać. Być może to wtedy po raz pierwszy zaufała mi. Gadaliśmy i gadaliśmy, aż wreszcie, jak ci wspominałem, zgodziła się spotykać na lekcjach polskiego. A nad morzem dostrzegła chyba jeszcze jedną szansę. Zaufała sobie i mnie, pozwoliła sprzątać różnego rodzaju przyjemności i zaczęła... żyć. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżyliśmy się do siebie.

– Dobrze, że mnie tu zabrałeś, Paul – powiedziała któregoś wieczoru, kiedy oglądaliśmy telewizję. Takie miałem wtedy imię.

– Mów do mnie po polsku – poprosiłem.

– Oczywiście, od dzisiaj żadnego słowa po francusku – uniosła dwa palce jak skaut do przysięgi.

– Może poproszę jutro dziewczynę, która tu sprząta, aby przez chwilę popilnowała Agnieszki? – spytałem nieśmiało. – Wieczorem moglibyśmy gdzieś pojechać, kiedy już będzie spała...

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie.

Trzeba przyznać, że cieszyłem się jak dziecko. Złapałem się nawet na tym, że całe zadanie, które mi powierzono, choć ściśle zgodne z tym, co robiłem, zeszło jakby na dalszy plan. Niestety, wieczorem jak na złość padał deszcz. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, ku mojemu zdziwieniu, odkręciła maksymalnie szybę, zdjęła buty, podwinęła lekko sukienkę i wystawiła nogi przed okno. Oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy, pozwalając spływać kroplom po czole i policzkach, przy okazji zamieniając wnętrze mojego renault w bajoro.

– Marika, przeziębisz się – szepnąłem cicho, aby jej nie rozzłościć.

– Oddychaj – odpowiedziała spokojnie.

– Słucham?

– Po prostu oddychaj, Paul – powtórzyła tym swoim przyciszonym altem.

Przez moment siedziałem jak kretyn, przyglądając jej się bezradnie, a następnie nachyliłem się i pocałowałem w usta. Nie protestowała. Nie otwierając oczu, objęła mnie za szyję i mocno przycisnęła do siebie. Oderwałem się po pewnym czasie na chwilę, aby przyjrzeć się jej twarzy.

– Nie oddychasz – szepnęła, cały czas nie otwierając oczu.

– Mylisz się, Marika – zaprotestowałem. – Teraz dopiero oddycham.

Kola wstał z fotela i podszedł do okna. Patrzył długo na las za szybą, niczego nie mówiąc.

– Jaka ja wtedy byłam? – spytała Agnieszka, chcąc wyrwać Kołynina z odrętwienia.

Rosjanin odwrócił twarz od okna i uśmiechnął się szeroko.

– Już nieźle chodziłaś. Byłaś śliczna. Bardzo rzadko płakałaś, często się śmiałaś. Byłaś wesoła, niczego nieświadoma, wolna od wszelkich trosk, z wyjątkiem mokrych pieluch. Na szczęście w hotelu załatwiano za nas pranie, więc twoja matka nie musiała ślezczyć nad umywalką. Nie było wtedy pampersów. Tej nocy spałaś mocno, kiedy kilka metrów od twojego łóżeczka leżałem obok twojej mamy, słuchałem jej spokojnego oddechu, mówiłem do niej cicho, słuchałem, jak ona mówi do mnie, aż... nastał poranek. Kiedy wracaliśmy do Warszawy, mimo że prowadziłem samochód, przez większość drogi była we mnie wtulona. Po raz pierwszy od tyłu miesiący poczułem, że jest szczęśliwa. Odwiozłem ją do domu i wróciłem do swojego mieszkania. Usiadłem w fotelu i jak zahipnotyzowany wpatrywałem się chyba z godzinę w wyłączony telewizor. Znow dopadły mnie te straszliwe myśli o sensie tego, co robię, o zawodzie szpiega, o którym, wbrew moim naiwnym i zarozumiałym myślom, nie wiedziałem nic. Potrafiłem bez problemu zachować dystans, kiedy sypiałem z Agi, teraz jednak pogubiłem się zupełnie. Miałem trochę czasu do rozpoczęcia roku akademickiego, chciałem to wszystko jakoś uporządkować. Nie wiedziałem tylko, jak się do tego wziąć. „Przecież o to chodziło! – tłumaczyłem sobie. – Tak mi kazali! Będzie dobrze, nic się nie stało...”. Nagle usłyszałem dzwonek. Zerknąłem w kierunku szuflady biurka, gdzie miałem broń, ale po chwili zastanowienia zrezygnowałem. Podszedłem spokojnie do drzwi, aby je otworzyć. Za progiem stała Marika. Zaledwie półtorej godziny temu zostawiłem ją w domu.

– Kocham cię, Paul – wyznała cicho i jakby smutno. – Nie mogę bez ciebie żyć, jeść, działać. Chyba nie mogę nic poradzić. I co ty na to?

Chwyciłem delikatnie ją za rękę i przyciągnąłem do siebie.

– Obiecasz, że nigdy mnie nie znienawidzisz? – spytałem, licząc na to, że moje pytanie nie zabrzmiało zbyt pretensjonalnie.

– Nigdy cię nie znienawidzę – odparła nieco zdziwiona.

– Gdyby nawet zdarzyły się straszne rzeczy, o których jeszcze nie wiemy?

– Tak, Paul. Dlaczego tak mówisz?

– Bo nawet nie potrafisz sobie wyobrazić... jak bardzo się boję – odparłem niemal szeptem.

– Czego?

– Że prędeż czy później cię stracę.

Mówiłem prawdę. I to również mnie przerażało.

Drzwi się otworzyły i go gabinetu wszedł pułkownik Krentz. Podeszedł do biurka Ultry, podsunął sobie krzesło i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czajnika z wodą na herbatę.

– Skończyła się – rzuciła w jego stronę, kończąc jednocześnie rozmowę telefoniczną. Odłożyła słuchawkę i ciężko odetchnęła.

– Co jest? – spytał Krentz.

– Nic nie rozumiem – Ultra zaczęła wystukiwać na białej klawiaturze rytm *With little help of my friend* Beatlesów. – Oni wracają.

– To pewnie!?

– Tak. Marat Gawin zabrał swoich kumpli, spakował walizki, wsiadł do samochodu i jedzie na wschód do białoruskiej granicy.

– Co znaleziono w tej leśniczówce, gdzie przetrzymywali Kniewicza?

– Nic. Nie było nawet odcisków palców. Wygląda na to, że rzeczywiście zabierają zabawki.

Krentz podrapał się w brodę, dając sobie czas na krótkie przemyślenie.

– Nie wierzę – zawyrokował w końcu. – Nie wiem, co kombinują, ale na pewno nie zrezygnowali. Nie spuszczać ich z oczu. Teraz szczególnie nie można ich zgubić. Daj tam jeszcze kilku ludzi.

– Tak jest. Tylko co zrobimy, jak rzeczywiście przekroczą granicę?

– Pozostało nam jeszcze kilka godzin. Poczekajmy. Przeczytałaś materiały?

– Tak. To, co mamy, i to, co zdobył Sokrates, oraz to, o co pan poprosił Amerykanów.

– Jak to wygląda?

– Poważnie.

– Jak bardzo poważnie?

Usiadła wygodniej na krześle.

– Kołynin, jak wiemy, był wtyka w uniwersyteckim NZS-ie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego wyjechał.

– Wiemy, wiemy, co dalej?

– Potem, właściwie nie wiadomo dokładnie kiedy, znów się pojawił. Co zaskakujące, w jednostce wojskowej w Skierniewicach. Co tam robił, też nie wiadomo. W materiałach, które udało się przejąć, jego nazwisko pojawia się kilkakrotnie w osiemdziesiątym trzecim, osiemdziesiątym piątym i dziewięćdziesiątym pierwszym. Nawet dla Rosjan było to ściśle tajne. Ale najciekawsze jest towarzystwo, w którym tam się zabawiał.

– Niech zgadnę: Marat Gawin, Andriej Szaliapin, Andriej Gordiejew i tak dalej?

– Nie udało się potwierdzić obecności Gordiejewa. Jest Szaliapin, Gawin, Kołynin, Burski, który zginął pół roku temu, i jeszcze kilku innych.

Krentz pokiwał znacząco głową.

– No to wydaje się wiarygodne przypuszczenie, że wszyscy ci panowie dobrze wiedzą, kto „zjada ludzi za grzechy” w lesie.

– To nie wszystko. Jest niemal pewne, że pracowali nad sprawą, powiedzmy, z ramienia KGB. Zabezpieczali, chronili. – Ultra nie była do końca usatysfakcjonowana. – Niezależnie od tego, co tam jest, musieli to badać jacyś naukowcy – ciągnęła. – Żołnierze nie daliby sobie z tym rady. A nie ma najmniejszego śladu w dokumentach, przekazach, raportach...

– Bo wszystko było ściśle tajne. Nigdzie tego nie znajdziemy.

– Co robimy?

– Czekamy. Jak wyjadą, obstawiamy wszystkie granice. Spróbujemy prześwietlić ten teren, czym tylko się da, i zobaczymy.

– To był jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu – powiedział Kola Kołynin. – Kompletny paradoks, który złączył szpiega KGB i działaczkę NZS-u, stał się błogosławieństwem dla nas obojga. W jej życie tchnął trochę sensu i cele, dzięki którym zatarły się złe wspomnienia. A moja praca, która była dość smutnym, ale, jak sądziłem, koniecznym obowiązkiem, jakoś się układała; wszystko, co bolało, topiłem w ramionach Mariki... zawsze ciepłych, czułych, bezpiecznych. Czasem przytulałem ją do siebie tylko po to, aby posłuchać jej oddechu... cichego, miarowego, spokojnego. Kiedy nie mieliśmy zajęć, wyjeżdżaliśmy do lasu albo do Radziejowic, gdzie jest fajny pałacyk i jezioro. Kochaliśmy się pięć razy dziennie, aż brakowało tchu, i mieliśmy nadzieję, że to się nigdy nie skończy. Ale oczywiście... skończyło się.

W listopadzie wezwał mnie Bułat do dwójki.

– Jak idzie? – spytał prosto z mostu.

– Chyba dobrze – odparłem.

– I my też tak myślimy. Ona rzeczywiście się w tobie zakochała – zarechotał

– ale z taką mordą mógłbyś przelecieć nawet Margaret Thatcher, i by ci się nie

oparła.

– Czego chcesz!? – rzuciłem rozdrażniony.

– Spokojnie, towarzyszu, dojdziemy do tego. Spieszycie się?

– Ja zawsze się śpieszę. O co chodzi!? – warknąłem.

– Świetnie się spisujecie, doskonale wpisaliście się w rolę, lecz... – Bułat wykrzywił usta oblesnie – musicie się bardziej postarać.

– Słucham!?

– Spokojnie – powtórzył łącznik i uniósł ku górze rękę. – Zrobicie to perfekcyjnie, jak do tej pory.

Odwróciłem się do okna, czekając na rozkazy. Nie miałem zamiaru wdawać się w dyskusję z tym skurwysynem. Bułat, widząc, że milczę, przystąpił do rzeczy.

– Maria Leszczyńska jest łączniczką, a raczej ma być, pewnej organizacji o roboczej nazwie „S-Kontakt”. Ścisłe kierownictwo „Solidarności” zorganizowało komórkę skupiającą grupę ludzi do bezpośrednich negocjacji z Zachodem, Stanami i Watykanem. Najpewniej chodzi o pieniądze, kontakty, taktykę, po prostu o pomoc. CIA, wywiady zachodnie, Watykan, nie mam pojęcia co jeszcze. Nikt nie wie, kto należy do tej grupy. Nie możemy ich znaleźć, nie wiemy, gdzie są, kiedy zaczną działać. Może już działają? Wiemy tylko, że to grupa ekspertów... inżynierowie, ekonomiści, socjologowie, faceci od gospodarki i tak dalej.

– Czy oni...

– Tak, towarzyszu. Przygotowują zmianę systemu, i to na wielu frontach, ale was interesuje ten. Reszta was nie obchodzi.

– Leszczyńska zna całą sprawę?

– Nie sądzę, to tylko łączniczka. Ale ty musisz się dowiedzieć, na ile informacje, które ona ma, mogą być dla nas ważne. Kiedy już zorientujesz się we wszystkim, możesz ją sobie darować.

– To po to miałem się do niej zbliżyć? Dlaczego wcześniej nic nie powiedzieliście?

– To już nie wasza sprawa. Wy macie zdobyć metodami operacyjnymi informacje i przekazać je nam – Bułat uniósł protekcjonalnie wzrok i czekał na zaakceptowanie rozkazu.

– Oczywiście – przytaknąłem i skinąłem głową, jakbym chciał powiedzieć: „Tak jest!”.

– Potwierdzę następne spotkanie – rzucił na odchodnym łącznik i wyszedł z mieszkania.

Przez kolejne kilka tygodni nic nie wskazywało na to, że Marika może mieć kontakty z

jakaś inną grupą niż komórka NZS-u na uniwersytecie. Żyjąc z nią, wciąż węszyłem, nie bardzo zresztą wyobrażając sobie, co później zrobię z tymi informacjami. Przekażę je centrali i zniszczę to, w co wierzy ukochana przeze mnie osoba? Zataję wszystko i zdradzę własny kraj, przy okazji zaciskając sobie pętlę na szyi? Ostrzegę studentów i wtedy kompletnie wpadnę w bagno, a oni i tak odrzucą mnie jako szpiega i Rosjanina? Sytuacja była bez wyjścia. Paradoksalnie jednak coś pchało mnie do szczególnie wzmożonej pracy. Źródło „S-Kontakt” musiałem znaleźć i wykonać zadanie. Przez prawie miesiąc, mimo że krążyłem w pobliżu Mariki cały czas, niczego nie byłem w stanie potwierdzić, aż zacząłem podejrzewać, że cynk jest fałszywy. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy całe niebo zważyło mi się na głowę i prysnął pozornie beztrudny okres ideałów. Walka o władzę, życie... bezwzględne prawa rządzące polityką wkroczyły w to, co z Mariką zdołaliśmy zbudować, bez ogródek, niczym czołg, niszcząc wszystko po drodze. Wtedy wydawało mi się, że nie zostało już nic. W nocy zadzwonił telefon. Odebrałem.

– Uciekaj, Paul! – usłyszałem męski głos i ktoś odłożył słuchawkę. Do dziś nie wiem, kto to był. Może Gutowicz? Może Stranger? Miał nawet podobny głos do Laertesa.

Zerwałem się z łóżka i spojrzałem na zegarek. Prawie pierwsza w nocy. Ponownie chwyciłem za telefon, ale chyba się właśnie popsuł, bo nie działał. Szybko wskoczyłem w jakieś ubranie, narzuciłem kozuch i wybiegłem na dwór. Zanim dotarłem do samochodu, minął mnie patrol kilku żołnierzy, za chwilę następny.

– Idź lepiej do domu! – rzucił ostatni mundurowy i poprawił karabin na plecach.

– Nie... – wymusnęło mi się z ust. Zacząłem szybciej biec w stronę parkingu. Padał śnieg. Na zakręcie poślizgnąłem się i upadłem. Uderzyłem się w łokieć, ale nie zważając na ból, podniosłem się i dopadłem samochodu. Wyjechałem na ulicę. Pełno wojska. Nikt jakoś mnie nie zatrzymywał. Mieszkałem mniej więcej dwa kilometry od Mariki. Mimo śliskiej drogi jazda zajęła mi może kilka minut. Wybiegłem z samochodu, nawet go nie zamykając. Wpadłem do piętnastopiętrowca, w którym mieszkała, i nie czekając na windę, zacząłem biec po schodach. Otworzyłem drzwi jej mieszkania. Stała na środku pokoju z dzieckiem na ręku, jakby na mnie czekała.

– Idź, mamó, do siebie – powiedziała spokojnie do starszej kobiety, wychylającej się zza drzwi sypialni.

Twarz miała zimną jak lód, usta ściągnięte, stała wyprostowana, spokojna; czekała.

– Przyszedeś po mnie? – spytała cicho.

– Tak – wybełkotałem. – Nie wiem, co się dzieje...

– Czyżby, ubeku?

– Nie jestem ubekiem! – niemal wrzasnąłem, zaskoczony jej słowami.

– No tak – Marika nie podnosiła głosu. – Nie ma już UB, teraz jest SB, a ty jesteś rosyjskim szpiegiem.

– Co ty mówisz... – jęknąłem.

– Jesteś rosyjskim szpiegiem – powtórzyła. – Nazywasz się Kołynin. A teraz pewnie przyszedłeś mnie aresztować. Śmiało, Paul.

Stałem przez chwilę bezradny, trzęsły mi się ręce, poczułem, że wilgotnieją mi oczy. Skąd się o tym dowiedziała? Co się, do cholery, stało!?

– Marika... Kocham cię... – mówiłem bezradny, nie wiedząc, co robić dalej.

– Może nawet chcesz mnie zabić – ciągnęła, wpatrując się we mnie hipnotycznie.

– Nie!!!

– No cóż, ciekawa data... Trzynasty. Jesteś przesądny?

– Dwunasty – poprawiłem ją.

– Nie. Jest po północy – w jej oczach zaszklily się łzy.

Rozejrzałem się szybko dookoła. Znów spojrzałem na nią. Ciężko oddychałem, ale próbowałem znaleźć w jej twarzy choć odrobinę nadziei, przebaczenia, może nawet złości. Widziałem jednak tylko dawny smutek, co było dla mnie jeszcze gorsze, niż gdyby wpadli tu żołnierze i rozstrzelali nas na miejscu.

– Marika... – nagle coś ścisnęło mnie za gardło – na ulicach jest wojsko – wydusiłem. – Uciekajmy, ochronię cię...

– Wyjdź stąd – odparła spokojnie. – Spieprzaj z mojego życia!!!

Patrzyłem bezradnie, jak kolejna łza spływa jej po policzku. Nie zwracała na to uwagi. Wciąż patrzyła na mnie, jakby nie mogła uwierzyć. Jakby chciała obudzić się z koszmaru lub stać się niewidzialną.

Usłyszeliśmy pośpieszne kroki na klatce schodowej i za chwilę walenie do drzwi.

– To twoi – szepnęła cicho, ale dumnie i bez cienia strachu. – Otwórz.

Przez chwilę stałem bez ruchu, wreszcie nacisnąłem klamkę. Weszło szybko trzech żołnierzy. Mieli usatysfakcjonowane, podniecone twarze, dumni z roli, jaką przyszło im odegrać. Poczucie władzy było dla nich tak obezwładniające, że chyba nawet nie zdawali sobie sprawy, co tak naprawdę się w Polsce stało.

– Na rozkaz Rady Państwa i prezesa Rady Ministrów – wyrecytował pierwszy z nich – na terenie całego kraju został wprowadzony stan wojenny!

– Mamo! – rzuciła spokojnie Marika w stronę przerażonej kobiety, która właśnie wychyliła się ponownie z sypialni. – Weź Agnieszkę! – podała jej

dziecko.

– Obywatelka Maria Leszczyńska! – wyszczełał ten sam, który kilka sekund wcześniej ogłosił w tym mieszkaniu stan wojenny.

– To ja – odpowiedziała chłodno Marika.

– Mam rozkaz internować panią do miejsca odosobnienia w trybie natychmiastowym.

– Pięknie powiedziane – prychnęła dziewczyna i podeszła do szafy, aby wyjąć z niej najpotrzebniejsze rzeczy.

– Szybko! – warknął nieuprzejmie trep, dając jakieś znaki dwóm kolegom.

– Wyjdźcie i poczekajcie chwilę na korytarzu – powiedziałem niespodziewanie właśnie do niego.

Marika aż odwróciła się od szafy, zamierając na kilka chwil ze zdziwienia, kiedy usłyszała mój bezbłędny polski. Dopiero teraz zrezygnowałem ze śmiesznego francuskiego akcentu.

– A obywatel to kto? – spytał żołnierz.

– Ktoś, kto prosi, abyście poczekali na korytarzu – rzuciłem nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Milczeć! – wrzasnął nagle trep i wyjął pistolet.

Zanim zdążył się zorientować, chwyciłem jego broń za rękojeść i za pomocą szybkiej dźwigni zabrałem mu ją. W niewielkim przedpokoju nie było raczej miejsca na walkę. Pozostali dwaj żołnierze próbowali sięgnąć nieudolnie po przewieszane przez ramiona karabiny, ale było już za późno. Chwyciłem dowódcę patrolu za szyję, tak że nie miał szans na najmniejszy ruch, a pistolet wymierzyłem w pozostałych dwóch. W ich oczach dostrzegłem przerażenie.

– Broń na podłogę! – rozkazałem spokojnie. – Wolno!

Obaj żołnierze opuścili kałasznikowy na posadzkę.

– Paul, co ty robisz!?! – usłyszałem zza pleców po raz pierwszy tej nocy przestraszony głos Mariki.

– Proszę tych panów, aby poczekali chwilę na korytarzu – wyjaśniłem, nie odwracając się. Pchnąłem głównego trepa w stronę pozostałych, cały czas mierząc do nich z pistoletu, i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni złożony dokument. Podałem go dowódcy.

– Czytaj! – rzuciłem, czekając, aż rozdygotanymi łapami rozłoży papier.

Przebiegł po nim kilka razy wzrokiem i dopiero teraz na jego obliczu pojawił się prawdziwy strach. Spojrzał na mnie bezradnie. Zwróciłem mu broń, którą szybko schował.

– Wyjść! – rozkazałem.

– Tak jest! – krzyknął dowódca i wypchnął pozostałych za drzwi.

– Wrócić, jak zawołam! – dodałem już ciszej.

– Tak jest! – powtórzył dowódca i oddał mi dokument.

Kiedy znikli za drzwiami, odwróciłem się w stronę pokoju.

– Marika! – podjąłem błagalnie. – Jeszcze jest szansa. Chodź ze mną, wyprowadzę cię stąd!

– Nie – odparła chłodno. – Wyjdź i wpuść tych żołnierzy.

– Wyjedźmy, błagam cię!

– Wyjdź! – krzyknęła niemal histerycznie.

Stałem jeszcze przez chwilę wpatrzony w nią, nie licząc już właściwie na nic, po czym nacisnąłem klamkę i wybiegłem na korytarz.

– Towarzyszu kapitanie, czy już możemy!? – dogoniło mnie wołanie żołnierzy, gdy zbiegałem po schodach. Kiedy znalazłem się na dole, rzuciłem się do pierwszej budki telefonicznej. Była nieczynna, podobnie jak wszystkie pozostałe w holu.

Wybiegłem na zewnątrz. Dopadłem samochodu, wskoczyłem do środka i pojechałem jak najszybciej do punktu „dwa” w mieszkaniu na Muranowie. Ku mojemu zaskoczeniu był tam nie tylko Bułat, ale także major Ratynin, z którym widywałem się jedynie w Moskwie, i jakiś oficer w cywilu. Wszyscy stali nad Ratyninem siedzącym przy stoliku. Ten uśmiechnął się do mnie i zaprosił ruchem ręki do środka, pokazując jednocześnie, abym zamknął drzwi.

– Jesteście zasapani, towarzyszu – uśmiechnął się major.

– Biegłem, towarzyszu majorze – wyjaśniłem raczej bez sensu. – Ja...

– Wszystko jest w porządku – przerwał Ratynin.

– Jak to!? – spytałem zdezorientowany.

– Doskonale się spisaliście – przerażający uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

– Ale nie dostarczyłem żadnych dowodów, że jest łączniczką...

– To prawda.

Chwila ciszy pozwoliła mi zebrać myśli.

– Bo nie jest... – wydukałem wreszcie.

– Jesteście domyślni, Aleksandrze, oczywiście, że nie jest. Wy mieliście tylko odwrócić ich uwagę od polskiego agenta, który dotarł do źródła.

– Söldan – jęknąłem.

Ten obleśny skurwysyn, przymilający się do każdego i wchodzący w dupę nawet sprzątaczkom, krążył cały czas wokół Agi. Nie przyszedł na kolację wigilijną, ale później widywałem go prawie zawsze. Płaska, zaczerwieniona, krostowata twarz z bazyliżkowatym uśmiechem, wybałuszone oczy, przygarbione plecy. Na co dzień wyglądał właściwie na bezradnego i godnego pożałowania, ale teraz w kilka sekund stał się w moich oczach kimś jeszcze

gorszym ode mnie. Ja byłem Rosjaninem, on zdradzał własny naród.

Ratynin pokiwał głową z uznaniem.

– A łączniczką jest Agi. Dlatego zabraliście mnie od niej – powiedziałem.

– Widzicie? Żadne pytania nie są potrzebne.

– Są potrzebne. Jedno... Kto mnie zdemaskował?

Uśmiech zniknął z twarzy Ratynina. Pozostali spojrzeli po sobie, jakby zastanawiali się, czy mogą znać prawdę.

– To było konieczne – zaczął major. – Soldan musiał cię zdemaskować, aby mieć czyste pole. Teraz po ucieczce rosyjskiego agenta czują się bezpieczni, a on musi dotrzeć do „S-Kontakt” i zostać łącznikiem. Taki był plan. Podrzuciliśmy specjalne dokumenty, które pomogły mu zrobić to bez podejrzeń. Oczywiście dokumenty „dostał” od przyjaciół z Francji.

– A więc to już koniec – powiedziałem zrezygnowany.

– Tutaj koniec. Wracacie do Moskwy. Wspaniale się spisaliście. Wasz ojciec będzie dumny.

– A ona?

– O to się nie martwcie. Oczywiście spreparujemy odpowiednią notkę, że straciliście zdolności operacyjne, bo się... zakochaliście. I podrzucimy to komu trzeba. Nie obrazicie się o takie małe kłamstewko?

– Nie – odparłem obojętnie, jakby mnie tam w ogóle nie było.

Jeśli przez ten ostatni rok jakaś gwiazda świeciła nade mną, to właśnie zgasła bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ 8

Adam Kniewicz siedział w wagonie pierwszej klasy pociągu Warszawa – Katowice. Zgodnie z instrukcją Paula wykupił cały przedział i czekał. Paul, facet, który do niego zadzwonił, miał się dosiąść na którejś stacji i trzymać w dłoni *Historię Szwajcarii* Jerzego Wojtowicza. Adam nie miał oczywiście zielonego pojęcia, kim jest człowiek, z którym był umówiony, ale nie wahał się ani chwili. Tajemniczy Paul, płynnie mówiący po polsku, bez francuskiego akcentu, wiedział wszystko. Na każde pytanie potrafił odpowiedzieć tak, aby przekonać Adama, że nie żartuje.

Minęła już godzina i co najmniej dwadzieścia minut od ostatniej stacji i wciąż nikt się nie zjawiał, ale Kniewicz był pewny, że facet prędzej czy później przyjdzie. Minęło jednak kolejne dwadzieścia minut, zanim wysoki mężczyzna otworzył drzwi przedziału, uśmiechnął się do Adama, wszedł, zamknął je za sobą i usiadł naprzeciwko dziennikarza.

– Dzień dobry, miło mi, że wreszcie się poznajemy – powiedział, kładąc *Historię Szwajcarii* na siedzeniu obok.

– Pan... Paul?

– Aleksander Kołynin. Proszę mi wybaczyć tę ostrożność przez telefon. Wie pan, kim jestem?

– Moja przyjaciółka, pracująca dla służb specjalnych, wspomniała mi o panu – odparł Adam.

– Niejaka Ultra?

– Tak.

– Tajna Specjalna Agencja Prezydencka, o której nikt nie wie.

– Jak widzę, pan wie – przyznał z uznaniem Kniewicz.

– Pan również – zauważył Kołynin.

– Kwestia przypadku.

– Znam ten przypadek, dlatego między innymi właśnie do pana się odezwałem.

Obaj niemal równocześnie wybuchli krótkim śmiechem.

– Imponuje mi pan, choć przyznam szczerze, że i również trochę niepokoi – podjął Adam.

– Nie wiem, czy mogę panu ufać.

– Nie wymagam tego od pana – Kola zerknął w stronę korytarza, a następnie szybko przeniósł wzrok z powrotem na dziennikarza. – Chcę panu przekazać istotne dla pana przyjaciółki informacje. Ona będzie wiedziała, co z tym zrobić.

– Dlaczego nie jej bezpośrednio?

– Po co pan zadaje pytania, na które zna odpowiedź?

– Ona wie, że pan współpracuje – upierał się Adam.

Kołynin przytaknął, ale najwidoczniej nie zmienił zdania.

– Wysłucha mnie pan? – zapytał.

– Oczywiście.

Kola jeszcze raz zerknął w stronę korytarza.

– Zdjęcia satelitarne, które przysłałem panu dwa tygodnie temu – zaczął – przedstawiają okolice znanego nam miejsca podczas tak zwanego zerwania plomby. Dzieje się tak wtedy, kiedy ktoś przebywa w ściśle określonym miejscu dłużej niż sześćdziesiąt sekund.

– W ściśle określonym miejscu? – Adam zmrużył lekko oczy.

– W miejscu, o którym mówimy, znajduje się coś, co może zagrażać życiu bardzo wielu ludzi. Istnieje nieliczna grupa moich rodaków, którzy wiedzą, jak wykorzystać to coś i jak się tam dostać. A plomba, o której mówię, to po prostu zabezpieczenie. Jeśli ktoś będzie zbyt długo przebywał za blisko wejścia, system go... unicestwia.

– Tak po prostu? – Kniewicz głośno przełknął ślinę.

– Nie ja to wymyśliłem, ale wie pan, co by było, gdyby dostał się tam ktoś przypadkowy?

– Więc lepiej kogoś takiego... unicestwić.

– Już mówiłem panu, że nie ja to wymyśliłem. Ja tylko staram się, aby nigdy nie doszło do wykorzystania Mariki.

– Kogo!?

– Tak nazywamy to miejsce, od imienia pewnej kobiety, która odegrała ważną rolę... – Kołynin przerwał na chwilę. – No, o tym opowiem panu kiedy indziej.

– Jak to działa?

– Zabezpieczenie?

– Tak.

– Trochę jak piorun, ale niezupełnie. Następuje przeskok iskry elektrycznej między punktami o dużej różnicy potencjałów. Później powietrze jest gwałtownie zasysane, jak przy implozji, a następnie powstaje minifala uderzeniowa w promieniu około dwustu metrów. Niezbyt silna, ale wystarczy, by zabić człowieka. Temperatura przez chwilę gwałtownie się podnosi, a potem szybko opada. Nieproszony gość znika, lecz nic dookoła nie zostaje uszkodzone.

– Jak to możliwe, że nigdy nie zapalił się las? Przecież całe puszcze znikają czasem z powodu pozostawionej butelki, a mówi pan przecież o potwornych napięciach, temperaturach i falach uderzeniowych!

Kołynin nie odpowiedział od razu. Przez chwilę przyglądał się widokom za oknem i zbierał myśli.

– To urządzenie reprezentuje technikę, o której pan nie słyszał – podjął powoli. – Jest genialne wskutek... jak by to panu wytłumaczyć... sterylności i wybiórczości.

– Trochę jaśniej, jeśli można – poprosił Adam.

– Niebezpieczne pole jest bardzo małe. System czujników lokalizuje intruza i odlicza czas. Jeśli w ciągu sześćdziesięciu sekund ktoś, kto się tam znalazł, opuści pole, nic się nie stanie. Jeśli jednak nie, system wybiera dwa tak zwane ogniwa, między którymi ma przeskoczyć iskra w taki sposób, że na jej drodze zawsze będzie intruz. Tych ogniw tak naprawdę jest pod ziemią dużo, ale wysuwają się na powierzchnię tylko dwa, akurat potrzebne w tym momencie. Strzał zwykle uśmierca w ułamku sekundy, ale dodatkowo system z innego źródła poraża ofiarę wiązką odpowiednio spreparowanych molekuł, co gwałtownie generuje ciepło, wskutek czego ciało... po prostu wyparowuje. Tylko w tym miejscu, na niewielkiej polanie, temperatura jest wysoka, drzewa zaś co najwyżej mogą być lekko osmalone. To bardzo skomplikowany proces. Ani ja, ani pan nie jesteśmy naukowcami, nie ma sensu w tej chwili bardziej się w to wgłębiać. Proszę mi jednak spróbować zaufać.

– Podstępna ta Marika – mruknął Adam z przekąsem.

– Ale skuteczna. Żadnych śladów, żadnych problemów.

– Kto to wybudował?

– Nie wiem.

– Co!? Ma pan tyle informacji na ten temat i nie wie pan, kto to zbudował?! – jęknął Kniewicz.

– Byłem w grupie, która badała to miejsce. Poznaliśmy sposoby działania systemu i, co najgorsze, dowiedzieliśmy się, jak tam można wejść i go wykorzystać, ale nie wiemy, kto to zbudował.

– My?

– Właśnie o tym mówię. Niektórzy moi koledzy starają się teraz wykorzystać to przeciwko wam, Polakom. A wrogów, co pan jako dziennikarz chyba najlepiej powinien wiedzieć, macie niemało.

– A pańscy byli koledzy pracują dla tych wrogów?

– Tak.

– W porządku – Adam uniósł palec do góry i przez chwilę go tak trzymał, a następnie podrapał się po głowie. – A co jest w środku?

– Tego panu nie mogę powiedzieć – odparł zdecydowanie Rosjanin. – Postaram się przekazać panu wszelkie informacje, które pozwolą przeszkodzić ludziom, którzy chcą to uruchomić, ale w dalszym ciągu obowiązuje mnie tajemnica.

– Po co? – pokręcił z niedowierzaniem głową Kniewicz. – Jeśli nie wiecie, kto to zbudował, dlaczego chcecie trzymać to w tajemnicy.

– Niech pan mi zaufa – odparł spokojnie Kola. – Wiem, co robię. Pańska wiedza na ten temat niewiele zmieni. Nie wolno po prostu dopuścić do tego, aby ludzie, o których panu opowiem, dostali się do środka.

– Co ich powstrzymuje?

– Aby zablokować zabezpieczenia, potrzebne są trzy specjalne... no ciężko mi to nazwać, powiedzmy... elementy. Oni mają dwa, ale trzeci jest w ręku pewnej kobiety, od której imienia nazwano to miejsce, dlatego usilnie jej szukają. Mówiąc szczerze, ja też. Jeśli nikt jej nie znajdzie, raczej nie da się złamać systemu, ale nie możemy ryzykować. Tych ludzi trzeba unieszkodliwić. Znam wszystkich, którzy mają na tyle niebezpieczną wiedzę, aby stworzyć zagrożenie. Trzeba po prostu załatwić sprawę raz na zawsze.

Adam pokręcił przecząco głową.

– Ja jestem tylko dziennikarzem. Nie umiem „unieszkodliwiać” ludzi.

– Ale umie pan dobrze przekazywać informacje – zauważył Kołynin.

– Mam zapisać to, co pan mi powie, i powtórzyć ludziom Ultry?

– Zapamiętać.

– Słucham?

– Nie może pan nic zapisywać ani nagrywać. Ufam, że nie nagrywa pan tej rozmowy.

– Nie nagrywam – potwierdził Adam. – A co pan będzie w takim razie robił?

– Przypilnuję sprawy do końca i wyjadę – oświadczył Rosjanin.

Chwila ciszy pozwoliła obu mężczyznom zebrać myśli, a przy okazji sprawdzić, czy nikt z korytarza nie przysłuchuje się rozmowie.

– W porządku – zgodził się Kniewicz. – Co mam im powtórzyć?

Garri Własow był bardzo eleganckim mężczyzną, zawsze starannie uczesany, z przedziałkiem po lewej stronie. Jego nieukrywany snobizm można było dostrzec już na pierwszy rzut oka. Był niezwykle wyczulony na punkcie dobrych zapachów, modnych krawatów, a nawet odpowiednich spinek. Dbał o to, aby nosić idealnie dopasowany, koniecznie francuski garnitur, który zresztą łądował na śmietniku najwyżej kilka tygodni po kupnie. Jego spotkanie ze starym dobrym znajomym Lonią Koruckim w klubie Simone trwało już dobre kilka godzin. Hałas, półnagie dziewczyny i coraz bardziej bełkotliwy słowotok Loni wyraźnie zaczęły go już nudzić. Garri spojrzał na zegarek. Pierwsza trzydzieści.

– Późno jest!?! – roześmiał się na całe gardło Korucki.

– Raczej tak, pora kończyć – przyznał Własow.

– Źle się bawisz?

– Doskonale, ale jutro mam sporo zajęć.

– Nie masz żadnych zajęć! – wrzasnął wesoło Lonia. – Ja rządę tym miastem i ci mówię, że masz tu siedzieć, aż skończymy! Moskwa jeszcze nie idzie spaaaaac – zaczął śpiewać.

– Ciszej – zwrócił mu uwagę Garri. – Ludzie się oglądają.

Tłusta twarz Koruckiego spoważniała.

– Lubię cię, chłopie. Byłeś i jesteś moim ulubionym agentem, ale nie mów mi, co mam robić, szczególnie kiedy siedzę w swoim własnym klubie.

– Spokojnie, Lonia – podniósł pojednawczo ręce Własow. – Nie chcę tylko, aby ludzie zwracali na nas uwagę.

– Gównu mnie obchodzi ludzie! – buchnął alkoholowym fetorem Korucki. – Krzyknij do moich chłopców, aby przynieśli jeszcze jedną butelkę smirnoffa!

Jego obleśny śmiech znowu przebił bębniącą dyskotekową muzykę. Objął dziewczynę stojącą obok fotela i cmoknął ją w brzuch.

– Naprawdę muszę już iść – nalegał Własow.

– Jesteś niewdzięczny, Garri – wycedził kpiarsko Lonia. – Przez tyle lat płaciłem ci potężne łapówki. Kiedy cię wyrzucili, nie zapomniałem o tobie. A w zamian wymagam tylko – wstał, aby nachylić się nad Własowem – szacunku!!! – wrzasnął, zaciskając dłonie w pięści. – Szacunku, skurwysynu!!! Więc kiedy mówię, że masz siedzieć, to siedź, dopóki nie pozwolę ci odejść!!!

Jeden z ochroniarzy zbliżył się do stolika, na wypadek gdyby był potrzebny, lecz Lonia lekceważąco machnął na niego ręką i mężczyzna cofnął się o kilka kroków. Mimo że taki wybuch gniewu Koruckiego mógłby wywołać panikę w umyśle niejednego moskiewskiego mafiosa, Garri nawet nie drgnął. Czekał spokojnie, aż grubas z powrotem usiądzie, i sięgnął po swój kieliszek szampana, z którego sączył od początku przyjęcia.

Lonia opadł na fotel, patrząc z pogardą na Własowa.

– Myślisz, że jesteś taki twardy? – burknął już spokojniej. – Wiesz, jak głęboko mam w dupie tę waszą milicję, tych wszystkich ważniaków ze służb specjalnych, takich elegancików jak ty?

– Wiem – odparł obojętnie Garri.

– Jesteście nikiem, życie z nas. Nie miałbyś nawet na brudne gacie, gdybym cię nie utrzymywał przez tyle lat, nie mówiąc już o tych twoich garniturkach.

– Nie martw się, Garri – odezwała się dziewczyna stojąca przy grubasie. – On zawsze mówi takie przykre rzeczy, jak popije, a na co dzień to kochany tatuś – pogłaskała go po resztkach włosów.

– Zjeżdżaj, dziwko! – warknął i pchnął ją w stronę tłumu.

Dziewczyna zatoczyła się i upadła na podłogę. Miała we krwi tyle amfetaminy, że z pewnością nie poczuła nawet bólu.

– Od tylu lat się znamy, a ty ciągle nie rozumiesz ludzi takich jak ja – ciągnął Korucki. – Klepałem biedę. Nie było co żreć, nasz ojciec tłukł nas codziennie, gdzie popadło, i dobrze!!! Zahartowany jestem i umiem żyć. Do czegoś doszedłem, a ty? Potrafisz tylko udawać ważniaka, w środku zaś... pustka. Nic.

– Po co mi to mówisz?

– Żebyś nauczył się żyć! Żebyś nie miał wiecznie kija w dupie! Oprzytomniej!

– Jestem przytomny.

– Ile masz lat?

– Po co ci to?

– Odpowiedz!

– Czterdzieści pięć.

– No widzisz. I gdzie masz rodzinę? Majątek? Korzenie? No gdzie? Miałeś kiedyś tylko pracę, a teraz jesteś skazany na takich jak ja. W sumie nie masz nic. Więc dopóki będziesz myślał, że jesteś mądrzejszy ode mnie, nic się w twoim życiu nie zmieni. A jak będziesz jeszcze głupszy, może cię kiedyś znajdą w jakiejś ciemnej ulicy z dziurą w głowie.

– Loniaaaa! Nie strasz elegancika – wybełkotała dziewczyna, która zdążyła już się pozbierać z podłogi.

Tym razem grubas nie skarcił jej. Wzruszył tylko ramionami i prychnął, swoim zwyczajem, śmiechem. Własow poczuł pod marynarką drżenie telefonu. Wyjął aparat z wewnętrznej kieszeni, włączył odbieranie i przyłożył do ucha.

– Nie mogę teraz rozmawiać, zadzwoń za pięć minut.

– Kto to? – spytał Korucki

– Stary przyjaciel.

– Kto, pytam!? Juszczyszyn?

– Nie.

– Chcę, żebyś mu coś przekazał.

– Oczywiście.

– Więc słuchaj...

– Nie tu, wyjdźmy na chwilę.

Lonia rozejrzał się dookoła.

– Choroszo, masz rację. Smiłyj! – krzyknął na ochroniarza. – Chodź! Reszta zostaje!

Grubas podniósł się ciężko i odpychając tańczących na parkiecie, potoczył się do wyjścia. Smiłyj wyprzedził go, torując drogę. Własow kroczył wolno za nimi. Przy szatni podszedł do szatniarza.

– Daj mi mój płaszcz! – rzucił w jego stronę.

– Po co ci płaszcz? – odwrócił się Korucki. – Mówiłem, że nigdzie jeszcze nie idziesz.

Wracamy zaraz.

– Tylko na chwilę, Lonia – odparł. – Zimno mi na dworze.

Grubas machnął ręką i pchnął tylne drzwi wejściowe. Na podwórzu nie było nikogo. Przeszli we trójkę kilka kroków i zatrzymali się.

– Chcę się spotkać z Juszczyszynem, Garri. Powiedz mu to.

– On wie o tym.

Własow znowu poczuł wibracje telefonu.

– Za kilka sekund oddzwonię – rzucił szybko do słuchawki i schował ponownie aparat.

– Kto tak do ciebie wydzwaniał?

– Wciąż ten sam facet.

– Co to za facet?

– Lonia... – Garri zatrzymał się na chwilę – Juszczyszyn nie chce już z tobą rozmawiać.

– A skąd ty, kurwa twoja mać, możesz o tym wiedzieć!?

– Powiedział mi.

– Powiedział ci?

– Tak. I prosił, żeby cię odwiedzić.

Grubas otworzył szerzej oczy, jakby nagle wytrzeźwiał.

– Jak mam to rozumieć?

– Już nie musisz nic rozumieć – mruknął chłodno Własow i wyjął spokojnie z kieszeni płaszcza pistolet, odbezpieczył go i wycelował w głowę Koruckiego.

– Smiłyj! – wrzasnął grubas. – Nie przeszukałeś go!?

Ochroniarz odwrócił się w stronę drzwi, pilnując, czy nikt nie idzie.

– Miałem go w płaszczu, kretynie. Poza tym to spluwa Smiłyja. – Garri wystrzelił dwa razy, w głowę i w klatkę piersiową. Kiedy Lonia, jęcząc, upadł na plecy, odkręcił szybko tłumik, schował do kieszeni, a pistolet zabezpieczył i rzucił ochroniarzowi.

– Zadzwoń do Juszczyszyna, że załatwione – mruknął w jego stronę. – Podrzuciłeś mi moją spluwę do samochodu? Nie chcę już wracać do środka.

– Tak. Jest w schowku.

– Dobrze. Kluczyki.

Smiłyj podał mu je, wciąż uważnie obserwując wyjście.

– Spadajmy stąd szybko – szepnął cicho.

– Za chwilę – odparł spokojnie Garri, po czym wyjął komórkę i oddzwonił pod numer, z którego było ostatnie połączenie.

– Własow – mruknął, gdy usłyszał po drugiej stronie znajomy głos. – Co się dzieje?

– Mała zmiana planów, ale kontynuujemy sprawę – usłyszał w odpowiedzi.

– Kiedy spotkanie?

– Jutro, tak jak było umówione. Załatwiłeś swoje sprawy?

Garri zerknął na trupa Loni.

– Właśnie skończyłem.

– To dobrze, do jutra.

Własow schował telefon do kieszeni marynarki i nachylił się nad Koruckim, przykładając mu dwa palce do tętnicy. Grubas przynajmniej od minuty nie żył.

– A! zapomniałem ci w końcu powiedzieć, kto dzwonił – rzucił Garri w stronę trupa. – Gawin dzwonił. Marat Gawin.

Kola wygodnie rozsiadł się na fotelu. Wyjął z kieszeni paczkę miętowych cukierków i podsunął ją Adamowi.

– Nie, dziękuję – dziennikarz uniósł lekko dłoń.

– Jak pan wie – podjął Kołynin – w latach osiemdziesiątych las między Skierniewicami i Makowem Mazowieckim był własnością wojska. To znaczy znajdowała się tam dość duża jednostka wojskowa.

– Wiem.

– Przez wiele lat nic ciekawego się nie działo, aż zdarzył się wypadek i odkryto... Marikę. Gdyby nie to zdarzenie, pewnie jeszcze długo nic by się nie działo. Przecież nasz problem znajduje się w pobliżu bagien, a więc w miejscu, gdzie ludzie raczej nie chodzą, a i wojsku do niczego akurat ten fragment lasu nie był potrzebny. Kiedy dowództwo zorientowało się, że mogą pojawić się kłopoty, uznało sprawę za poufną i sprowadziło specjalną grupę, składającą się przede wszystkim z naukowców, ale także z takich osób jak ja.

– Rozmawiałem z polskim wojskowym, jednym z tamtejszych dowódców. Mówił, że sprawa nie była poufna.

– Była. Z wyjątkiem wypadków śmierci żołnierzy. Tego wymagała instrukcja.

– Możliwe, żeby nie wiedział o tym dowódca jednostki?

– Możliwe. Ale dowództwo warszawskie wiedziało. Jednostka nie miała z tym wiele wspólnego. Stanowiła wyłącznie wygodny parawan. Przydzielono mnie do grupy, kiedy prace już trwały. Nie mogę panu powiedzieć, czym się dokładnie zajmowałem, ale miałem dostęp do wszystkich danych.

– Sprowadzili pana z Moskwy?

– Tak. Nie było mnie w Polsce od zimy osiemdziesiątego pierwszego roku.

– Pamiętna dla nas zima – wtrącił Kniewicz dość chłodno.

– Wiem. Proszę nie zrozumieć mnie źle ani nie mieć mi za złe, lecz... – przerwał na chwilę – dla mnie również był to ciężki okres. Sprowadzili mnie tu z powrotem, bo dobrze znałem język, kraj, zwyczaje i tak dalej.

– Czy naukowcy byli Rosjanami?

– Tak.

Adam z niedowierzaniem i dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie ja wymyślałem powojenne stosunki polsko-radzieckie – zauważył Kola. – Brałem w tym udział i być może tego żałuję, ale proszę nie osądzać mnie w ten sposób.

Adam pokiwał potakująco głową, lecz bez przekonania. Kola, nie zważając na kwaśną minę dziennikarza, kontynuował:

– Była tylko garstka osób dopuszczonych do tajemnicy. Szeregowi żołnierze, a nawet oficerowie polscy nie mieli pojęcia, co tam robimy. Obecność Rosjan na takich poligonach, w takich jednostkach nie była niczym dziwnym. Miejsce, o którym rozmawiamy, było oddalone od poligonu, gdzie odbywały się ćwiczenia. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że nie da

się ukryć naukowców, więc wymyśliliśmy bajeczkę o ośrodku badań meteorologiczno-strategicznych, w którym radzieccy uczeni pomagali polskiemu wojsku w eksperymentowaniu nad różnego rodzaju taktyką w zależności od warunków pogodowych. A więc „badaliśmy” wpływ ciśnienia, wilgotności powietrza, a nawet zachmurzenia na wydolność żołnierzy, sposób wykorzystania przeszkód spowodowanych rześnym deszczem, wichurą czy śniegiem przeciwko wrogowi i tym podobne głupoty. Brzmiało to nawet wiarygodnie, kiedy z naszego ośrodka powstało coś w rodzaju jednego z oddziałów Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Badania zmienności frontów atmosferycznych, a także średnich pogodowych stały się nawet z czasem bardzo przydatne, ale wymagało to zwiększenia środków i oczywiście wtajemniczenia większej liczby ludzi. Efekt był taki, że o tym, co tam naprawdę robimy, musiało wiedzieć siedemnaście osób.

– Co się z nimi stało? – spytał Adam i nie wiadomo czemu poczerwieniał na twarzy.

Koła wbił wzrok w podłogę i wypuścił głośno powietrze z płuc. Przez chwilę słychać było tylko, jak koła szybko toczą się po torach.

– Na szczęście te czasy już minęły – zaczął powoli po kilku sekundach. – Z wyjątkiem dwóch osób żadnego z naukowców niestety dzisiaj już nie możemy poprosić o pomoc.

– A tych dwóch?

– Obawiam się, że nie są po naszej stronie.

– O Boże... – jęknął Adam.

– Mimo że ostatni oddział rosyjski wyjechał z Polski osiemnastego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku – ciągnął Kołynin, nie zwracając uwagi na reakcję Kniewicza – musieliśmy opuścić las skierniewicki w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, i to szybko. Zaledwie kilkanaście tygodni po waszych wyborach kontraktowych. Przemiany w kraju były tak nagłe i niespodziewane, że nie zdążyliśmy skończyć badań, a zabranie tego wszystkiego nie było już możliwe. Ryzyko, że zostaniemy zdemaskowani, okazało się zbyt duże. Jeszcze kilka miesięcy przed czerwcem osiemdziesiątego dziewiątego roku nikomu w Rosji nie śniła się zmiana systemu w kraju nad Wisłą.

– A więc włączyliście system zabezpieczający i uciekliście, nie wspominając nam o tym? – upewnił się Adam.

– Wie pan doskonale, że przekazanie wam wyników tych badań było wówczas całkowicie niemożliwe. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to mogło mieć konsekwencje? I tak stosunki były wystarczająco napięte.

– No dobrze, w jakim stanie zostawiliście to urządzenie?

– Odkryliśmy, jak można się do niego dostać. Przez kilka lat badań trochę poznaliśmy techniki zastosowane w ukrytym tam systemie. A gdy przyszedł rozkaz o wycofaniu całego zespołu, tak jak pan mówił, uruchomiliśmy z powrotem system zabezpieczający i wystarczyło tylko puścić w ruch odpowiednią legendę o lesie zjadającym grzesznych ludzi. To było

ostatnie zadanie grupy agentów, w której się znajdowałem.

– Mówił pan, że są trzy klucze do systemu – rzucił Adam.

– Tak – potwierdził Kola. – Zostały zabezpieczone w sejfach KGB. W tak zwanych NOK-ach. Tam ukryte są ściśle tajne materiały dotyczące badań naukowych, szczególnie związanych z technikami zbrojeniowymi. Po dziewięćdziesiątym pierwszym przeniesiono dokumentację w inne miejsce. Do sejfów SWR, czyli naszej Służby Wywiadu Zewnętrznego.

– O mój Boże... – jęknął Adam. – Chce pan powiedzieć, że wykradzono te klucze?

– Jeden z nich udało mi się zniszczyć.

– Nie rozumiem – Kniewicz potarł dłonią czoło. – To chyba nie takie proste wkroczyć do siedziby SWR i wdrzeć się do tajnych akt, nie mówiąc już o wykradaniu z sejfów kluczy, czy jak to tam pan nazywa?

– Chyba że jest się osobą, która sama tam te klucze umieściła – odpowiedział wolno Rosjanin.

Adam zwiesił bezradnie głowę.

– No dobrze – podjął po chwili. – Jak panu się udało zniszczyć ten jeden klucz.

– Czy to ważne?

– Bardzo, kurwa, ważne! Mamy na głowie jakichś pieprzonych psychopatów, a tylko pan wie, jak wytrącić im broń z ręki!

Kołynin zastanowił się. Wyjął ponownie paczkę miętowych cukierków i wsadził sobie jednego do ust.

– Nie, dziękuję – uprzedził jego pytanie Adam.

– Dowódcą grupy prowadzącej badania w lesie skierniewickim – zaczął mówić Kola – był Andriej Logowski, starszy oficer KGB. To on ściągnął mnie z Moskwy. Prywatnie był przyjacielem mojego ojca, ufał mi. Był mądrym człowiekiem i wiedział, z kim i z czym ma do czynienia. Kiedy zabezpieczaliśmy system tuż przed wycofaniem się, o kluczach wiedziały tylko trzy osoby. On, ja i niejaki Marat Gawin, człowiek, który mnie szkolił i z którym później pracowałem.

– Ci naukowcy albo inni oficerowie... nic nie wiedzieli?

– Wiedzieli, że są klucze. Nawet uczestniczyli w ich ponownej szyfracji. Ale nie znali ostatecznego wyniku numerycznego. Zresztą... – Kola zamknął na chwilę oczy. – Jest pan dziennikarzem, nie ma pan pojęcia o zabezpieczeniu takich rzeczy. Istnieją odpowiednie instrukcje niedające możliwości przypadkowego lub nieodpowiedzialnego uruchomienia ważnych strategicznie systemów obronnych lub ofensywnych. Tak zabezpiecza się na przykład broń nuklearną. Nawet prezydent samodzielnie nie jest w stanie odpalić raket atomowych. Tak samo było tutaj. Aby uruchomić system Mariki, potrzebne były trzy klucze, i nikt nie znał wszystkich jednocześnie. Także sposobu zabezpieczenia ich już w Rosji. Ja, jak by to panu powiedzieć... opiekowałem się jednym z tych kluczy. Nie miałem do niego dostępu, ale wiedziałem, jak jest zabezpieczony, i miałem odpowiednie uprawnienia, aby w

krytycznej sytuacji zmienić miejsce jego przechowywania. Przez całe lata nie było to potrzebne, ale kiedy dowiedziałem się, że Logowski został zamordowany, nabrałem podejrzeń, że chodzi o Marikę.

– Próbowano pana zabić?

– Nie, próbowano mnie przekupić. Zgodziłem się. Nie było innego wyjścia. Oczywiście natychmiast zdecydowałem się zniszczyć klucz.

– Przechytrzył ich pan – uśmiechnął się Adam.

– No, nie było to takie proste, ale udało się. Mówiąc szczerze, wiedziałem, w co się pakuję. Nie mógłbym jednak dowiedzieć się, jakie mają plany, jeśli nie wziąłbym udziału w tym, co robili.

– I działał pan na własną rękę?

– Na polecenie przełożonych Logowskiego – wyjaśnił Kołynin.

– Skąd pan wiedział, że oni też nie są w zмовie?

– Bo zawiadomiłem ich już po zniszczeniu klucza. Taka była instrukcja z osiemdziesiątego dziewiątego roku. W razie zagrożenia lub chociażby próby wykradzenia pozostałych kluczy zniszczyć własny i zawiadomić tak zwanego głównego agenta operacyjnego sekcji F. Nie mogę panu zdradzić, kim jest człowiek, który obecnie pełni tę funkcję. To ściśle tajne.

– W czym zatem problem? – spytał w końcu Adam.

– W tym, że trwa to już dość długo, a udało im się wykraść klucz Logowskiego i oczywiście Gawina. A mój, jeśli ma się pozostałe... niestety da się odtworzyć. To piekielnie kosztowne i trudne, ale możliwe. Gdyby znaleźli kobietę, o której panu wspominałem, zamach byłby przygotowany już kilka miesięcy temu. Na szczęście nie wyszło im to. Ale równocześnie pracowali nad planem B. Centrala w Moskwie przekazała informację, że najprawdopodobniej mają już trzeci klucz. Dlatego ich ścigam, a teraz rozmawiam z panem.

– Jest pan pewien, że unieszkodliwienie ludzi Gawina rozwiąże sprawę?

– Tylko oni wiedzą, czym naprawdę jest Marika – odparł Kola. – Przez kilka lat przyglądali się tamtym badaniom. Jeśli ktoś inny chciałby ją wykorzystać, musiałby zacząć od nowa, jak my kiedyś. A wiadomo, że to w tej chwili niemożliwe.

Adam skinął potakująco głową, podniósł się i otworzył lekko okno.

– Co jest teraz najważniejsze dla Ultry?

– Oni wyjeżdżają, prawda?

– Nie wiem, Ultra enigmatycznie mi o tym opowiadała.

– Gawin i jego ludzie – ciągnął Kołynin – wyjeżdżają stąd. Oznacza to, że są prawie gotowi. To ich taktyka. Ale wrócą, tylko nie jako Rosjanie, nie pod tymi nazwiskami i nie wtedy.

– Jasne... – powiedział nagle jakby do siebie Adam. – Od strony Niemiec... Przecież to granica wewnątrzunijna, nikt ich nie zauważy.

– Zauważ. Jeśli będzie wiedział, kogo szukać. – Kołynin wyjął niewielką teczkę z dokumentami. – Tu są zdjęcia, charakterystyki, wyszkolenie i metody działania każdego z nich. Oczywiście tych głównych. Z płótkami i ochroniarzami sami sobie musicie poradzić.

– Kto tu jest oprócz Gawina?

Kolejny miętowy cukierek zniknął w ustach Koli.

– Mózg systemu, Grigorij Miczuin. Wieloletni współpracownik i zastępca Logowskiego. To z nim nawiązali kontakt Arabowie. On zaprogramował przebieg akcji, wyznaczył cenę i, być może, ma trzeci klucz. To on przyjedzie do Polski razem z ludźmi Gawina.

– Skąd ta pewność?

– Proszę mi wierzyć. Przyjedzie.

– To wszystko?

– Nie. Pozostali bohaterowie tych notatek to ludzie Miczuina. Niektórzy bardzo groźni. Na przykład Garri Własow... kiedyś zabójca na usługach KGB, dzisiaj robi to samo dla tego samego szefa, ale już poza strukturami. Miczuin to jedyny pracujący w SWR członek tej grupy.

– A ten... jak to pan mówił, facet z sekcji F? Dlaczego nic nie robi!? Macie zdrajcę we własnym wywiadzie i nic!?

Kołynin uspokoił Adama szybkim ruchem ręki i rzucił okiem na korytarz.

– Do czasu. Poza tym, jak pan widzi, ja tu jestem – wyjaśnił. – Już panu mówiłem. Musimy mieć wszystkich i jeszcze dowody. Pan teraz zadzwoni do Ultry i jej ludzi i spowoduje ich przyjazd do Katowic. Te papiery są ważne, nie możemy ryzykować. Ja podholuję pana, najdalej jak się da, i znikam. Skontaktuję się, kiedy tylko będzie taka potrzeba.

– Nie wiem, czy zdążą...

– Helikopterem? Powinni. Niech pan dzwoni.

Adam wszedł do dużego vana z zaciemnianymi szybami i od razu zatrzasnęły się za nim drzwi. W samochodzie oprócz Ultry rozpoznał pułkownika Krentza, ale pozostałych osób nigdy nie widział. Szczególnie zaintrygował go nieprzytomnie rozczochrana blondyn w porozpinanej i niewyprasowanej koszuli w kratę. Patrzył na Kniewiczza wylupiastymi oczami, wywołując w nim lekkie zaniepokojenie.

– Znów się spotykamy, panie Adamie – mruknął Krentz nie bez ironii. – Lepiej, żeby miał pan rację, że to coś ważnego.

– Wyjeżdżają? – spytał prosto z mostu dziennikarz. Agenci spojrzeli po sobie. Pułkownik przytaknął skinieniem głowy.

– Tak – odparła Ultra. – Minęli granicę. On ci powiedział?

– On mi powiedział – westchnął Kniewicz. – To jest teczką, którą mi dał. Wizytówki wszystkich, którzy was interesują, sugerowany sposób działania i obstawienia terenu. Punkty

kluczowe lasu skierniewickiego – wręczył papiery Krentzowi. – Resztę wam opowiem. Nie pozwolił mi notować.

– Pułkownika Krentza znasz, a to są agenci Kaj i Robert – Ultra dokonała prezentacji i wskazała dwóch osiłków siedzących za nią. – Nie znasz także naszego oficera naukowego, którego nadludzkim wysiłkiem udało nam się, specjalnie dla ciebie, wydobyć spod ziemi, skąd nigdy nie wychodzi. – Potargany jegomość ani drgnął, podczas gdy mówiła o nim, ale wciąż przypatrywał się podejrzanie Adamowi. – Sokrates, bądź człowiekiem – poprosiła Ultra. Po kilku sekundach oficer naukowy wyciągnął niespodziewanie rękę do Kniewicza.

– Dzień dobry – chrypnął trochę za głośno.

– Miło mi – odpowiedział Adam, ostrożnie podając mu dłoń.

– O Boże – mruknęła cicho Ultra do siebie i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Panie pułkowniku, wracamy samochodem czy helikopterem? – spytał kierowca.

– Odwieź nas na lądowisko, vana zostawiamy tutaj – odparł Krentz i otworzył teczkę.

Kola wszedł cicho do domu i niemal bezszelestnie zamknął drzwi. Nie zapalał światła. Na dworze panowała całkowita ciemność i nie chciał budzić najpewniej śpiącej już Agnieszki. Zdjął kurtkę w przedpokoju, powiesił ją na wieszaku i cicho westchnął. Spojrzał w kierunku barku z alkoholami i postanowił zrobić sobie drinka. Gdy już to uczynił przy skromnym świetle z lodówki, usiadł ze szklanką w fotelu i zapalił małą lampkę, stojącą na stoliczku po prawej stronie. Wyjął z kieszeni marynarki niewielkie zdjęcie i dość długo przypatrywał mu się bez ruchu.

– Nie śpię – szepnęła Agnieszka, która pojawiła się w drzwiach salonu. Wokół panowała taka cisza, że bez problemu ją usłyszał. – Co to za zdjęcie?

Kola przez chwilę nie odpowiadał.

– Moja matka... – powiedziała i zacisnęła mocno usta.

– Tak – odrzekł Kola. – Masz jakieś jej zdjęcia?

– Nie, słabo pamiętam, jak wygląda.

– Chcesz zobaczyć?

– Nie wiem.

– Chodź – rzucił cicho. – Miałem ci powiedzieć o tym rano, ale skoro nie śpisz, zrobię to teraz.

– To ważne?

– Obawiam się, że to jest... – zawahał się chwilę – ...najważniejsze.

– Nie wiem – powiedział pułkownik Krentz. Siedzieli w jego gabinecie, do którego po raz pierwszy zaproszono Adama dwa lata temu podczas akcji Zygzak. W pokoju oprócz ich dwóch była jeszcze Ultra i Sokrates. – Podczas podróży czytałem to dwa razy, słuchałem, co pan opowiedział, i w dalszym ciągu nie wiem. – Pułkownik podniósł słuchawkę telefonu. –

Jest już major Bauer? – spytał.

– Jeszcze nie – usłyszał odpowiedź.

– Proszę mu przekazać, żeby przyszedł do mnie, kiedy tylko się pojawi.

– Oczywiście.

Odłożył słuchawkę.

– Ultra? – spytał, wracając do poprzedniego wątku.

Agentka wzruszyła ramionami, nie zmieniając jednak pełnego skupienia wyrazu twarzy.

– Niczego nie ryzykujemy, trzeba zrobić to, o co prosi. Myślę, że on współpracuje.

– A może jest na tyle cwany, że odwracając naszą uwagę, prowadzi jakąś własną grę? – zasugerował Krentz.

Zapadła chwila ciszy.

– A ty? – zwrócił się teraz do oficera naukowego. – Jesteś, do cholery, podobno najmądrzejszym facetem w kraju, więc powiedz coś.

Sokrates puścił mimo uszu komplement. Zrobił tylko nieokreślony ruch ręką i znowu zamarł w bezruchu.

– On współpracuje, ale nie mówi nam prawdy – odezwał się wreszcie, nie reagując na kolejne pełne zdziwienia spojrzenie Adama.

– Ty też odniosłeś takie wrażenie, jak z nim gadałeś? – spytała Ultra Kniewicza.

– Nie wiem, czy mówi prawdę – odparł dziennikarz. – Nie znam się na tym.

– Jak to nie? Na tym chyba polega twój zawód?

Adam zaprzeczył szybkim ruchem głowy.

– To nie jest jakiś zafajdany polityk, który chce ukryć w rękawie kilka złotych łapówki. To zawodowy agent. Byłby w stanie najlepszym dziennikarzom udowodnić, że Pałac Kultury zbudowali kosmici.

– A nie zbudowali? – spytał Krzysztof Bauer, który właśnie pojawił się w drzwiach.

– Kosmici są zieloni, nie czerwoni – podsumował ze śmiertelnie poważną miną pułkownik. – Siadaj, gadamy, co robić.

– Ile mamy czasu? – spytał major, opadając na wolny fotel.

Wszyscy skierowali wzrok na Adama.

– Kołynin twierdzi, że dwa, trzy dni – powiedział Kniewicz. – Ale powinniśmy być czujni od zaraz.

– W porządku – oświadczył Krentz. – Zaraz po naradzie wysyłamy rozkazy. Mógłbyś trochę rozwinąć swoją myśl, Sokrates?

– Kołynin – zaczął oficer naukowy – chce nas napuścić na tych facetów, bo sam nie da im rady, ale na pewno chce załatwić coś jeszcze, o czym już nam nie powie. Wykorzystuje nas, ale współdziała i powinniśmy go słuchać. Zna ich taktykę, profile psychologiczne, wie, do czego są zdolni. Jest zdesperowany, lecz unika nas jak ognia.

– To normalne – wtrąciła Ultra. – Był przez wiele lat komunistycznym szpiegiem.

– Nie tylko o to chodzi – podchwycił Sokrates. – Chce mieć wolną rękę i prawie na pewno chce coś ukryć.

– Marikę – rzekł cicho Adam.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Właśnie – potwierdził Sokrates. – On stara się nas ratować i działa ze szlachetnych pobudek, ale tajemnicę Mariki chce pozostawić dla siebie.

– Szkoda by było – westchnął Bauer. – Sam jestem ciekawy, co to za gówno.

– Najważniejsze to zlikwidować tych skurwysynów – powiedział niemal rozkazującym tonem pułkownik. – Potem zajmujemy się Mariką.

– Zgadza się – dodał Sokrates. – Skoro wytrzymała tyle lat, bez ingerencji i tych kluczy nie jest groźna.

– Co wiemy o ludziach, których dokumentację nam przekazał? – spytał pułkownik.

– W teczce jest dużo więcej niż u nas – odparł oficer naukowy. – Ale wszystko potwierdza nasze dane. Mamy ich jak na talerzu.

– Nie byłabym taka pewna – odezwała się nagle Ultra. – To nie są idioci. Jak sam nasz tajemniczy przyjaciel mówił, przygotowywali się do tego wiele miesięcy. Mają wszystko zaplanowane. Przez pół roku działali na terenie Polski i przygotowywali grunt. W tym czasie Kołynin i jego ludzie przeszkadzali im, jak mogli.

– Wyrzynali ich, jak mogli – sprostował Bauer. – Z tych jatek między nimi można by już założyć mały cmentarz.

– Co oni tu tyle czasu robili? – spytał Adam.

– A jak myślisz? – odparła Ultra. – Sprawdzali miejsca ewentualnych zamachów, organizowali siatkę, system, odwrót, pieprzyli się z tymi Arabami...

– Ultra... – upomniał ją Krentz.

– Przepraszam.

– Jedno mnie tylko zastanawia – podjął znowu Kniewicz. – Od tak dawna wiedzieli, że Kołynin jest przeciwko nim i nie bali się, że przyjdzie do was i spowoduje, że pół polskiej armii będzie ich ganiało?

– Właśnie dlatego myślę – wtrącił Sokrates – że jeszcze sporo niespodzianek przed nami. Wjadą od strony Niemiec i co dalej?

– Myślę, że nie biorą pod uwagę jego zdrady – odezwała się Ultra. – To agent, Rosjanin, całe lata w służbie. Nawet nie wpada im to do czaszki. Tak samo mógłby przecież zdradzić każdy z nich. Dlatego likwidował ich sam. To jest dla nich zrozumiałe. Poza tym oni nawet nie mają pojęcia, że wiemy, co tu robią. Myślą, że niepokoimy się tylko ich obecnością. Badanie dziwnych zjawisk to nic konkretnego. Gdyby nie Arabowie, nie byłoby w ogóle pogotowia. Mimo wszystko i tak się zabezpieczą, to zawodowcy.

– Nie mają pojęcia, że wiemy, iż system zabezpieczający Marikę wyłącza się w zupełnie innym miejscu, choć może szkoda, że Rusek nie określił dokładnie gdzie.

– Jeśli zaczną mieć kłopoty, domyślą się, że to sprawa Kołynina. A przecież to kluczowa informacja.

– No dobrze – wtrącił się Krentz – zakładają, że im nie przeszkodzimy, ale gdyby coś nie poszło? Jak uciekną? Gdzie ich kanał?

– Może cała tajemnica kryje się w samym urządzeniu – wymamrotał Sokrates, który usiłował poprawić sobie coś przy spodniach i właśnie zaplątał się we własny pasek.

– Co robimy, panie pułkowniku? – spytała Ultra.

Krentz potarł ręką czoło.

– Robimy to, co on chce – powiedział cicho. – Niech nas prowadzą do źródła.

– To ryzyko, Piotrze – zauważył Bauer.

– A jeśli ich zdejmimy, a Arabowie pošlą tam grupę numer dwa, o której nie mamy pojęcia, i obudzimy się z rękami w nocniku, to nie będzie ryzykowne? On chce nas wykorzystać jako zabezpieczenie i zasłonę, a sprawę będzie pewnie próbował załatwić sam. My wkroczymy w odpowiednim momencie. – Przebiegł wzrokiem po wszystkich obecnych. Wyglądało na to, że zgadzają się z nim. – No to do roboty. Krzysztof... grupa do akcji typu G, włączamy alarm... Jedynekę... na wszystkie granice, oczywiście po cichu, poza tym całość według instrukcji. Grupę operacyjną dla naszych gości obejmie Ultra. Za... góra trzy godziny chcę mieć wstępny plan, Sokrates przekaże wszystkie dane. Jest szansa, żeby się pan nie wtrącał? – zwrócił się do Adama.

– Niewielka.

– Tak myślałem – westchnął pułkownik. – Nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności za pańskie bezpieczeństwo. Oczywiście obowiązuje pana klauzula poufności, którą pan podpisał. Na razie niech pan wraca do siebie. Nie pozwolę, aby ktokolwiek tu przeszkadzał.

– Oczywiście – zgodził się potulnie Kniewicz.

– No to wszystko wiemy. Zjeżdżajcie stąd, muszę jeszcze przemyśleć kilka spraw.

Łysawy sześćdziesięciolatek o wyrazie twarzy zmęczonego baseta zaczął dyszeć, aż w końcu udało mu się kichnąć.

– Na zdrowie – mruknął bez entuzjazmu Marat Gawin. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i przypalił sobie jednego. – Nie palisz, Grigorij, o ile pamiętam? – upewnił się.

– Nie palę – odparł mężczyzna. Jego telefon komórkowy zaczął wygrywać właśnie temat z *Jeziora Łabędziego*, więc sięgnął do marynarki.

– Miczuin, słucham! – wychrypiął do aparatu. Chwilę słuchał, po czym z dezaprobatą pokręcił głową. – No i co z tego!?! Nie będziemy o tym rozmawiali przez komórkę. No i co z tego, że kodowany!?! Przyjdź o szesnastej... Dobrze.

Nacisnął czerwoną słuchaweczkę i przeniósł wzrok na Gawina.

– Może jednak warto poczekać, aż skończymy – powiedział wolno.

– Uważam, że powinniśmy zaryzykować – stwierdził dobitnie Gawin. – Teraz nie są

gotowi, aby nas powstrzymać, a za kilka tygodni możemy już nie mieć szansy.

– To bezpieczne mieszkanie? – spytał Miczuin, zmieniając na chwilę temat.

– Tak, wynajęte kilka dni temu.

– No dobrze. Ufasz jej?

– Oczywiście, że nie, ale uważam, że nie ma powodu kłamać.

– Jeszcze raz opowiedz po kolei wszystko, może coś nam umknęło.

Marat zaciągnął się mocno papierosem.

– Zadzwoniła do mnie, numer miała od Kołynina. On jej ufa. Dziewczyna wie, gdzie jest klucz, i ma do niego dostęp. Kola ma tylko ją. Powiedział jej, że gdyby jemu coś się stało, ma zniszczyć klucz, a numer telefonu zachować. Twierdzi, że potrafi to wykraść. Ma nam go włożyć do skrytki na dworcu, pieniądze mają być w innej skrytce, to wszystko. To dziwka, możliwe, że tak rozumuje.

– Średnio to wiarygodne – Miczuin na chwilę przerwał, aby głośno kichnąć. Wyjął chusteczkę i wytarł nos. – Cholerna alergia. No, nieważne. Co mówiłem?

– Że to średnio wiarygodne – przypomniał Gawin.

– No właśnie. Z drugiej strony jej plan wygląda tak, jakby wymyślił go amator oglądający dużo filmów szpiegowskich. Trochę śmiechu warte, ale może szczerze. Czy ona wie, do czego służy ten klucz?

– Wątpię. Zakładam, iż myśli, że to wejście do jaskini Ali Baby. Tak przynajmniej sugerowała. Dlatego chce kasy. Nie wierzę, aby Kola powiedział jej prawdę.

– Ja też nie. Ale trudno mi uwierzyć, żeby dał się podejść. Ciekawe, co jej napłół.

– Musiał wymyślić jakąś wersję, tłumacząc naszą wizytę u niej. Zapewne nagadał jej, że to gra o duże pieniądze. Mógł trochę powspominać, jest romantyczny.

– Marika...

– No właśnie. W końcu to jej córka. Mógł jej jakoś tam zaufać.

– Zawsze był sentymentalny, ale to dobry agent – zauważył Miczuin. – Boję się, że może za tym stać.

Gawin rozłożył ręce.

– Po co? Po co miałby to robić? Wyjechaliśmy, ma, czego chciał. Nie znaleźliśmy Mariki, choć szukaliśmy jej od pół roku. Straciłem najlepszych ludzi, Arabów wypieprzono z powrotem na ich pustynie. Koniec.

– Znasz go tak dobrze, a wciąż nie rozumiesz – pokręcił głową Miczuin, szczerząc się oblesnie. – To idealista. Nie spocznie, dopóki nas wszystkich nie wykończy. On też stracił najlepszych ludzi, szczególnie Michaiła Wysockiego. To był jego przyjaciel. Pamiętaj o tym. Powiem ci, co zrobi. Nie ujawni niczego Polakom, ściągnie nas do Skierniewic i będzie chciał wyróżnić co do jednego. Może właśnie zarzuca przynętę. Tyle że sam nie wyprodukowałby klucza. Po prostu z jakiegoś powodu złamał instrukcję i nie zniszczył swojego. Poznamy, czy jest prawdziwy. A to nam wystarczy. Nawet jeśli chce nas podejść, musi nam dać do ręki

klucz, a wtedy poradzimy sobie.

– Tak czy owak, zaryzykowałbym. Załatwimy go i zgarniemy te dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów od Arabów.

– Jakie to proste, Marat, nie? – Miczuin wybuchnął śmiechem i uderzył pięścią w stół.

– Tak – odparł ze śmiertelną powagą Gawin. – Dla mnie to proste.

– Nie, Marat. On chce zniszczyć Marikę, dlatego jest bardzo prawdopodobne, że działa w zмовie z tą kurwą. Dziwię się tylko, że tak ją naraża.

Gawin patrzył na Miczuina nieprzekonany.

– Wiesz, co będzie, jak ta mała się dowie, że to on wsadził ją do domu dziecka? Że zabrał jej matkę i pozbawił prawdziwego dzieciństwa?

Miczuin uważnie słuchał przez chwilę, nawet skutecznie powstrzymując się od kichania.

– Powiemy jej to – kontynuował Gawin. – I wtedy zobaczymy, czy działała sama. A znam go wystarczająco, by wiedzieć, że Polakom nie pisał słowa. Wjedziemy w ten kraj niczym w masło, jak poprzednio.

– A jak chcesz jej to powiedzieć? Ona nas nie spotka. Przez telefon? Będziesz bardzo przekonywający.

– Poprawimy trochę jej plan i wykażemy słuszność rozumowania. To mogę zrobić przez telefon. Pojadę do Polski i załatwię wszystko ze swoimi ludźmi, ty nie musisz ryzykować.

– O nie! – roześmiał się Miczuin. – Lubię cię, Marat, ale nie do tego stopnia, by ci ufać. Chcesz, żebym oddał ci swój klucz, a ty w pięć minut zadzwonisz do Arabów i wyłączysz mnie z gry? Wiem, że chciałoby się zarobić trochę więcej, lecz wybaczone, zrobimy to razem.

– Puknij się w czoło, Grigorij, przecież im wszystko jedno, komu zapłacą!

– Ale wystarczy obniżyć cenę o kilka milionów i już nie wszystko jedno. Nie kłóćmy się! Niech będzie. Ta forsa warta jest ryzyka. Jutro wylatujemy do Niemiec, a stamtąd na Okęcie. Zbierz ludzi. Postępujemy według planu. Nic się nie zmienia, z wyjątkiem przyspieszenia sprawy.

– Dzwonić do tej małej?

– Dzwon. Ile ona chce?

– Milion euro.

– Damy jej milion euro, pod warunkiem że pojedzie z nami. Jeśli posłał ją Kola, zapewni nam bezpieczeństwo. Nie będzie ryzykował jej życia. Jeśli kurwa działa sama, nie możemy dać jej forsy, dopóki nie sprawdzimy, czy klucz jest dobry i nie robi nas w konia.

– Zgodzi się?

– Pytasz, czy prostytutka zgodzi się na przyjęcie miliona euro w zamian za małą zmianę planów? Gawin... starzejesz się.

Agnieszka Kowiczyńska siedziała na ławce, próbując opanować dreszcze. Splotła mocno palce rąk i wcisnęła dłonie między uda. Kiedy po kilku minutach nic to nie dało, zerwała się,

jakby coś ją oparzyło, wyjęła z kieszeni marynarki pudełko xanaxu i łyknęła jedną tabletkę. „Zaraz przejdzie, zaraz przejdzie” – powtórzyła sobie jeszcze raz, w kółko drepcząc wokół ławki. Starsza kobieta, karmiąca ptaki kilkanaście metrów dalej, zerknęła co pewien czas na dziewczynę, rzucając w jej stronę gniewne spojrzenia. Wreszcie zaczęła burczeć coś do siebie pod nosem, aż w końcu odeszła w przeciwną stronę.

Szczupły, pedantycznie uczesany mężczyzna w ciemnym garniturze, z brązowym neseserem, zbliżył się do niej dość zdecydowanym, ale spokojnym krokiem, a następnie usiadł na ławce. Agnieszka przez pewien czas przyglądała mu się z nieukrywanym strachem, ale po chwili zrobiła to samo.

– Trudno panią poznać ze zdjęcia – powiedział mężczyzna z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Kim ppan jest? – spytała, niestety nie unikając zająknięcia.

– Nazywam się Garri Własow, ale to chyba nie ma znaczenia. Jestem przyjacielem pana Marata Gawina, do którego pani dzwoniła.

– Dlaczego mam panu wierzyć?

– Bo w teczce mam komputer, dzięki któremu będzie pani mogła upewnić się, że właśnie wpłynęło na pani konto pięćset tysięcy euro. Jednocześnie ostrzegam, że jeśli to pułapka, zginie pani, zanim ktokolwiek się do nas zbliży.

– Zabije mnie pan? – spytała trochę bez sensu Agnieszka.

– Nie ja – Własowa rozbawiła bezradność dziewczyny. – Wycelowano w panią broń dość dalekiego zasięgu. Zrobi to zawodowy snajper. Ładny park ta Agrykola.

Nogi Agnieszki znowu zaczęły drżeć.

– Proszę się nie bać – uspokoił ją Własow. – Za chwilę udowodnię pani, że pieniądze zostały przelane, później pani powie nam, gdzie jest klucz, i pojedziemy razem tam, gdzie są ukryte pieniądze.

– To naprawdę istnieje jakiś ukryty sejf z pieniędzmi?

– Tak, do tego potrzebny był klucz. Ale pani już swoje pieniądze dostała – uśmiechnął się Rosjanin.

– Umawialiśmy się na milion – przypomniała hardo dziewczyna.

– Owszem. Przelejemy drugą połowę, natychmiast jak się przekonamy, że klucz pasuje i nie robi nas pani... jak to wy mówicie?

– W konia.

– No właśnie... w konia. Śmiesznie.

Agnieszka rozejrzała się nerwowo dookoła.

– Niech się pani nie denerwuje – uspokoił ją ponownie Własow. – Wyjmę teraz komputer i telefon komórkowy, abyśmy mogli połączyć się z Internetem, dobrze?

– Dobrze – Agnieszka była pewna, że zaraz się rozplacze albo, jeszcze gorzej, zwymiotuje na ten jego wycackany garnitur.

Rosjanin uruchomił szybko laptopa i położył go na kolanach dziewczyny.

– Proszę pilnować, aby telefon komórkowy był blisko tego czerwonego światełka – wyjaśnił na wszelki wypadek. – Ja nie będę pani przeszkadzać.

Własow wstał i odszedł kilka kroków, a Agnieszka wystukała adres banku i weszła na swoje konto, po czym szybko wyłączyła komputer. Rosjanin, słysząc, jak dziewczyna zamyka kłapkę, odwrócił się i spytał wzrokiem, czy wszystko w porządku.

– Pieniądze są, ale nie mogę jechać z panem.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę wylądować w Wiśle tuż po tym, jak się okaże, że klucz jest dobry.

– Po co mielibyśmy panią zabijać?

– Aby zaoszczędzić pół miliona euro.

Własow przyglądał się przez chwilę uważnie Agnieszce, po czym pokiwał ze zniecierpliwieniem głową. Wziął z ławki telefon komórkowy i odszedł kilka kroków. Widać było, jak coś komuś tłumaczy, żywo gestykułując. Po dwóch, może trzech minutach skończył rozmowę i ponownie podszedł do ławki.

– Za chwilę wpłynie na pani konto kolejne pół miliona. Zniknie powód pani obaw. Tych pieniędzy już pani nie zabierzemy. Ale musi pani z nami jechać, aby sprawdzić klucz. Mam nadzieję, że to pani rozumie. Agnieszka chwilę się zastanowiła.

– Dobrze – jęknęła. – Czy to daleko?

– Nie, ale na razie wolałbym o tym nie mówić.

– Czy to naprawdę sejf z pieniędzmi? – spytała nieśmiało. – Ten klucz jest dziwny, wygląda jak kasetka magnetowidowa, ma jakieś dziurki, światełka...

– Wiem, jak wygląda ten klucz – uśmiechnął się Własow. – Co powiedział pani Kola?

– To moja sprawa, umiem zyskać zaufanie – odparła chłodno.

– Pytała pani?

– A pan by nie pytał, jakby próbowano pana zabić w swoim własnym domu? Powiedział o pieniądzach i sejfie. O was. Starczyło.

– Jak pani wykradła klucz?

– To też moja sprawa, ale powiem panu. Kola bał się, że jeśli coś mu się stanie, nie będzie miał kto zniszczyć klucza i dlatego mi go pokazał.

– Nie boi się pani jego zemsty?

Agnieszka wzruszyła ramionami.

– Nie znajdzie mnie. Szczególnie z milionem euro. Rosjanin roześmiał się, ale chwilę później spoważniał.

– On też wie, gdzie jest sejf. Może być pani pewna, że będzie tam na nas czekał.

– I da wam wszystkim radę?

– Raczej wątpliwe. Stracił swoich najlepszych ludzi, a nowych równie dobrych sprowadzić nie zdąży. Pieniądze powinny już być – Własow ponownie otworzył komputer i

podał go dziewczynie.

- Co pani wie o polskich służbach specjalnych? – spytał Rosjanin.
- Nie rozumiem – odparła Agnieszka zajęta wchodzeniem w konto.
- Czy zauważyła pani, że Kołynin z kimś się kontaktował, dzwonił, wyjeżdżał?
- Raczej nie – mruknęła obojętnie. – Czy możemy już na ten temat nie rozmawiać?
- Nie wiem, czy pani ufać – wyjaśnił szczerze Własow.
- Nie musi pan. Chcecie ten klucz, czy nie?
- Numer skrytki na dworcu?
- Nie ma go tam, jest ukryty w jednym z banków.

Rosjanin pokiwał głową z uznaniem.

- Sprytnie. Ponieważ daliśmy już pani pieniądze, nie możemy się raczej rozstawać.

Pójdziemy tam razem.

Agnieszka chwilę się zastanawiała, a potem kiwnęła głową.

- Dobrze. W pięć sekund po sprawdzeniu klucza zmywam się.
- Jeśli przeżyjemy spotkanie z Kola.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zatrzymała się w pół ruchu. Głęboko nabrała powietrza w płuca i próbowała odczytać jakiegokolwiek uczucia z oblicza Własowa. Stał jednak przed nią człowiek o wyrazie twarzy urzędnika, z pozoru pozbawionego zmartwień, może nawet beztroskiego. Widząc zaniepokojenie na twarzy dziewczyny, Rosjanin uśmiechnął się przyjaźnie, ciepło, bez nuty agresji.

Agnieszka była przerażona.

ROZDZIAŁ 9

Jechali szybko samochodem, mijając kolejne pojazdy. Ultra siedziała z tyłu, przeglądając papiery, które udało się w ciągu ostatnich kilku godzin zdobyć Sokratesowi. Prowadził Gruby, najczęściej pracujący z Ultra od kilku lat agent, podobnie jak siedzący obok niego Przystojniak. Gruby – człowiek o wdzięku dobrotliwego tirowca – siedział teraz skupiony, starając się jak najszybciej dotrzeć do celu, nie zważając na rozmowy dwójki partnerów. Przystojniak, blondyn o twarzy wyciętej z miesięcznika dla napalonych nastolatek, jak zwykle opalony i zadbany, analizował wojskową mapę lasu skierniewickiego, co pewien czas wymieniając spostrzeżenia z Ultra. Nagle błysnął telefon przy pasku agentki i wszyscy mogli przez chwilę usłyszeć jej ulubioną muzykę filmową z *Forresta Gumpa*.

– Słucham! – mruknęła do aparatu, wciąż zajęta papierami.

– Co się dzieje? – rozległ się głos Bauera.

– Wjechali w trzech grupach – odparła agentka. – Z Niemiec samolotem, samochodem, i zwyczajnie, przez obwód kalininградzki.

– Wiem. Skąd pewność, że nie ma czwartej grupy?

Ultra uniosła zniecierpliwiona wzrok ku niebiosom.

– Nie sądzę, majorze, żeby ktokolwiek spośród tych, których dokumentację mamy w teczce, się prześlizgnął – odparta uprzejmie. – Ci od strony Kaliningradu jadą oczywiście na wabia. Największy problem mamy z tymi z samolotu.

– Słucham?

Agentka odetchnęła głęboko.

– Sprytnie to załatwili. Kompletnie i błyskawicznie się rozdzielili. Wszystkich wyłowiliśmy oprócz Własowa. Ale chłopcy znajdują go.

– Teraz to już mniej ważne, sam się znajdzie. Jedźcie na miejsce i dopóki nie doprowadzą was gdzie trzeba, nie mogą nic podejrzewać. Tym bardziej że zachowują ostrożność.

– Są teraz w dwóch samochodach i jadą różnymi trasami. Chłopcy od Kaja ich pilnują, co kilka kilometrów zmieniamy wozy, wszystko według planu. Nie ma kłopotów.

– Kiedy tam dojedziecie?

– Za godzinę. Las jest już obstawiony, według danych dostarczonych przez Kniewicza.

Niczego nie zwojują.

– Pamiętaj, w razie najmniejszego ryzyka zlikwidować.

– Tak jest.

– Wiesz coś o Kołyninie?

– Nie. On najbardziej mnie niepokoi.

– Myślę, że wie, co robi – uspokoił ją Bauer. – Ale oczywiście na niego też uważajcie.

Bądź gotowa na wszystko. Nie miałaś kłopotów z Kniewiczem?

Przystojniak usłyszał głos Bauera i prychnął śmiechem. Niemal równocześnie zadzwoniła jego komórka.

– Jak go znam, pewnie już jest na miejscu – rzekła z przekazem Ultra.

– No trudno, będzie musiał zadbać sam o siebie, melduj o wszystkim.

Przystojniak słuchał chwilę, co mówił jego rozmówca, i dał znak dziewczynie, aby na moment przerwała.

– Przepraszam, panie majorze – rzuciła do słuchawki. – Co jest? – spytała Przystojniaka.

– Własow się znalazł. Wsiadł do samochodu, którym jedzie Miczuin. I nie zgadniesz, kto mu towarzyszy.

– No?

– Agnieszka Kowiczyńska.

– Jezu... – Ultra potrzebowała kilku chwil, aby zebrać myśli. – Panie majorze, Kowiczyńska z nimi jedzie.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, świadczyła o tym, że wiadomość narobiła sporo zamieszania w centrali.

– Nie zmieniaj planów – usłyszała w końcu. – Trudno, nie możemy jej teraz pomóc.

– Myślisz, że Kola mógł zdradzić? – spytał Ilia Siłajew, stukając nerwowo palcami w boczną szybę samochodu. Był potężnym, długowłosym osiłkiem o twarzy przestraszonego, choć z lekka wyrośniętego podrostka. Był także od lat gorylem Gawina. Jego niezbyt bystry i niewyszukany sposób myślenia nie przeszkadzał Maratowi. Brawura i odwaga, graniczące czasem z głupotą, były tak przydatne, że inne cechy schodziły raczej na dalszy plan.

– Polakom?

– Tak.

– Jednego możesz być pewien – odparł spokojnie Gawin. – Nie powie obcym, czym jest Marika.

– A jeśli to pułapka? Jeśli znowu coś mu odbiło?

– Nie martw się, Ilia. On chce nas. Chce się zemścić. A to... tylko przykrywka. Ma w dupie Polaków, tak jak my, tyle że jest sentymentalny.

– A ta kobieta?

Gawin uśmiechnął się dobrotliwie do olbrzyma.

– Słyszałeś o Romeo i Julii?

– No, był taki film – odrzekł szczerze Siłajew.

– No właśnie. To, że Romeo kochał Julię, nie oznacza, że musiał przepadać za całą jej rodziną.

– Aha... – Ilia potrzebował kilkadziesiąt sekund na przemyślenie porównania Marata. – A co się z nią stało?

– Julia umarła, a tamta kobieta zniknęła kilkanaście lat temu. Nikt nie wie, gdzie jest. Szukaliśmy jej, podobno Szostakowicz ją nawet znalazł.

– Szostakowicz!? I co?

– I zginął. Jak kiedyś my wszyscy zginiemy – Marat zaśmiał się.

– Kołynin go zabił?

– Nie wiem, możliwe. Szostakowicz pracował dla mnie, więc to możliwe.

– Chyba ktoś za nami jedzie – mruknął kierujący samochodem Bestuch. Rzadko się odzywał. Był cichy, na ogół dość mrukliwy i niemiły.

– Sprawdź – odparł spokojnie Gawin.

Po kilkadziesiąt metrów kierowca zatrzymał się i zjechał na leśny parking.

– Chyba wszystko w porządku – Ilia spojrzał pytająco na Marata.

– Postójmy tu jeszcze przez chwilę – rzucił Gawin do kierowcy.

Agnieszka skuliła się na tylnym siedzeniu i wpatrywała się w okno. Milczący do tej pory Grigorij Miczuin siedział obok Garriego Własowa, który zajął miejsce za kierownicą, kiedy wraz z dziewczyną wsiadł do samochodu. Miczuin odwrócił się w jej stronę.

– Dlaczego pani to robi? – odezwał się.

Agnieszka przez chwilę nic nie mówiła, jakby budziła się ze snu.

– O co panu chodzi? – spytała, przymykając oczy.

– Dlaczego przyszła pani do nas?

– To chyba jasne. Dość dobrze mi płacicie.

– Kołynin był wielką i wieloletnią miłością pani matki.

– Wiem – zapewniła. – Ale nie jest moim ojcem. I nie „wieloletnią miłością”. Spotykali się przez kilka miesięcy przed stanem wojennym.

Miczuin odwrócił się wolno w stronę Własowa, a potem znowu skierował wzrok na dziewczynę.

– O nie, droga pani. Kiedy zatrudniono go w pewnej polskiej bazie wojskowej w osiemdziesiątym trzecim roku, znów się spotkali.

– Nieprawda! – wyrwało się Agnieszcze. – Gdy dowiedziała się, że jest rosyjskim szpiegiem, znenawidziła go i nie chciała widzieć.

– O tak, ale kochała go dalej. Pani jako kobieta chyba rozumie, że to nie tylko możliwe, ale w ich wypadku bardzo prawdopodobne – uśmiech na jego twarzy obruszył dziewczynę.

– Niemożliwe...

– A jednak. Proszę sobie przypomnieć swoją historię. Dom dziecka, osiemdziesiąty dziewiąty rok...

– Czego pan chce? – dziewczyna poczuła niespodziewanie, jak bliska jest płaczu.

– Myślała pani kiedyś, kto to pani zgotował? Myślała pani, że matka zostawiła panią z miłości do mężczyzny, z którym po prostu musiała uciekać? Powiedziała, żeby strzec się ludzi, którzy zapytają o Marikę, pamięta pani?

– Niech pan przestanie...

– Wiedziała, że nie wróci, a ja dodam od siebie – w tym momencie udało mu się zajrzeć w oczy dziewczyny – iż wiedziała, że tacy jak my będą jej szukać.

– Dlaczego!? Nie mogę tego zrozumieć! Z jakiego powodu ona była tak bardzo wam potrzebna? – zorientowała się nagle, że mówi ze zbyt gwałtowną pasją.

Miczuin długo nie odpowiadał, wpatrując się w twarz Agnieszki zimnym i pełnym satysfakcji wzrokiem.

– Bo to ona jest kluczem do jaskini bogactwa, do której jedziemy. To ona jest, jak by to powiedzieć... w kluczu, który wygląda jak kasetka magnetowidowa, a tak naprawdę jest niezwykle skomplikowaną, pancerną... że tak się wyrażę... menzurką. I ona tam jest. Dzisiaj sprzedała nam pani za milion euro swoją matkę!

Agnieszka poczuła, że zaczyna się dusić. Zrobiło jej się gorąco, a Miczuin powoli zaczął rozpylić się w białej poświacie, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

– Nie rozumiem... – jęknęła resztką sił.

– Robi wrażenie, co? – Miczuin wciąż przenikliwie przewiercał ją wzrokiem.

Ultra przerwała rozmowę telefoniczną i odłożyła teczkę.

– Dobra – zwróciła się w stronę Grubego. – Za dwie minuty przejmujemy samochód Miczuina. Przygotuj się. Przystojniak, pokaż jeszcze raz mapę!

Agent przejechał palcem po wyznaczonym na spotkanie miejscu.

– Mhm, może nawet wcześniej – mruknęła do siebie, analizując to, co pokazuje jej Przystojniak. – Wszystko gra? – rzuciła do aparatu.

– Tak, na razie bez problemów.

– To zmywajcie się. Zaraz ich przejmujemy.

Gruby dojechał do głównej drogi, skręcił w prawo i przyśpieszył. Wszyscy uważnie obserwowali szosę. Granatowy volkswagen jadący dwieście metrów przed nimi skręcił w boczną drogę i odsłonił srebrną toyotę avensis.

– To chyba oni – mruknął Przystojniak.

– Jak daleko do celu?

– Około dwóch kilometrów. Jeśli jadą w okolice tego miejsca.

– Przyśpiesz – zdecydowała. – Teraz nie możemy ich zgubić.

– Nie będzie problemu – stwierdził Gruby. – Jadą dość wolno.

Ultra zerknęła raz jeszcze w stronę teczki, kiedy z bocznej drogi niespodziewanie ostro wyjechało czarne volvo, zajeżdżając im drogę.

– Rany boskie! – wrzasnął Gruby i nacisnął hamulec z całej siły. Samochód wpadł w poślizg i zaczął sunąć po jezdni, wolno obracając się dookoła własnej osi. Zderzenie było nieuniknione. Gruby w ostatniej chwili puścił hamulec i dodał gazu, aby zapanować nad pojazdem, ale było za późno. Samochód uderzył prawym bokiem, mniej więcej na wysokości tylnych drzwi, w maskę volva, odbił się i wpadł do rowu, lądując na boku.

Volvo obróciło się z kolei o kilkadziesiąt stopni, ale zostało na jezdni. Potworny zgrzyt towarzyszący roztrzaskującym się reflektorom i gniołacej się blasze ucichł. Z volva wyskoczył Aleksander Kołynin i podbiegł do samochodu agentów. Wyjął broń i wycelował w próbujących wydostać się na zewnątrz Ultrę, Grubego i Przystojniaka.

– Nic wam się nie stało? – spytał, nie opuszczając broni.

– Trochę dziwne pytanie jak na kogoś, kto celuje do mnie z pistoletu – warknęła Ultra.

– Nie możecie jechać za nimi – oznajmił, przyglądając się uważnie uszkodzonym.

– Nie mógł pan poprosić? – spytał Przystojniak, gramoląc się z rozbitego auta.

– A posłuchalibyście?

– To po co te ceregiele z wystawianiem nam ich? – syknęła Ultra.

– Dostaniecie ich – wyjaśnił Kola – ale jak ja skończę sprawę. Przykro mi, muszę jechać.

– Cofnął się o kilka kroków, wciąż trzymając broń, wsiadł do volva i ku zdumieniu wszystkich obecnych odjechał.

– Kurwa jebana mać! – Ultra walnęła pięścią w dach rozbitego samochodu.

– A ta znowu swoje – mruknął Gruby. – Zawsze musisz tak kłąć?

– Bo mnie, kurwa, wkurwił!

– Co robimy? – spytał rzeczowo Przystojniak.

– Staramy się nie wyjść na idiotów. Dzwonię, żeby ktoś nas stąd zabrał.

Wystukała numer.

– Jak idzie? – spytała od razu.

– Chyba coś zauważyli. Zostało nam najwyżej półtora kilometra, więc wyprzedziliśmy ich i pojechaliśmy bezpośrednio na miejsce – rozległ się głos w słuchawce.

– To które wskazał Kołynin?

– Tak.

– I pewnie jeszcze ich nie ma?

– Powinni już być.

Agentka zwiesiła bezradnie głowę.

– Co jest? – spytał Przystojniak

– Drugi samochód też znikł. Rusek zrobił nas na szaro. Te punkty spotkań i wejść do Mariki są lipne. Minie przynajmniej godzina, zanim ich znajdziemy, i to jeśli poderwiemy

helikoptery.

– Wtedy wszystkiego się domyśla.

Ultra kolejny raz walnęła pięścią w dach samochodu.

– Czego ten cholerny Kołynin chce!?! Po coś nas tu chyba sprowadził!

– On chce załatwić ich sam – mruknął spokojnie Gruby. – A my jesteśmy tylko po to, by nie udało im się uciec.

– Niech sobie, kurwa, szkopy odgrywają takie szopki u siebie, a nie tutaj!

– Daj spokój, Ultra – odezwał się tonująco Przystojniak. – Zadzwońmy po kogoś i jedźmy tam.

– I co zrobimy?

– Zaczekamy. Raczej nie mamy innego wyjścia.

– Gdzie jest szef? – spytał Ilia Siłajew, wysiadając z samochodu.

Marat Gawin sięgnął po telefon, nie reagując na jego pytanie.

– Weszliście? – spytał, gdy już się połączył z Miczuinem.

– Tak. Idziemy korytarzem do sterowni, zaraz wam otworzymy. Czekać – usłyszał odpowiedź. – Ale tu, cholera, brudno.

– Nie było tam nikogo od dwudziestu lat.

– Też prawda. Ale wiesz co? Właściwie czuję się tu, jakby mnie nie było miesiąc – Gawin usłyszał w słuchawce rehotliwy śmiech.

– Zanim dojdziemy do pokrywy, minie kilka minut – sprowadził rozmowę na właściwe tory.

– Nie zauważyliście czegoś niepokojącego?

– Nie.

– No to teraz najtrudniejszy punkt programu – mruknął Marat bardziej do siebie niż do Miczuina. – Jeśli przejdziemy te kilkaset metrów, jesteśmy w domu.

– Spieszcie się – ponaglił Miczuin.

Gawin przerwał połączenie.

– Idziemy – rzucił do Siłajewa, rozglądając się uważnie dookoła, ale niemal równocześnie usłyszał za sobą kroki. Błyskawicznie wyciągnął broń i odwrócił się. Kołynin stał kilkanaście metrów za nim, przyglądając mu się przenikliwie. Patrzył spokojnie, czekając, aż przeciwnik oswoi się z sytuacją.

– Nie mam broni – rzekł spokojnie.

– To chyba błąd – zauważył Gawin

– Nie, mój przyjacielu. Ten las jest naszpikowany Polakami. Jeśli przejdiesz choćby pięćdziesiąt metrów, zginiesz. Oni jechali za wami.

– Powiedziałeś im!?! – warknął przez zęby Gawin.

– Nie wszystko, i tak wiedzieli o tym miejscu.

– Ale wierzyli, że to tylko trójkąt bermudzki, i co najwyżej przysłałoby tu kilku okularników, aby wszystko zbadali. Nawet ta panienska ze służb specjalnych nie traktowała tego poważnie. Poza tym oni myślą, że jesteśmy w Rosji!

– Nic się nie zmieniłeś – z politowaniem pokręcił głową Kołynin. – Nie tylko nienawidzisz Polaków, ale niezmiennie masz ich za idiotów.

– Gdybyś trzymał gębę na kłódkę, wszystko by dobrze poszło – Gawin mocniej chwycił broń. – Czego ty chcesz?

– Na chwilę odciąłem ich od was, podobnie jak Miczuina. Jechali za wami. Stary wszedł już na kod Logowskiego wejściem Lambda od strony cmentarza, studnią, prawda? A wy, aby zmniejszyć ryzyko, chcecie wejść z drugiej strony... Alfą. Może pokrywa jeszcze działa – uśmiechnął się. – Nad głównym wejściem mogliby stać do usranej śmierci... gdyby nie wiedzieli, że tu przyjeździecie.

– Nie wiem, dlaczego zwlekam z zastrzeleniem cię – syknął Gawin.

– Bo tylko ja wiem, co oni robią, i tylko ja mogę przeprowadzić was bezpieczną drogą.

– Fakt – prychnął wściekły Gawin. – Tylko ty wiesz, ile im nagadałeś, no i o czym nie mają pojęcia, kretynie!

– Posłuchaj teraz – przeszedł do rzeczy Kołynin. – Opuść broń, a przeżyjesz. Oni nie wypuszczą nikogo z tego lasu. Przeprowadzę cię do Bety tak, że nikt nie zauważy. Uciekniemy według waszego planu. Nigdy was nie złapią. Ja wiem, co oni wiedzą, a czego nie. I śpiesz się. Dali się zwieść na dwie, góra trzy minuty.

– O co ci, do cholery, chodzi!?

– To moja sprawa. Na razie o dziewczynę, a później się dowiesz reszty. Za pohamowanie ciekawości ofiaruję ci życie. Myśl szybko, czas płynie.

– Nie powstrzymasz nas, Kola. Nie oddamy ci kluczy.

– Teraz mam to w dupie. Wyjmujesz komórkę i dzwonisz do Miczuina, aby otworzył Betę, jedyne wyjście, o którym nie mają pojęcia, czy strzelasz do mnie?

Gawin stał przez chwilę bez ruchu, rozglądając się nerwowo.

– To duży las, ale nie mamy aż tyle czasu – przypomniał Kola.

Siłajew i Bestuch stali jak wryci, czekając na reakcję szefa.

– Przeszukajcie go! – rzucił do nich Marat.

Kola uniósł ręce i czekał, aż wykonają polecenie.

– Jest czysty – zameldował Siłajew.

– Jeśli mnie kolejny raz oszukasz – ostrzegł Gawin – ty zginiesz pierwszy.

– Możemy się nie zgadzać, ale obaj jesteśmy Rosjanami, a kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

– Już ci ich nie szkoda?

– Szkoda. Mam nadzieję, że was przekonam, abyście tego nie robili, ale teraz najważniejsze, żeby nikt w tym kraju nie dowiedział się, co jest w środku.

– Idziemy – machnął pistoletem Gawin.

Światła w długim podziemnym korytarzu zapalały się bardzo powoli. Oświetlali sobie drogę latarkami, idąc w milczeniu. Gawin nie opuszczał broni wycelowanej w kroczącego przed nim Kołynina.

– Jesteśmy w środku, nikt nas nie zatrzymał – rzucił w jego stronę Kola. – Możesz schować broń.

– Na co ty liczysz? – spytał Gawin, nie reagując na jego prośbę.

– Na trochę szczęścia.

– Jesteś jednak głupi – Marat pokręcił głową z politowaniem. – Inaczej to sobie wyobrażałem i przyznaję, bałem się ciebie. Nie tych Polaczków, którzy nie wiedzą, z czym mają tu do czynienia. Oni nie znaleźliby śniegu w zimie. Bałem się ciebie. A ty stajesz tu przede mną, goły jak święty turecki, i przeprowadzasz przez pułapkę. A przecież tutaj oni nigdy nas nie dostaną. Chyba nie docenili cię.

Po kilkudziesięciu metrach betonowy korytarz skręcił w prawo. Lampy na suficie zaczęły świecić już na tyle mocno, że latarki stały się zbędne. Szli po kracie, która zastępowała niewidoczną podłogę, gdzieś kilka metrów pod nimi.

– Gdzie my jesteśmy, szefie, job w dupę mać – Siłajew otworzył szeroko usta ze zdziwienia. – Jak na jakimś statku kosmicznym...

– Nie powiedzieli ci, tępaku? – zakpił Kola.

Siłajew ruszył do niego, ale Gawin powstrzymał go ruchem ręki.

– Nie ma teraz na to czasu – mruknął w jego kierunku. – Potem się z nim rozliczymy.

Zbliżali się do wielkich żelaznych drzwi, w których tkwiła potężna metalowa dźwignia.

– Zatrzymajcie się na wysokości tej linii – rozkazał Marat, wskazując żółty pas na ścianie.

Cała czwórka stała tak około minuty, zanim drzwi drgnęły i powoli zaczęły się uchylać. Pierwszy wszedł oczywiście Siłajew, coraz bardziej podniecony tym, co widzi. Bestuch, odkąd dostali się do środka, nie odezwał się ani razu. Szedł, nie zwracając uwagi na rozmowy kolegów, przyglądając się jednak uważnie ścianom, sufitowi, a szczególnie temu, po czym szli. Od początku nie pytał o szczegóły, interesował go tylko obiecany milion euro. Konsekwentnie omijał wszelkie sprawy, o których myślał, że go nie dotyczą, a jedynie przeszkadzają w skupieniu.

Korytarz, który znaleźli za żelaznym wejściem, znów skręcał, ale w lewo. W oddali zobaczyli kolejne drzwi, jeszcze potężniejsze, w dodatku podwójne. Zatrzymali się przy linii, tym razem czerwonej, ale na to, by się otworzyły, musieli poczekać dobre dwie, trzy minuty.

Otoczenie za drzwiami zmieniło się diametralnie. Korytarz był jasno oświetlony, a podłoga przesłonięta wykładziną – zakurzoną, ale za to w ładnym zielonym kolorze. Gdyby nie byli w podziemiu, mogłoby im się wydawać, że są w jakimś wielkim biurze. Po obu stronach pojawiły się pokoje przypominające gabinety za szklanymi drzwiami, oświetlone i eleganckie, choć puste i jakby martwe. Zakurzone biurka i szafy robiły ponure wrażenie,

jakby obiekt, niewątpliwie cieszący się niegdyś świetnością, stracił nagle swoje znaczenie i ludzie stąd znikli i do tej pory się już nie pojawili. Wreszcie po kilkudziesięciu metrach zeszli schodami mniej więcej piętro w dół i wkroczyli do dużej sali, gdzie przy wielkiej konsolcie siedział zachmurzony Miczuin. Wpił zaniepokojony wzrok w Kołynina i czekał.

Siłajew, a nawet Bestuch, rozglądali się ciekawie dookoła, zaszokowani tym, co widzą. Kilkanaście ekranów, konsoly, kilka dużych urządzeń wyglądających jak potężne płyty nagrobne, ale wyposażone w dziesiątki przycisków i lampek sygnalizacyjnych. Siłajew zatrzymał wzrok na jednym z nich.

– To komputery – wyjaśnił spokojnie Kola. – Stare, ale żebyś wiedział jakie groźne... – dodał z przekąsem.

Przy jednym z biurk siedziała Agnieszka, niepotrafiąca ukryć przerażenia, niedaleko niej – Garri Własow. Dziewczyna, podobnie jak wszyscy, patrzyła na Kołynina. Jej pełen strachu wzrok błagał o ratunek.

– Co tu się dzieje, kurwa jego mać! – warknął Miczuin do Gawina, choć nie spuszczał wzroku z Koli.

– Wypaplał im, że tu jedziemy – odparł Marat.

– Co jeszcze im wypaplał?

– Chyba nic. Mówi, że tu dookoła jest cała chmara agentów.

– Dopóki nie przyślą wojska, mamy czas – rzekł już dużo spokojniej Miczuin. – Czego chcesz? – spytał Kołynina.

– Chcę was namówić, abyście dali spokój. Jeszcze nic się nie stało i możemy stąd wyjść żywi. Polacy nie mogą się domyślić, co tu naprawdę jest.

– Włóż klucze do MATKI – polecił Miczuin Gawinowi. – Inicjacja potrwa kilka minut.

Marat zajął miejsce za konsolą.

– A gdzie ten sejf z kasą? – spytał dość bezmyślnie Siłajew.

– Nie ma żadnego sejfu z forszą – wyjaśnił Kola. – Nie masz pojęcia, tępaku, w co wdepnąłeś. To taka sama bajka jak to, że wszystko tutaj wybudowali jacyś pieprzeni kosmici.

– Boże, co tu się dzieje! – jęknęła Agnieszka. – Dajcie mi odejść! Niczego nikomu nie powiem!

– Nie denerwuj się, panienko – uspokoił ją Miczuin. – Nikt ci nic nie zrobi. Co z kluczem? – zwrócił się do Gawina.

– Prawidłowy. Jest odczyt.

– Bingo! – klasnął w ręce Grigorij. – Pamiętasz, jak tu przyszliśmy? – spytał dziewczynę.

– Tak – jęknęła.

– No to żegnam. Miło nam się współpracowało. Wróc tą samą drogą, a przed każdymi drzwiami stawaj na wysokości linii, otworzymy ci.

Marat odwrócił się raptownie.

– Grigorij, co ty robisz!?

– Wiem, co robię. Nie może nam zaszkodzić. Niech sobie idzie. Choć na jej miejscu nie pojawiałbym się w Warszawie ani Łodzi. Kiedyś do niej zadzwonimy i spytamy, jak jej się żyje ze świadomością tego, co nam sprzedała.

– Ty skurwielu! – wrzasnął Kołynin. – Nie rozumiesz!?! Polacy będą cię ścigać do końca życia!

– Będzie stać mnie na to, żeby uciekać.

– A bo to raz się uciekało! – zaśmiał się Siłajew.

– Coś ty narobiła, głupia gówniario... – jęknął Kołynin.

– Przykro mi, Kola – rzekł rozbawiony Miczuin. – Chyba nie uda ci się czerpać satysfakcji z zemsty. Żegnam panią – rzucił w stronę Agnieszki. – Będzie pani miała co opowiadać klientom. Otwórz jej – rozkazał Gawinowi.

– Ona opowie, co tu widziała, Grigorij!

– Chcę, żeby powiedziała! – ryknął Miczuin. – Za godzinę i tak nie będzie to miało znaczenia.

Dziewczyna wstała i wybiegła z sali.

– Marat, zastanów się! – krzyknął Kola. – Byliśmy kiedyś przyjaciółmi!

– Przestaliśmy nimi być, kiedy zbratałeś się z Polaczkami – odparł Gawin obojętnie. – Zdradziłeś nas. Strzelałeś do nas. Zabijałeś moich ludzi. Więc teraz patrz na to, co chciałeś ujrzeć od tak dawna. Nie mów, że choć raz cię nie kusilo, żeby zobaczyć, jak to wszystko działa. Tyle lat eksperymentów, tyle starań, tyle pieniędzy! A Marika stała dwadzieścia lat i nikt jej nigdy nie użył do tego, do czego została stworzona. Ale dziś ją obudzimy – uśmiechnął się, jakby wznosił toast.

– I dlatego muszą zginąć tysiące ludzi?

Zrezygnowany ton Koli obudził milczącego do tej pory Bestucha.

– Jakie tysiące ludzi? – spytał zaniepokojony.

– Jeszcze się nie domyślacie, gdzie jesteście? – warknął ze złością Kołynin. – Wydaje wam się, że to hotel z tysięcy ton stali!?! Że jakiś pieprzony czarownik przyleciał i wybudował to wszystko. Nie... – przerwał na chwilę. – My to wybudowaliśmy. My. Jesteście dumni!?! Przez całe lata goniąc Amerykanów, wciąż wierzyliśmy, że możemy wygrać bezsensowną wojnę i między innymi powstała Marika.

– Kiedy stworzono ten kompleks? – spytał wolno i nad wyraz rzeczowo Bestuch.

Garri Własow posłał zaniepokojone spojrzenie w stronę Miczuina, ale ten miał spokojną, nawet obojętną twarz.

– Zaczęto go budować niedługo po wojnie – odparł Kołynin. – W latach pięćdziesiątych tu była nasza tajna jednostka. Za wysokim murem powstawało to całe podziemie. Najpierw miał tu być ogromny, samowystarczalny schron przeciwiatomowy. Potem podziemna baza, wreszcie, kiedy powstał poligon, będący świetną przykrywką, zaczęto tu eksperymenty nad dawno już przygotowywaną bronią. W sześćdziesiątym drugim zburzono mury i oddano

większość terenu Polakom na jednostkę. Zostało tylko kilka niewinnie wyglądających baraków. Ośrodek badań meteorologiczno-strategicznych... – roześmiał się gorzko.

– Bronią!?! – spytał Siłajew, kompletnie już zagubiony.

– Do twojego mózdzku to raczej nie dojdzie, ale może ten mruczek zrozumie. Widmo elektromagnetyczne, technologia strumieni molekularnych, broń protonowo-walencyjna, mówią wam coś takie trudne wyrażenia? – zakpił Kola.

– Szefie, o czym on gada? – jęknął Siłajew.

– Zamknij się wreszcie, Kola. Wystraszysz biedaków.

– Wystraszę!?! Chcesz wymordować pół miasta, bo ci szaleńcy z Iraku zapłacili za to kolosalne pieniądze, i mówisz mi, żebym ich nie straszył!!!?

– Jakiego miasta? – spytał ponuro Bestuch.

– Warszawy – odparł z pasją Kołynin. – Marika została skonstruowana w ten sposób, że wysłała na odpowiednią wysokość specjalną sondę, która, na skutek wprowadzonych wcześniej danych, emituje w ściśle określony punkt strumień cząstek, co z kolei powoduje reakcję przypominającą gigantyczne trzęsienie ziemi. Mało kto ocaleje w promieniu wielu kilometrów. Spytasz dlaczego akurat w Skierniewicach? Bo to połowa drogi między dwoma największymi miastami polskimi – Warszawą i Łodzią. Kiedy przerwaliśmy eksperymenty, Marika miała zasięg do stu kilometrów. Tu przygotowywano ją do tego, aby można było cały system umieścić w kosmosie. Taki był cel tych badań. Ale zimna wojna się skończyła i Marika poszła spać. Do dzisiaj.

Bestuch stał jak słup soli, patrząc z przerażeniem na migające ekrany.

– Co ma być, to będzie! – wystrzelił nagle Siłajew, ale Kola wyczuł strach w jego głosie. Ilija kiwał się jak dziecko na krześle i rzucał niepewne spojrzenia to na Miczuina, to na Gawina, to na Własowa.

– To miejsce było tak dobrze zabezpieczone, że nikt, gdyby nie wy, przez całe lata by się tu nie dostał. Miałem tego pilnować – kontynuował Kola. – Zabezpieczenie nad główną pokrywą, jedno ze źródeł legend o lesie zjadającym ludzi. Trzy inne wejścia: Alfa, Beta i Gamma tak ukryte, że właściwie nie do znalezienia. A jeśli nawet zostałyby odkryte, nikt nie dostałby się do środka bez klucza z kodem naszego dowódcy... pułkownika Logowskiego, którego... najprawdopodobniej ty zabiłeś, Garri.

Własow przyjął to oskarżenie bez najmniejszego cienia emocji.

– Logowski wiedział, że jego życie jest zagrożone, dlatego sprowadził mnie z Francji – mówił dalej Kołynin.

– A te klucze? – spytał niespodziewanie piskliwym tonem Siłajew, coraz bardziej zaciekawiony tym, co mówi Kola.

– Następny genialny pomysł naszych naukowców, tylko że tragiczny w skutkach. Klucz otwierający Marikę niewiele różnił się od nieparzystych kodów i zabezpieczeń atomowych. Aby jednak uruchomić sondę i działało protonowo-walencyjne, potrzebne było jednoczesne

użycie dwóch kluczy... genetycznych. W tych kasetach jest ściśle określony fragment kodu genetycznego konkretnego człowieka. Nie do zastąpienia, charakterystyczny tylko dla konkretnej jednostki. Nie ma na świecie dwóch osób o tym samym kodzie genetycznym, dlatego szyfr był idealny.

– Że też masz siłę na taki wykład – pokręcił głową Gawin, cały czas wprowadzający jakieś dane do konsoly. – Cholera, jak tu brudno!

– Niech wiedzą – rzucił w jego stronę Kola.

– To w tych kluczach jest cały kod genetyczny jakiejś osoby? – mruknął Bestuch.

– Mówiłem już, że niecały. – Żeby obejrzeć cały kod, na przykład na ekranie komputera, musiałbyś robić to przez kilka lat. Ale nasi naukowcy zastosowali specjalną technikę, dzięki której wykorzystywali tylko pewien ściśle określony fragment. Wystarczało trochę krwi. Kod genetyczny człowieka ma siedem podstawowych cech. Jest trójkowy, niezachodzący, bezprzecinkowy, jednoznaczny, kolinearny, uniwersalny i zdegenerowany.

– Co ty wygadujesz, nic nie rozumiem – skrzywił się Siłajew.

– Trójkowy, bo trzy leżące obok siebie aminokwasy tworzą podstawową jednostkę informacyjną, kodującą aminokwas. To się nazywa kodon.

– Po co im o tym gadasz, zaraz zasną z nudów – rzucił znad konsoly Gawin.

– Niech sobie gada – roześmiał się Miczuin. – Może wreszcie się dowiemy, czego chce.

– Nie wyglądają na znudzonych – zaprzeczy! Kola. – Ja bym to nazwał strachem.

– Łochocho! Jakie wielkie słowa! – prychnął znowu Miczuin.

– Kod jest także niezachodzący, bo trójki leżą obok siebie – mówił dalej Kołynin – bezprzecinkowy, bo nie ma żadnych innych elementów fizycznych, kolinearny... w tym wypadku chodzi o uszeregowanie kodonów, uniwersalny, bo jest wszędzie i... dwie najważniejsze dla nas cechy... jest jednoznaczny, bo dany kodon koduje tylko jeden aminokwas, a z tak zwanych dwóch nici tylko jedna zawiera pasmo matrycowe... poza tym jest zdegenerowany, bo więcej niż jeden kodon może oznaczać ten sam aminokwas. Te dwie ostatnie cechy były najistotniejsze w budowaniu kluczy, o czym doskonale wiedzieli i wiedzą wasi szefowie. Niestety mieli także dostęp do ludzi, którzy byli dawcami kodu, mimo że rozkaz był wyraźny: Nikt nie ma prawa wiedzieć, kim jest dawca. Pierwszy z nich, rosyjski żołnierz, nigdy się nie dowiedział, do czego w osiemdziesiątym dziewiątym roku użyto jego krwi, pobranej do zwykłych badań. Zginął dwa lata temu w wypadku samochodowym, ale „jego” klucz znajdował się zawsze w zasięgu Marata, co było niestety tak ściśle tajne, że prawie nikt o tym nie wiedział. Natomiast dawcą drugiego klucza była pewna kobieta, która, co stanowiło pewien mały problem, szybko się dowiedziała, do czego wykorzystano jej krew, i przez całe życie musiała ukrywać się przed takimi jak oni – Kola wskazał Miczuina i Marata Gawina. – Dlatego jej córka, którą poznaliście, bo właśnie stąd wybiegła, nie mogła przez większość życia mieć matki. I nie będzie miała nadal, ponieważ ją zamordowano, kiedy nie mogła już uciekać.

– Co!?! – Gawin odwrócił się od konsoly.

– Szostakow, którego wysłałeś, aby jej szukał, wykonał zadanie. Ale widzisz... nie zczekał. Zabił ją i dopiero wtedy pobrał krew, żeby przywieźć ją tobie.

– A co się tak tym przejmujesz? – wyskoczył nagle Siłajew.

– Bo ją kochałem, przyglupie. Wiele lat, aż wreszcie oni mi ją zabili. Pół roku temu...

– Zapomniałem wam powiedzieć, panowie – wtrącił uroczyście Miczuin – że Aleksander Kołynin jest bardzo romantyczny.

Siłajew prychnął śmiechem.

Marat Gawin przez ostatnie kilkanaście sekund przestał wprowadzać dane do komputera i przyglądał się uważnie i z niepokojem Kołyninowi.

– Ty wcale nie chcesz nas powstrzymać – powiedział, czując, jak powoli niepokój zaczyna górować nad jego myślami. – Ty szukasz zemsty...

– Tak, Marat – dopiero teraz Gawin dostrzegł czystą, bezlitosną nienawiść w oczach Koli.

– Jak chcesz tego dokonać?

– Spójrz na ekran komputera.

– I co?

– Czy kody zaczęły uzbrajać matryce wejściowe? Czy ruszyły główne akumulatory?

Marat szybko odwrócił się do konsoly i wystukał na klawiaturze hasło wejścia do kodów akumulatorów. Miczuin nerwowo poprawił się na fotelu. Marat patrzył z niedowierzaniem przez pewien czas na ekran, po czym gwałtownie odwrócił się w stronę Kołynina.

– Jak to możliwe? Przecież kody główne uzbrajają sondę!?

– Nie sondę – rzekł zimno Kola. – Popatrz na bezpieczniki zaporowe i mechanizmy uwalniające zapadki. Wszystko stoi.

Gawin znowu nerwowym ruchem wpisał hasła.

– Co się z nią dzieje!?

– Marika umiera – odparł cicho Kola, opadając na najbliższy fotel.

Marat wziął broń ze stołu i wymierzył do Kołynina.

– Masz pięć sekund, aby powiedzieć, co tu jest grane! – syknął, odbezpieczając pistolet.

– Proszę bardzo. Kluczem, który dostałeś od Agnieszki, Marika uruchomiła mechanizm samozniszczenia. Za mniej więcej pół godziny wszystko dookoła zamieni się w pył.

Miczuin zerwał się z fotela.

– Powstrzymaj to! – krzyknął Gawin.

– Już się nie da. Wprowadziłeś klucz. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie prawidłowego. Ale niestety, stary przyjacielu. Ten klucz został skonstruowany do tego, żeby zniszczyć to wszystko.

– Z czyjego rozkazu!?

– Jak to? Logowskiego. Nigdy się o tym nie dowiedziałeś, bo on doskonale orientował

się, kim jesteś i na co cię stać. Poinformował tylko mnie. Klucz prawdziwej Mariki rzeczywiście zniszczyłem, ale ten miałem zawsze przy sobie. Żałuję, że naraziłem tę małą, lecz nie było innego wyjścia. Wasza chciwość przesłoniła wam wszystko.

– Zdamy jeszcze uciec – jęknął Siłajew.

– Nie zdamy. Wszystkie wejścia mniej więcej w pięć minut po wyjściu Agnieszki zostały zablokowane na zawsze. Sprawdź, Marat. Spróbuj otworzyć jakiegokolwiek drzwi.

– Przecież ty też zginiesz! – krzyknął Miczuin. Na jego czole Kola dostrzegł kropelki potu.

– Tak. Wszyscy razem tu zginiemy. Ale będę patrzył na twój strach. Strach człowieka, który wydał rozkaz zabicia moich dwóch największych przyjaciół, Andrieja Logowskiego i Michaiła Wysockiego, pół roku temu. Wiesz... nawet ostatnie kilka dni spędziłem w jego domu. Będę patrzył, jak zdychasz, Własow, bo to ty pociągnąłeś za spust. Wreszcie Gawin, bo tak naprawdę ty zabiłeś Marikę i tych wszystkich ludzi, którzy byli naszymi partnerami w niejednej akcji, tylko... dla pieniędzy. Przez pół roku zarzynaliśmy się na terenie tego kraju wyłącznie z chciwości na pieniądze. A teraz wszyscy umrzemy. I nic już nas nie uratuje.

ROZDZIAŁ 10

Pot ściekał niemal strumieniami po czole Grigorija Miczuina. Ręce mu drżały; strach paraliżował ruchy.

- Marat, zrób coś... – jęknął, przelatując w panice wzrokiem po ekranach.
- Nic nie działa. Zaczęło się odliczanie – warknął przez zęby zrezygnowany Gawin.
- Ty skurwysynu – wycedził Własow.

Do tej pory właściwie się nie odzywał. A jednak teraz zrzucił maskę wiecznie zadowolonego z siebie megalomana. Jego także dławił strach.

– Szefie, wyciągnij nas stąd! – wrzasnął Siłajew. Bestuch również bezradnie patrzył na Miczuina, oczekując, jak dziecko, jakiegokolwiek pomocy.

– Jesteście rzeczywiście naiwni – powiedział spokojnie Kola, patrząc na Bestucha i Siłajewa. – Zapytajcie, jak chcieli stąd uciec i czy na pewno zabraliby was ze sobą. Tu w sektorze F są dwa migi, dwudziestkidziewiątki. Wyobrażacie sobie? Zostawili tu dwa tak drogie samoloty. Trochę stare, ale raczej na chodzie – zakpił. – I prawie kilometrowy podziemny pas startowy, kończący się wylotem otwieranym automatycznie mniej więcej pośrodku poligonu. Zanim ktokolwiek by się zorientował, oni byliby już w Rosji. Dolecieliby do obwodu kaliningradzkiego w piętnaście minut. Nikt nie zdążyłby zareagować. Grigorij wszystko zorganizował. Mało go obchodziło, że taki incydent najprawdopodobniej postawi ten kraj w stan wojny z naszym. Wszystko fajnie, tylko was jest pięciu, a w dwóch migach mieszczą się jedynie cztery osoby...

Na twarzy Bestucha po raz pierwszy Kola dostrzegł prawdziwy gniew i wściekłość. Ruszył w stronę Miczuina, ale Gawin był szybszy. Wymierzył do niego z pistoletu i wypalił, zanim tamten zdążył zrobić dwa kroki. Bestuch padł martwy. Nie zdążył się nawet zorientować, co się stało.

- Szefie, ale... dlaczego? – jęknął Siłajew.

Gawin nie opuścił nawet broni. Wymierzył natychmiast do Ilii i dwoma strzałami powalił go na posadzkę.

– Teraz jest nas czterech – rzucił zimno Gawin. – Zrób coś z tymi kodami i zwiewajmy stąd. Nie uruchomimy Mariki. Jesteś zadowolony?

– Nic z tego.

– Wiem, że jest jakaś możliwość!

– To źle wiesz!

– Kola! – wrzasnął na całe gardło Marat. – Nie wiedziałem, że ona nie żyje! Szukałem jej, przyznaję, ale chciałem tylko kilka kropel jej krwi. Szostakow zasłużył na śmierć. Nie mam pretensji, że go zabiłeś. Pomyśl, Arabowie dali niezłą zaliczkę, możemy na niej poprzestać i uciec. Będziemy bogaci! Kola, pomyśl. Świat stoi otworem, nie musimy niszczyć żadnego miasta!

– Kola, błagam cię – wyjęczał Miczuin. – Mamy jeszcze szansę. Zostało piętnaście minut. Wyłącz to, uruchomimy samoloty i uciekniemy. Potem możemy zniszczyć Marikę, a Polacy nigdy nie poznają tej techniki.

Własow błędnym wzrokiem wodził po ekranach. Robił wrażenie szaleńca. Nie słuchał już błagań Miczuina i Marata Gawina. Zaczął coś do siebie mówić, coraz głośniejszapiąc i co chwila kaszłąc.

– Za wszystko się płaci – rzekł spokojnie Kola. – Pogódźcie się z tym.

– To nie my!!! – wrzasnął z kolei Miczuin. – To Irakijczycy chcieli tego zamachu! Zrozum, takie pieniądze! Wyobrażasz sobie? Można kupić za nie wszystko. Całe życie, władzę, przyszłość!

– Właśnie – przyznał Kołynin. – Czyli wszystko to, co nie tylko wam się nie należy, ale czego już dawno powinniście być całkowicie pozbawieni. Kto zabił Logowskiego i Michała?

– Tak jak mówiłeś – Własow.

– Kto jeszcze w Moskwie z wami współpracuje? Szef sekcji?

– Nie, nigdy mu nie ufałem. Tylko Bogatnik, drugi zastępca „logistycznej”, osłaniał nas i spreparował papiery, abyśmy byli przez pewien czas kryci.

– A Rymski?

– Niczego nie wie.

– Kłobuk?

– Też nie. To tępak.

– Kto organizował kanał między wami a Arabami?

– Kratochwil, pewnie się tego domyślałeś. To już wszyscy. Widzisz!? Wszystko ci powiedziałem. Jestem szczery, współpracuję!

– A Arabowie?

– Chcesz ich!? Tych Arabów!? Al Kaide? Kontakty, ściśle tajne informacje? – Miczuin mówił z pasją, bogato gestykulując. – Wiesz, jak ich prześwieciliśmy? Ile na nich mamy? Można wyłapać skurwieli jak muchy. Chcesz? Możesz to dać Polakom, tylko wypuść nas stąd! Własow ma teczkę. Daj mu teczkę! – rozkazał, odwracając się w stronę Garriego.

– Nie!!! – wrzasnął ni stąd, ni zowąd Własow. – Nic wam nie dam! Pieprzcie się! Pieprzę was i wasze matki! Wszystkich was pieprzę!!!

– Dawaj! – wrzasnął Miczuin i rzucił się na Własowa. Gawin, widząc szamoczących się mężczyzn, chwycił broń, ale nie miał pojęcia, co zrobić. Nagle wszyscy usłyszeli huk i Miczuin osunął się na ziemię. Garri podniósł broń i wymierzył do Koli, lecz Gawin był szybszy. Zanim ten zdążył wystrzelić pierwszą kulę, wpakował we Własowa resztę swojego magazynka.

Kola podszedł do Marata i wyciągnął rękę.

– Oddaj pistolet.

Gawin osunął się na fotel i zwiesił głowę.

– Po co?

– Jeśli oddasz broń i magazynki, zatrzymam to.

Marat podniósł na niego wzrok.

– Nie rozumiem.

– Potrzebne mi były informacje. Już je mam.

Gawin otworzył na chwilę szeroko usta.

– Co!? I dlatego to wszystko!?

– Nie tylko. Marika musi przestać istnieć. Wtedy naprawdę wyprowadzimy się z tego kraju.

Gawin patrzył przez pewien czas na Kole, po czym wybuchnął histerycznym śmiechem. Kołynin stał spokojnie nad nim, zimny jak gład, jakby kompletnie nie robiło na nim wrażenia to, co się działo w ostatnich kilkadziesiąt minutach. Kiedy wreszcie Gawin się uspokoił, popatrzył zrezygnowany na Kole.

– I po to musiało zginąć czterech Rosjan? Żebyś ty przekazał Polakom informacje!?

– Zasługiwali na śmierć.

– Nie w taki sposób.

– Budzi się w tobie człowiek, Marat? – Kola po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnął się, ale gorzko i smutno.

– Nic się we mnie nie budzi. Jestem oficerem rosyjskiego wywiadu. Bronię swojego kraju, chcę mu służyć...

– Byłem oficerem – wtrącił Kola.

– Co?

– Jesteś byłym oficerem rosyjskiego wywiadu – wyjaśnił Kołynin i podszedł do konsoly, aby wstukać kod blokujący samozniszczenie systemu.

Gawin nie zwracał na to uwagi. Patrzył gdzieś w nieokreślony punkt na ścianie, a po pewnym czasie zupełnie znieruchomiał.

– Muszę cię oddać tutejszym władzom – powiedział cicho Kola, wyjmując pistolet z dłoni Marata.

– Zostaw mi broń – poprosił po chwili Gawin.

– Słucham?

- Zrób to dla mnie i zostaw mi pistolet. Nie wychodzę stąd.
- Muszę nastawić z powrotem system na samozniszczenie.
- Wiem. Ja zostaję.
- Chciałeś żyć!
- Ale nie tak. Nie zgniję w polskim więzieniu. Nie zostawiaj mnie na ich łaskę i niełaskę.

Jestem Rosjaninem – z twarzy Gawina było zdecydowanie.

Kołynin wetknął pistolet za pasek i wstukał nowy czas samozniszczenia systemu. Kiedy skończył, odwrócił się do Gawina.

– Ostateczna decyzja?

– Zostaję.

Kola załadował magazynek.

– Masz broń Własowa. Zostało tam jeszcze kilka kul.

– Weź sobie ją. Zostaw mi moją.

Kołynin zastanowił się.

– Nastawiłem fotokomórki na drzwi wyjściowe. Kiedy zamkną się za mną, już się nie otworzą. Swoją broń znajdziesz przy pierwszych drzwiach po tej stronie. Implozja nastąpi za trzy godziny. Żegnaj, Marat.

– Żegnaj, Kola...

Kołynin wziął teczkę Własowa i podszedł do schodów.

– Kola! – zawołał jeszcze raz Gawin.

– Tak?

– Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, prawda?

– Tak, Marat, byliśmy.

– Nauczyłem cię wszystkiego, jak chciał twój ojciec.

– To prawda.

– Wiedziałem, że będziesz lepszy ode mnie, Kola. Choć bardzo bałem się tego.

Kołynin jeszcze przez kilka sekund przyglądał się wpatrzonemu tępo w ścianę Gawinowi, a potem wspiął się szybko po schodach.

Ultra nerwowo zacierała ręce. Zerknęła na wpatzonego w ścianę lasu Adama i wypuściła głośno powietrze z płuc.

– A jak cię okłamał? – spytała.

– Nie okłamał – odparł Kniewicz. – Wiem to.

– Kiedy ci to powiedział?

– Godzinę temu.

Ultra zajrzała mu przez ramię. Kilkunastu agentów chodziło nerwowo po polanie i czekało. Wśród nich siedziała na trawie zapłakana Agnieszka i wtulała głowę w kolana.

– Ona to potwierdza? – spytała agentka, wskazując dłonią dziewczynę.

– Tak. Ma jaja ta mała. Zgodziła się na przekazanie trefnej kasety i przez kilka godzin spacerowała bez najmniejszych zabezpieczeń po jaskini lwa.

– To czego beczy? Już jest bezpieczna.

– Odreagowuje. A co? Ty zawsze jesteś taka męska? – zdenerwował się Adam.

– Nie, ale niepokoję się. Jak coś nie wyjdzie, może stać się naprawdę dużo złego, a ja nawet nie wiem co.

– Dzwonił Krentz?

– Tak.

– Był wściekły?

– A jak myślisz?

– Czasem trzeba komuś zaufać, Ultra.

– W naszym zawodzie raczej niekoniecznie – zaprzeczyła rozdrażniona.

– Nawet nie wiesz, ile razy tobie zaufałem – przypomniał Adam. – I dobrze na tym zwykle wychodziłem.

Ultra uśmiechnęła się do niego. Przytuliła go mocno do siebie i pocałowała w policzek.

– Dlaczego ten skurwiol wszystko mówił tobie, a mnie tylko walił po głowie i rozbił mi samochód? Dlaczego zadzwonił, abys tu przyjechał? Dlaczego chciał, abys to właśnie ty mu pomagał?

– Bo być może jest tego zdania co ja.

– To znaczy?

– Że czasem trzeba komuś zaufać. A poza tym – Adam uśmiechnął się szeroko – dobrze mi patrzy z oczu.

Ultra rzuciła się na niego, młócąc go niegroźnie po głowie.

– I co? W dalszym ciągu mu wierzysz?

– Tak.

– Na Boga dlaczego?

– Bo właśnie idzie – wskazał palcem postać kroczącą od strony lasu. Jeszcze mała i słabo widoczna, ale był pewien, że to on.

– Wygląda jak szeryf z *W samo południe* – prychnęła agentka.

– Rosyjski szeryf – popatrzył z politowaniem Adam.

Agnieszka zerwała się na równe nogi i zaczęła biec w stronę nadchodzącego mężczyzny. Mimo że był dość daleko, cały czas biegła jak najszybciej, aż do momentu kiedy go dopadła i rzuciła się mu na szyję.

– Tak się bałam! – rozplakała się prosto w jego ucho, nie uwalniając go z uścisku.

– Już wszystko w porządku – Kola przytulił ją mocno do siebie. – Byłaś naprawdę dzielna.

Dopiero po kilkunastu sekundach uwolniła jego szyję.

– I co teraz? – spytał Kola, ruszając w stronę Ultry i Adama.

– Pytasz o mnie?

– Tak.

– Na pewno zmienię zawód – starała się uśmiechnąć. – To już nie te emocje.

– Nooo, jesteś milionerką.

– Nie chcę tych pieniędzy.

– Chcesz, szczególnie że to forsa z arabskiej ropy, a nie z narkotyków. Oni zamierzali ją źle wykorzystać, ale ty chyba zrobisz z niej dobry użytek – uśmiechnął się Rosjanin.

– No, może troszkę chcę – roześmiała się dziewczyna i otarła łzy. – Ale co oni powiedzą?
– wskazała Adama i Ultrę, od których dzieliło ich mniej więcej sto metrów.

– Oni... nie muszą wszystkiego wiedzieć – puścił do niej oczko. – I tak mam dla nich sporo szokujących informacji.

Ultra zdobyła się na uśmiech, kiedy stanęli przed nią i Adamem.

– Czy mam szansę na to, że nie zdiełicie mnie tym razem w głowę? – spytała.

– Dużą – zaśmiała się Agnieszka. – Naprawdę przepraszam.

Agentka pokiwała głową i wyciągnęła rękę do Kołynina, który z uśmiechem uściśnął jej dłoń.

– Dobrze, że się poznajemy – rzekł z satysfakcją.

– Też tak myślę – przyznała. – Mamy sporo do obgadania.

– Oczywiście.

– Gdzie oni są? – spytała rzeczowo.

– Niestety nie żyją.

Ultra opuściła głowę.

– Rozumiem, że nie dało się inaczej.

– Proszę mi wierzyć, że tak. Trzeci samochód zawrócił do granicy?

– Tak. Mam nadzieję, że wskoczy pan do nas na małą herbatę? Pozna pan ciekawego faceta. Nazywa się Piotr Krentz.

– Kopę lat – rzucił Kola.

– Znaliście się?

Kołynin zastanowił się.

– No... powiedzmy, „w przelocie”.

– Dzisiaj mamy chyba już inne czasy – zauważył Adam.

– Zdecydowanie tak. Moi niektórzy koledzy nie rozumieli tego, ale teraz wszystko gra. To miejsce nie wyrządzi już nikomu krzywdy.

– Nigdy nie powie nam pan wszystkiego? – spytała Ultra.

Kola spojrział w niebo, wyjątkowo tego dnia pogodne i bezchmurne.

– Niech pani da nam naprawić nasze błędy. Tacy ludzie jak Marat Gawin odchodzą do przeszłości. Wyrasta nowe pokolenie. Młodzi Rosjanie nie chcą budować mocarstw na glinianych nogach ani podbijać Europy. Chcą żyć. Może chcą być lepsi od takich jak ja i oni –

wskazał na miejsce, z którego przyszedł. – A prawda o tym miejscu nie stanowi już żadnej wartości. To przeszłość.

– Nie wybudowali tego kosmici? – spytał z nadzieją Adam.

– Raczej nie – odparł Kola. – Wybudowali to ludzie, którzy mieli wielkie umysły i... – roześmiał się smutno – i trochę małe serca, jak by to powiedział pewien mój przyjaciel, gdyby żył. Za niecałe trzy godziny implozja zniszczy wszystko, co jest pod ziemią. Tyle mamy czasu.

– Rozumiem, spodziewaliśmy się takiego obrotu wydarzeń. Jakie to wyrządzi szkody?

– Pod lasem jest tego niewiele. Ale cały poligon to Marika, jak to tu nazywaliśmy.

– Co mamy zrobić?

– Najbliżsi mieszkańcy są na tej ulicy – wskazał na Sosnową – jakieś półtora kilometra stąd. Nic im nie grozi, a do wystrzałów i hałasu przez dziesiątki lat byli przyzwyczajeni. Trzeba coś wymyślić, bo poligon może się trochę zmienić.

– Jak to będzie wyglądało?

– Seria wybuchów tak zaplanowanych, aby nie został kamień na kamieniu, ale będzie to chwilę trwało i raczej nie powinno być widoczne na zewnątrz. Ziemia jednak zapadnie się w kilku miejscach. Dacie radę to zabezpieczyć?

– Tak – Ultra wyjęła komórkę i szybko wydała kilka poleceń.

– Chyba powinniśmy się powoli ewakuować – zaproponował Kola.

– Za moment przyjdzie tu oficer techniczny. O, jest tam. Poda pan mu wszystkie dane, dobrze? Musimy określić bezpieczne parametry i tak dalej.

– Oczywiście. Jestem do państwa dyspozycji. – Kola objął Agnieszkę i skierował się w stronę wskazanego mężczyzny.

– Aleksander! – zawołała nagle Ultra.

Kola odwrócił się.

– Tak pan ma na imię, prawda?

– Tak.

– Dużo bym dała, żeby móc tam wejść.

– Wiem – Kołynin ponownie smutno się uśmiechnął. – Ale powiem pani, że byłem tam wiele razy i bardzo żałuję. Oszczędzi sobie pani sporo nieprzespanych nocy – odwrócił się i odeszli.

– Jak myślisz? – spytał Adam po chwili. – Po co jeszcze przyjechał? Po tę dziewczynę, po zemstę na tych draniach, po co jeszcze?

– Przede wszystkim przyjechał posprzątać po sobie, zerwać z przeszłością – odpowiedziała cicho Ultra. – Mało ci?

„Radni Skierniewic, obradujący od wielu miesięcy nad przyszłością opuszczonego kilka lat temu przez wojsko poligonu, zdecydowali się na podział gruntów i wyprzedaż z

przeznaczeniem na wybudowanie na skraju lasu osiedla domków jednorodzinnych. Trwają prace nad dostosowaniem terenu do przepisów budowlanych. Pierwsze dźwigi pojawiły się już...” – Kola przyciszył radio.

– Agnieszka! – zawołał w stronę kuchni.

– Zaraz przyjdę! Robię herbatę! Chcesz jakieś ciastka!?

– Tak!

Agnieszka pojawiła się z tacą. Postawiła ją na stole i usiadła na fotelu. Kola uznał, że wygląda dziś wyjątkowo świeżo i pięknie.

– Nareszcie spokój – dziewczyna rozparła się wygodnie i zamknęła oczy.

– Jutro wyjeżdżam – powiedział bez emocji Kołynin.

– Musisz?

– Powinienem. – Kola wyjął niewielką kartkę i położył na stole. – Stać cię na to, aby wybrać się do Paryża.

Agnieszka otworzyła oczy.

– To adres, pod który chyba powinnaś wpaść. – Dziewczyna nagle spoważniała i długo przypatrywała się z niepokojem Koli.

– Oczywiście jak będziesz już gotowa – dodał.

– Przecież... przecież – Agnieszka wzięła głęboki oddech. – Myślałam, że ona nie żyje.

– Wiem, ale nie tak łatwo zabić Marię. Zresztą pilnuje jej całe życie ruski szpieg – uśmiechnął się.

Dziewczyna nagle wybuchła śmiechem, ale po policzkach potoczyły się łzy.

– Spodziewam się, że jej kiedyś wybaczysz. To także mój adres, więc i ja liczę na to samo.

– A ten Szostakow? Mówiłeś przecież...

– O, możesz mi wierzyć, próbowałem. A mówiłem tyle rzeczy, że jeszcze starczy na wiele godzin wyjaśniania.

Agnieszka ukryła twarz w dłoniach.

– Trochę bałem się mówić ci o tym wcześniej – przyznał Kola.

– Jesteś największym kłamcą świata! Tyle już mi nagadałeś głupot, zrobiłeś mi taką wodę z mózgu, że naprawdę nie wiem, kiedy mam cię traktować poważnie! – wrzasnęła z udawaną złością.

– Teraz mówię prawdę, przysięgam.

– Wiem – roześmiała się, ocierając mokre policzki.

Zamilkli na chwilę, przypatrując się sobie z uwagą, ale i wesołością.

– Dlaczego akurat ona? Dlaczego jej kod genetyczny był w tym kluczu? – Agnieszka kręciła głową, jakby dopiero teraz układała to sobie w głowie.

– Sprytne zagranie Gawina. Był wtedy moim dobrym kumplem. Wiedział, że spotykam się z nią, nie chwając się tym specjalnie nikomu innemu. Ona była z opozycji... po powrocie z

internowania. Ja byłem rosyjskim agentem. Ze Skierniewic do Warszawy jest siedemdziesiąt kilometrów. Wiedział, że musimy opuścić bazę i że klucze znikną w sejfach. A ona była cały czas blisko mnie. Mógł do niej w każdej chwili dotrzeć. Dowództwo nie protestowało, rozkaz brzmiał wyraźnie: „przypadkowe” osoby. Był za to odpowiedzialny. Nawet ten żołnierz miał być wybrany tak, aby budujący klucz nie miał pojęcia, czyja to krew. Wtedy jeszcze ufałem Maratowi, dla innych Marika była abstraktem, właśnie „przypadkową” kobietą. Więc wykradł jej krew po rutynowym badaniu w zwykłej przychodni i przedstawił jako osobę anonimową, wybraną losowo. A zarówno żołnierza, jak i ją chciał mieć cały czas w zasięgu wzroku. Poza tym zamierzał szybko odtworzyć klucze, w kilka miesięcy po naszej ewakuacji. I wtedy zorientowaliśmy się, co oznacza dla niego Marika.

– System czy kobieta?

– I to, i to. A więc oddała cię do domu dziecka i zaczęliśmy uciekać. Aż do dzisiaj. Może kiedyś opowiem ci o szczegółach, lecz nie teraz. Jestem zmęczony.

– Dlaczego mieszkasz w Paryżu?

– To jeszcze pozostałość po tak zwanym kretowisku. Taki system pracy, nieważne. Nie jestem w czynnej służbie, tylko... no powiedzmy w czymś w rodzaju rezerwy. Wzywają mnie, kiedy chodzi o coś ważnego.

– Jak Marika?

– Jak Marika. Teraz jadę odpoczywać.

Agnieszka wstała i podeszła do okna.

– Nie wiem, jak się do tego zabrać, Kola. To trochę trudne. Nie miałyśmy żadnego kontaktu przez tyle lat. Ja byłem tym, kim byłem. Nie wiem...

Kołynin podszedł do niej i objął czule za ramię.

– Wiesz... – szepnął prosto do ucha. – A to, czego nie wiesz... ja ci powiem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. Mamy na to jeszcze dużo, dużo czasu.

Patrzyli w okno trochę zawiedzeni, że jesień wciąż wiała chłodnym wiatrem, a ulice stały się żółte od opadłych liści. Lada dzień miał przecież spaść śnieg. Oby jak najprędzej, pomyślała Agnieszka.